- Makowiecki: „Komu łzy, komu radość zwycięstwa"
- Szkoda — panie Raskolnikow
- Włamanie • Afera kartkowa
- Stała kolumna Science Fiction

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 15 (1268) ROK XXV 16 LIPCA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Miś Colargol nie chce umierać

EUGENIUSZ IWANICKI

To prawda, że filmów o misiu Colargolu już się nie realizuje, a jego śmierć jest niemożliwa, jak wszystko, co dotyczy pozytywnych bohaterów opowieści dla dzieci. Mimo wszystko może nadejść taki czas, iż misie znikną z ekranów kin i telewizorów, zakończą swoje przygody, przestaną bawić, uczyć i wzruszać. Stanie się to niebawem, powiedzmy za kilka lat, kiedy stary budynek w Tuszynie, w którym „Se-Ma-For" realizuje filmy lalkowe, zawali się z hukiem grzebiąc i unicestwiając na zawsze jedyny w Polsce oddział lalkowy filmów dla dzieci. Wraz z budynkiem zginie miś Colargol, jego kuzyn Uszatek i wielu innych czworonożnych przyjaciół dzieci.

Od wielu lat Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" w Łodzi dobija się do różnych urzędowych drzwi przedkładając swoje bezsporne racje. Paradoks jednak polega na tym, że zarówo władze oświatowe, jak i kulturalne widzą w działalności wytwórni cennego sprzymierzeńca w wychowywaniu młodego pokolenia, natomiast nie mogą pomóc w uzyskaniu przez „Se-Ma-For" przyzwoitych warunków dla rozwoju lub choćby dalszej egzystencji.

Łódzkie Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" istnieje już 35 lat. Jest jedyną wytwórnią w Polsce robiącą animowane filmy lalkowe. Obok tego rozwinęła się produkcja filmów rysunkowych, wycinankowych, kombinowanych, krótkie formy autorskie, a także od czasu do czasu powstają tu filmy mające charakter oświatowych lub dokumentalnych. Triumfalny pochód filmów z łódzkiej wytwórni rozpoczął się w 1947 r., kiedy to pojawił się w kinach po raz pierwszy film lalkowy *„Za króla Krakusa"* w reżyserii ZENONA WASILEWSKIEGO. Były to lata pionierskie, wszystko odbywało się po raz pierwszy, nierzadko w warunkach skomplikowanych, trudnych, bez należytej aparatury i laboratoriów.

Po trzech latach ukazał się kolejny film. Pamiętać trzeba, że nie było wówczas ani kadry twórczej, ani bazy technicznej. Nie było także produkcji w dzisiejszym znaczeniu. Dopiero w 1951 r. powstał Oddział Filmów Kukiełkowych mieszczący się przy Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi, ale niewiele to zmieniło i produkcja wynosiła zaledwie 1 lub 3 filmy rocznie. Po pięciu latach oddział przekształcono w samodzielne przedsiębiorstwo noszące nazwę „Studio Filmów Lalkowych" przydzielając atelier i skromne zaplecze w pobliskim Tuszynie. A dwa lata później, kiedy skompletowano ekipę pracowników, na ekranach w ciągu roku pojawiło się już 10 filmów. Ale i to studio było jedynie etapem, bowiem dopiero w 1961 r. powstało dzisiejsze Studio Małych Form Filmowych „Se Ma-For". Od tego momentu rozpoczął się „dorosły" życiorys wytwórni. Wkrótce powstaje tu już 30 filmów rocznie i z roku na rok ta cyfra się powiększa. Obok wypróbowanych technik powstają nowe, stosuje się nowe tworzywa i faktury plastyczne, są filmy kombinowane łączące w jedną całość rysunek, wycinankę i żywy plan. Pojawiają się także filmy autorskie. Tu pracuje JERZY ANTCZAK, ANDRZEJ KONDRATIUK, JANUSZ MAJEWSKI, JANUSZ NESFETER, JERZY PASSENDORFER, ROMAN POLAŃSKI...

W 1962 r. powstają pierwsze indywidualne filmy telewizyjne, a wkrótce rusza produkcja filmów fantastyczno-naukowych i animowanych. Ale sławę łódzkiemu studio przynosi sympatyczny miś Colargol. Serię pt. *„Przygody misia Colargola"* zamówił w „Se-Ma-Forze" kontrahent francuski. Co prawda seriale były dotąd jakby niedocenione i sukces, jaki odniósł Colargol, przesądził o ich znaczeniu. Stały się wizytówką studia: *„Zaczarowany ołówek"*, *„Przygody Sindbada Żeglarza"*, *„Miś Uszatek"*, *„Opowiadania Muminków"*, *„Przygody kota Filemona"*, *„Colargol na Dzikim Zachodzie"*, *„Colargol zdobywca kosmosu"*, *„Colargol i cudowna walizka"*, *„Wio, Leokadio!"*, *„Ferdynand Wspaniały"* i in.

W ciągu 35 lat istnienia powstało w studio ponad 1000 filmów, które zdobywały i nadal zdobywają nagrody na międzynarodowych pokazach i festiwalach.

Złoto dla zuchwałych, srebro dla Polaków

BOGDA MADEJ

Trzeba będzie znaleźć trochę czasu, aby posprawdzać, jak to różni fachowcy i wizjonerzy typowali najwyższą piłkarską czwórkę. Nic z tego, co prawda, nie wyniknie, jedynie będzie trochę śmiechu, jak to się wszyscy dokładnie pomylili. I być może, ten i ów zastanowi się: dlaczego? Skąd te pomyłki? Czyżby fachowcy, których obowiązkiem jest oglądanie innych drużyn, poznawanie tajników ich gry, nie mieli dobrego rozeznania w tym, co dzieje się w światowej piłce nożnej? Czy też może był to tylko Mundial niespodzianek, zaskoczeń i nieoczekiwanych wyników?

Kolejne pytanie: czy prezydent FIFA miał dobry pomysł zwiększając pulę mundialowych rozgrywek, czy też nie? Zdania są — jak wiem — podzielone. Będzie się jeszcze o tym dyskutowało, ale już dziś na gorąco można powiedzieć, że dzięki temu zobaczyliśmy przez kilka meczy inną piłkę nożną, bardziej żywiołową i mniej wyrozumowaną, jak europejska. I to był niewątpliwy urok Espany'82. Dzięki temu był to również Mundial paradoksów.

Cieszą się bez wątpienia Włosi. Noc z niedzieli na poniedziałek spisali sobie na straty, bo cały czas się bawili. Popłynęły hektolitry wina. Ale cieszą się i w Kamerunie. Z czego? No proszę bardzo, różne rzeczy można mówić o kamerońskiej drużynie, ale nie można powiedzieć, że uległa mistrzom świata i trzeciej drużynie. Przesadziłabym, gdybym powiedziała, że byli lepsi, ale pozostali niepokonani. Mają tę satysfakcję, że byli w grupie, z której wyszły dwie z czterech najlepszych drużyn świata, a z drużynami tymi nie przegrali.

Nie wiem, czy i jak cieszą się w RFN, a powinni. Ich drużyna „psim swędem" weszła do finału. Mecze rozgrywała niemal na stojąco i tylko szczęście oraz dyplomatyczne a nie sportowe zabiegi spowodowały, że — raz — wyszli z grupy, a dwa — weszli do wielkiego finału. I wreszcie stała się sprawiedliwość. Przegrali, zostali tylko wicemistrzami świata. Dobre i to, jak dla tak nie najlepiej grającej drużyny. Nie moja to sprawa, ale w RFN powinna rozpocząć się dyskusja nad poziomem ich reprezentacji. Podobnie w Anglii.

Finałowy mecz miał różne fazy. Włosi z drugiej połowy nie przypominali Włochów z pierwszej. A piłkarze RFN stracili cierpliwość, opanowanie i demonstrowali grę brutalną, pełną fauli, wręcz chamską. Aż chwilami przykro było patrzeć. Na szczęście sędzia był opanowany i rozsądny. Dawał pograć, kiedy było można. Ale karał żółtymi kartkami, kiedy było trzeba. Narozdzielał ich sporo. Przykro, że musiał często po nie sięgać. Wszak w finałowym meczu kibice czekają nie tylko na najlepszą grę. Powinna to być również gra fair. Sumując krótko i pospiesznie mistrzostwa trzeba powiedzieć, że nie najsilniejszą stroną Espany'82 było sędziowanie. Byli sędziowie znakomici, którzy wiedzieli po co są na boisku i byli sędziowie, którzy nie potrafili na nim panować, przeszkadzali w grze, denerwowali zawodników, co ujemnie — niestety — odbijało się na całości widowiska i jego poziomie. Nasz — Alojzy Jarguz — na szczęście spisał się dobrze.

Powtórzyliśmy sukces z 1974 roku, co jest niewątpliwą zasługą Antoniego Piechniczka. Potwierdziliśmy, że polska piłka nożna liczy się na światowych boiskach. Drużyna nasza dokonała wyczynu, na który na początku nikt nie liczył. Bo już w trakcie turnieju, a szczególnie po zwycięstwie nad Belgami, jakoś apetyty nam wzrosły i marzyło się nawet mundialowe złoto. Ale, jak poucza nas historia, myśmy już w przeszłości złoto lekce sobie ważyli, bo my kochamy się w żelazie. No, powiedzmy, góra w srebrze. I srebro mamy.

Czy nasze marzenia były realne?

Tak, jak patrzę dziś, następnego dnia po meczu finałowym, to myślę, że trochę w tych marzeniach przesadziliśmy. Włosi pokazali wielki futbol. Że na początku zremisowali z nami — to inna sprawa. Ale na początku i polska i włoska drużyna pokazywały zupełnie inny futbol. To były jakby inne zespoły. Włosi mieli trudniejszą drogę do finału. Musieli pokonać Argentynę i Brazylię. Argentyna była słaba na tych mistrzostwach, ale Brazylia pretendowała wszak do mistrzowskiego tytułu i to nie bez powodu. Zlekceważyli Włochów, mieli słabszy mecz. Każda drużyna w turnieju musi mieć słabszy mecz. I Brazylii i Polsce taki mecz wypadł w czasie spotkania z Włochami. Ale, ani jedna, ani druga drużyna nie była tego dnia w stanie pokonać Włochów, którzy udokumentowali to zresztą rezultatami meczów. Nasi pokazali dobry futbol, ale pokazali też, że drużyna jest dopiero na dorobku, że jeszcze ma różne braki, że gra nierówno, że nie ma rezerw, że trzeba ostro wziąć się do roboty, aby przygotować się do mistrzostw Europy i następnych mistrzostw świata. Czas nie będzie stał w miejscu.

Uradowaliśmy się z trzeciego miejsca. Odetchnęliśmy z ulgą, że już po wszystkim, że jednak trzecie a nie czwarte, ale ogromnego entuzjazmu jakoś w naszych mieszkaniach chyba nie było. Po meczu z Włochami zaczęły uchodzić z nas emocje, napięcie, nadzieje, jak powietrze z nakłutego balonu. Zbyt mocno chcieliśmy tego największego sukcesu. Ten sukces był nam potrzebny dla ugruntowania dobrego samopoczucia. Pokazania, że Polacy nie gorsi i też w piłkę nożną grać umieją. Nie wybrzydzajmy zanadto, wszak zaszli bardzo wysoko.

Skończyły się mistrzostwa świata w piłce nożnej. I bardzo dobrze. Mnie się już mecze zaczęły mylić, plątać ze sobą. Teraz trzeba będzie usiąść i wszystko uporządkować, wyrobić sobie jakiś obraz całości. Inni też będą dążyli do syntezy, do podsumowania.

A w telewizji skończyli się o godzinie 17 piłkarze, zaczęły się Janosiki. Tyz pikne!

Przegląd prasy

ZABILI MISIA!

Na ogół nie sięgam do informacji i spraw poruszanych w prasie codziennej, ale tym razem — a może i kiedy indziej — przychodzi mi zrobić wyjątek. Powodem tego jest beskidzki miś. Jak doniósł „EXPRESS WIECZORNY" (26 czerwca 1982 r.), a i inne gazety podawały tę wiadomość, w Beskidach grasował miś-rozbójnik, napadał na kurniki, włamywał się do pasiek, a i ludziom zagrażał. Miś wędrował sobie po Beskidzie, a wyprzedzała go plotka i blady strach padał na tamtejszych ludzi. Żeby było dziwniej ów miś-rozbójnik przywędrował w nasz Beskid z... Czechosłowacji.

W ogóle posiadamy bodajże 5 niedźwiedzi, z tym, że dzielimy je z Czechosłowacją i zapewne w statystykach obu państw figuruje ta sama liczba misiów. Nie jest to wiele, ale kiedyś było mniej, a zostało już 4, bo misia-rozbójnika zastrzelono. W Beskidzie jest jeszcze jeden niedźwiedź — jak reporterowi „EXPRESSU WIECZORNEGO" powiedział nadleśniczy z Andrychowa, Bronisław Liszka — ale ten jest spokojniejszy. Ten to już chyba jest nasz, polski miś, ale kto go tam wie, czy nie robi sobie wycieczek do Czechosłowacji.

Niedźwiedzie nie figurują w spisie zwierzyny leśnej województwa bielskiego, chociaż są de facto, w lesie. decyzji w sprawie zastrzelenia misia-rozbójnika nie mógł więc nikt podjąć w Urzędzie Wojewódzkim w Bielsku-Białej i trzeba było aż porozumieć się z odpowiednim departamentem Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego w Warszawie. Tam zapadła wreszcie decyzja o zastrzeleniu misia-rozbójnika. Stało się — a perypetie z misiem-rozbójnikiem opisał ponownie „EXPRESS WIECZORNY" 8 lipca 1982 r. — wiadomość o zastrzeleniu misia podało radio 10 lipca 1982 r. Pozostaje jednak pytanie: czy nie było innego sposobu na owego rozbójnika, czy koniecznie trzeba było go zastrzelić? W telewizji oglądaliśmy swego czasu piękne filmy, jak ludzie opiekowali się... lwami, jak ratowali im życie; są więc sposoby poradzenia sobie z groźnymi drapieżnikami. Czy decyzje w sprawie misia-rozbójnika muszą podejmować urzędnicy w stołecznym mieście Warszawa, którzy być może żywego niedźwiedzia nigdy w życiu nie widzieli? Czy nie należy losów drugiego niedźwiedzia powierzyć ludziom w lesie żyjącym, tam pracującym i trochę chyba na życiu zwierząt dzikich znającym się? Czy też nadal będzie się udawać, że w Beskidzie nie ma niedźwiedzia, choć chodzi po górach i ryczy? W Warszawie tego ryku zapewne nie słychać. Miejmy trochę szacunku dla przyrody, której częścią jest miś, tak samo zresztą jak człowiek.

A skoro już o człowieku mowa, to dwa tygodniki opublikowały artykuły o tym, że

NA POCZĄTKU BYŁA EWA

a nie Adam, jak chce tego Biblia. Czas mamy urlopowy i „EXPRESS ILUSTROWANY" (7 lipiec 1982 r.) opowiada o tym, jak to UFO odwiedziło dom przy ul. Warszawskiej w Łodzi, może więc się wydawać, że owo odkrycie pierwszeństwa EWY przed ADAMEM też jest wakacyjnym pomysłem na poczytność. Ale nie. Autorem artykułu jest Rainer Knussmann — dyrektor Instytutu Antropologii Uniwersytetu w Hamburgu, artykuł ukazał się w tygodniku „STERN", a obszerne fragmenty w „TU I TERAZ" (nr 6 z 7 lipca 1982 r.) i część tego artykułu w „ARGUMENTACH" (nr 18 z 11 lipca 1982 r.). Pierwotny tytuł artykułu brzmi: „Mężczyzna — błąd natury?"

Jak wiadomo stworzył Bóg człowieka z gliny, a uznawszy potrzebę dania mu towarzyszki, uśpił Adama, wyjął mu żebro i z tego żebra stworzył kobietę czyli Ewę.

„Tak zapisano w Księdze Genezis Starego Testamentu — pisze Rainer Knussmann. — *Jednakże Biblia się myli. Wprawdzie opis stworzenia człowieka można potraktować symbolicznie i jako taki — zaakceptować, jednakże gdy idzie o Ewę jest to już niemożliwe. Biolodzy wiedzą dziś, że było zupełnie inaczej."*

I pisze dalej Rainer Knussmann:

„To nie kobieta jest okaleczonym, niepełnym mężczyzną, lecz przeciwnie, mężczyzna to niedorozwinięta, niedoskonała kobieta."

Gdzieś niedawno przeczytałem, że Napoleon przegrał bitwę pod Waterloo tylko dlatego, że z mężczyzny przeistoczył się w... kobietę. Wymyślili to oczywiście Anglicy, którzy do dziś lubują się w poniewieraniu pamięci nieboszczyka Napoleona. Ale niech im tam! U nas Napoleona wspomina się z rozrzewnieniem i to nie tylko przez Marię Walewską, ale przez nadzieje, jakie z Napoleonem wiązali dawni Polacy, co jako spadek pozostało współczesnym. Mniejsza zresztą o Napoleona i polski sentyment do niego. Zastanówmy się raczej nad tym, co dalej z męskim rodem, jako że Rainer Knussmann rzecze:

„Możemy więc raz jeszcze stwierdzić z całym przekonaniem: mężczyzna nigdy nie wyszedł tak naprawdę poza zwierzęce stadium rozwoju, pozostanie zawsze małpim pasza. Kobieta natomiast jest prawdziwym człowiekiem i w niej widzimy obraz człowieka przyszłości."

Niech sobie biolodzy prowadzą spór na poważnie. Ja natomiast podejrzewam w tym wszystkim zemstę Boga za grzech pierworodny. Rainer Knussmann widać nie doczytał Biblii do końca. Już nie mówię o całości, ale o Genezis, gdyż w Rozdziale III w wersecie 15 powiedziane jest co Bóg rzekł do Adama i Ewy:

„Nieprzyjaźń też położę między tobą i między niewiastą i między nasieniem twojem i między nasieniem jej..."

I dał się Rainer Knussmann nabrać...

Co by tam zresztą o kobietach nie mówić, to żyć się bez nich nie da, a i one sobie bez nas nie poradzą. Szanować więc się musimy — to pewne, ale że się też trochę różnimy — to nawet ładnie, bo inaczej byłoby cholernie nudno na tym nie najlepszym ze światów.

Przekonuję kogo tylko mogę, że prasę mamy wcale nie taką złą, co nie znaczy, że nie może być lepsza i bardziej ciekawa, ale dokonywanie wyboru tego, co chciałoby się przekazać Czytelnikowi wcale nie jest takie łatwe, gdyż wiele cennych artykułów pozostaje nieomówionych, a byłoby warto. I sporów jest trochę, a mogłoby być więcej i bardziej istotnych, ale tym razem chcę zrelacjonować

SPÓR O TYGODNIK „RZECZYWISTOŚĆ"

Miesięcznik „BARWY" (nr 4 czerwiec 1982 r.) przynosi sprawozdanie z plenarnego posiedzenia ZG Stowarzyszenia Klubów Wiedzy Społeczno-Politycznej „Rzeczywistość" Obrady odbyły się 4 czerwca 1982 r. w Warszawie *„w siedzibie własnej, mieszczącej się (...) przy ul. Smolnej 14"*. Obrady prowadził przewodniczący ZG — Tadeusz Grabski, referat o zadaniach Stowarzyszenia wygłosił wiceprzewodniczący — Ryszard Gontarz. Po dyskusji uzupełniono skład Zarządu Głównego: sekretarzem został Janusz Ratzko, członek byłego zespołu tygodnika „RZECZYWISTOŚĆ", skarbnikiem — Józef Brzeziński, a w skład ZG i Prezydium dokooptowano Henryka Gaworskiego — naczelnego redaktora miesięcznika „BARWY" na miejsce byłego redaktora naczelnego „RZECZYWISTOŚCI", który jako korespondent wyjeżdża do NRD, ale pozostaje w składzie ZG. Na tym posiedzeniu Ignacy Krasicki — członek Prezydium ZG i członek byłego kolegium „RZECZYWISTOŚCI" poinformował zebranych o losach pisma.

„Dokonane zmiany personalne i przeobrażenia ideowo-polityczne oblicza tygodnika spowodowały faktyczną likwidację dawnej „Rzeczywistości".

Zebrani podjęli w tej sprawie uchwałę — o czym „BARWY" nie piszą — w której wyraża się poparcie i *„całkowitą solidarność z dotychczasowym redaktorem naczelnym „Rzeczywistości", H. Tycherem oraz kierowanym przezeń poprzednio zespołem"*, informuje się, że z poprzedniego zespołu do nowego zespołu „Rzeczywistości" weszła tylko jedna osoba, informuje się też, że obecna „Rzeczywistość" nie ma *„nic wspólnego z naszą linią programową i dlatego odciąć się od niego powinno nasze Stowarzyszenie oraz cała polska lewica patriotyczna"*, a wreszcie postanawia się *„zobowiązać Prezydium Zarządu Głównego do wszczęcia postępowania sądowego przeciwko osobom i instytucjom bezprawnie przywłaszczającym sobie tytuł „Rzeczywistość" dla dezorientacji opinii publicznej"*.

Muszę się przyznać, że cała ta sprawa jest dla mnie co najmniej dziwna, zważywszy, że wydawca „RZECZYWISTOŚCI" była od początku RSW „Prasa-Książka-Ruch" a nie kto inny. O czyim zatem piśmie może być mowa? I o ile się nie myle, to kluby „Rzeczywistość" powstały później niż pismo. Zachodzi tu chyba jakieś poważne nieporozumienie.

DRUGI SPÓR O GAZETĘ

zasadza się chyba na podobnym nieporozumieniu, tyle że o innym wymiarze. Jak wiadomo, na obszarze województwa sieradzkiego wychodzi tygodnik „NAD WARTĄ". Ostatnio do Zduńskiej Woli — która leży w województwie sieradzkim — dociera „ŻYCIE ZDUŃSKIEJ WOLI" — tygodnik społeczno-zawodowy, a właściwie mutacja „NASZEGO ŻYCIA". W numerze 4 „ŻYCIA ZDUŃSKIEJ WOLI" znalazłem wypowiedź I sekretarza KM PZPR w Zduńskiej Woli — Zdzisława Paprockiego, który powiedział m. in.:

„Fakt ukazania się „Życia Zduńskiej Woli" jest spełnieniem życzenia wielu mieszkańców naszego miasta. Środowisko od dawna chciało mieć swoją gazetę, w której ukazywane byłyby problemy zduńskowolskie. Trzeba bowiem podkreślić, że wraz z rozwojem miasta wzrasta i ilość tych problemów."

Jak donoszą z kół zbliżonych do tygodnika „NAD WARTĄ", ukazywanie się mutacji „NASZEGO ŻYCIA" dla Zduńskiej Woli wywołało poważne zaniepokojenie, oburzenie oraz protesty. Obejrzałem sobie owo „ŻYCIE ZDUŃSKIEJ WOLI". Jest to pismo formatu „EXPRESSU ILUSTROWANEGO" o objętości 8 stron, z czego 3 poświęca się Zduńskiej Woli. Kosztuje 6 zł. I w niczym „NAD WARTĄ" nie może zagrozić. Bez paniki, drodzy koledzy!

„NASZE ŻYCIE" wydaje też mutację dla Kalisza — „WŁÓKNIARZ KALISKI" i jakoś nie słychać, aby koledzy z „ZIEMI KALISKIEJ" protestowali, albo się czegokolwiek obawiali. Gazety lokalne mają ostatnio wielkie powodzenie, czego dowodem może być „ŻYCIE PABIANIC", mniejsze mają tygodniki społeczno-kulturalne, społeczno-polityczne itp. i rad na to trzeba szukać raczej w sposobie redagowania niż rugowania konkurencji z rynku, o czym „Odgłosy" też coś wiedzą i nad czym pracują. Oby z powodzeniem.

LUCJAN BOGUSZ

SEJM PRL WYBRAŁ TRYBUNAŁ STANU

Wynikiem bardzo pracowitej, dwudniowej sesji parlamentu polskiego było uchwalenie ustaw o radcach prawnych, o spółkach zagranicznych, o księgach wieczystych i hipotece. Sejm, po wnikliwej analizie udzielił rządowi absolutorium. Wybrano Trybunał Stanu z przewodniczącym — I prezesem Sądu Najwyższego, prof. **Włodzimierzem Berutowiczem** (I prezes SN sprawuje tę funkcję z urzędu, w myśl ustawy). Sejm dokonał także wyboru Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL. Przewodniczącym rady, desygnowanym na to stanowisko przez Izbę już wcześniej, jest prof. **Jan Szczepański.**

W dyskusji nad projektem budżetu na rok 1982 i wnioskiem o absolutorium dla rządu wziął udział m. in. pos. **Edmund Męclewski.** Przypominając konsekwentną politykę całej wspólnoty socjalistycznej w kształtowaniu powojennej rzeczywistości politycznej w Europie mówca wskazał na niebezpieczeństwo odradzania się na Zachodzie tendencji zmierzających do rewizji ustaleń konferencji poczdamskiej, do rewizji granic na naszym kontynencie. Tendencje te szczególnie jaskrawo występują w życiu politycznym Republiki Federalnej Niemiec na kanwie nieukrywanych tam dążeń do ponownego zjednoczenia Niemiec.

Część swego wystąpienia E. Męclewski poświęcił sprawie „najważniejszej z ważnych" — jaką jest narodowe porozumienie. Określając je jako „naglący nakaz historii" zaapelował o odwagę i wielkoduszność wobec wszystkich, którzy dali się w niedawnej przeszłości zwieść cynicznym politykierom.

„POLFA" OBNIŻA CENY

Lubelska „Polfa" obniżyła ostatnio o kilkanaście procent ceny płynów infuzyjnych. W przygotowaniu jest przecena i to średnio o 25 proc. innych wyrobów, w tym strzykawek jednorazowego użytku i przyrządów do przetaczania krwi. Wejdzie ona w życie w najbliższym czasie.

Obniżka jest wynikiem zbilansowania kosztów z cenami surowców, zmiany technologii wyrobu strzykawek na bardziej oszczędną oraz wdrażania innych przedsięwzięć techniczno-organizacyjnych. Warto zauważyć, że lubelska „Polfa" mimo znanych powszechnie trudności, pomyślnie realizuje swe zadania, znacznie wyższe od ubiegłorocznych. Samych tylko strzykawek jednorazowego użytku wyprodukuje w br. o trzy miliony więcej, niestety, mimo to krajowe zapotrzebowanie na strzykawki, wskutek wyczerpania mocy produkcyjnych zakładu, zaspokojone zostanie zaledwie w połowie.

„Polfa" w Lublinie jest zatem jednym z pierwszych zakładów (może pierwszym?), w którym wprowadzanie reformy daje w efekcie postęp ekonomiczny i powoduje obniżenie cen wyrobów. Szczególnie budujące jest w przykładzie „Polfy" to, że obniżka dotyczy poszukiwanego na rynku sprzętu medycznego.

SPOTKANIE DZIAŁACZY RELIGIJNYCH

W zabytkowym klasztorze Troice — Siergiejewa Ławra pod Moskwą odbyło się spotkanie czołowych przedstawicieli kościołów i związków wyznaniowych, jakie działają w Związku Radzieckim: buddystów, chrześcijan, judaistów i muzułmanów. Powitał zebranych patriarcha moskiewski i wszechrosyjski, Pimen. Uczestnicy spotkania ustosunkowali się do wyników światowej konferencji działaczy religijnych, jaka odbyła się w maju br. w Moskwie pod hasłem „Ocalić święty dar życia przed katastrofą nuklearną". Przyjęto oświadczenie zawierające wysoką ocenę rezultatów konferencji, ich siły duchowej i humanitarnej oraz wyrażające przekonanie, że przyczyni się ona do szerszego udziału wierzących w walce o uwolnienie ludzkości od groźby broni jądrowej.

ROZMIARY TERRORYZMU WE WŁOSZECH

Włoski minister spraw wewnętrznych, Virginio Rognoni, powiedział w ubiegłym tygodniu w parlamencie, że od roku 1969 terroryści dokonali we Włoszech 13 tys. rozmaitych napadów, zabijając 315 i raniąc 1075 osób. Od roku 1974 terroryści zabili 11 sędziów i 72 pracowników tajnej policji. Minister powiedział także, iż obecnie w więzieniach przebywa 1477 terrorystów z ugrupowań lewackich i 451 ekstremistów prawicowych. Od grudnia ub. roku policja odnosi znaczne sukcesy w walce z terroryzmem i udało się jej aresztować ponad 450 terrorystów.

Rognoni podał dane dotyczące walki z terroryzmem we Włoszech, podczas debaty w Izbie Deputowanych na temat aresztowania pięciu policjantów, podejrzanych o znęcanie się nad więzionymi członkami „Czerwonych Brygad". Minister powiedział także, że jeśli czyny zarzucane oskarżonym policjantom zostaną udowodnione, podejmie odpowiednie kroki dyscyplinarne w celu zapobieżenia podobnym wypadkom.

ARGENTYNA NIE REZYGNUJE

Nowo mianowany dowódca armii argentyńskiej gen. **Cristino Nicolaides,** oświadczył, że celem polityki zagranicznej Argentyny pozostanie odzyskanie Malwinów (Falklandów) opanowanych przez Brytyjczyków 14 czerwca.

„Przez 150 lat — powiedział Nicolaides — Argentyna domagała się tego, co należy do niej, i będzie czynić to dalej stosując najbardziej odpowiednie środki". Nicolaides zarazem chciał rozwiać spekulacje dotyczące ewentualnej zmiany kursu politycznego jego kraju po ochłodzeniu stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią.

Jak powiedział, „z przyczyn filozoficznych, historycznych i moralnych Argentyna nie może przestać należeć do bloku zachodniego".

PROGNOZA FAO

ONZ-owska organizacja d.s. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) przewiduje, że zbiory zbóż w tym roku będą gorsze niż w roku ubiegłym. Tegoroczny światowy zbiór ma wynieść ogółem 1470—1590 mln ton. Pierwotnie obliczano zbiór na poziomie 1605 mln ton. Może to spowodować podwyżkę cen zbóż na rynkach światowych. W tej sytuacji osiągnięcie możliwie najwyższych zbiorów w naszym, polskim rolnictwie ma szczególne znaczenie.

Był to Zjazd Nadzwyczajny, i to nie tylko ze względu na wagę i rozmiar spraw, które musiał podjąć oraz załatwić, na czas, w którym obradował (okres szczególnie przecież gorącego klimatu politycznego w kraju), ale i na przeżycia, których dostarczył każdemu z nas, z grona ponad 1900 delegatów.

Czy tę nadzwyczajność albo jak kto woli historyczność chwili i wydarzenia uświadamialiśmy sobie? Dziś z perspektywy roku mogę odpowiedzieć jedynie tak samo, jak odpowiadaliśmy wówczas — tak.

Pierwsze, spontaniczne uświadomienie tego faktu przyszło już na wstępie Zjazdu, w pierwszych jego minutach. Była to niezwykle uroczysta, podniosła chwila, gdy wprowadzano sztandar PZPR. Następnie, zaraz po jego ustawieniu wysoko nad prezydium, pod kopułą Sali Kongresowej zabrzmiały święte dla wszystkich Polaków słowa Mazurka Dąbrowskiego.

W chwilę po hymnie, głos zabrał ówczesny I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, Stanisław Kania. Wyraził on głośno to, co czuł, co uświadamiał sobie każdy z nas.

„Nasz Zjazd ma do spełnienia bardzo wielką rolę. Wynika ona nie tylko ze Statutu, co jest oczywiste, ale i z potrzeby sytuacji, trudności jakie przeżywa nasz kraj. Musimy to zadanie wypełnić dobrze. Takie są powszechne oczekiwania. Takie myśli przywiodły każdego z nas na tę salę".

Mówił te proste słowa z charakterystycznym dla siebie spokojem i równie charakterystyczną, a nie najlepszą intonacją, ale i przejęciem, którego prawie nikt wówczas nie potrafił, nie chciał ukrywać. Świadomość dzieła, którego podjęliśmy się była wielka i prawie powszechna. Także i poczucie naszej odpowiedzialności było szczególne, bo szczególną była chwila, a jej konstatacja momentami bardzo ciążyła.

Oczekiwano od nas wiele, może nawet i zbyt wiele, ale też i skala problemów do rozwiązania była ogromna. Mieliśmy potwierdzić jako delegaci Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR naszą zdolność do sprostania tym oczekiwaniom, do pokierowania biegiem wydarzeń, do wytyczenia dróg rozwoju partii i Polski. Mieszały się w nas uczucia odpowiedzialności i nadziei, wiary i obawy. No, i ciążyła nam trema. Było wśród nas na 79 delegatów z województwa łódzkiego 76 debiutantów...

TAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Ale tak naprawdę, to zaczęło się o wiele wcześniej. Zjazd był bowiem jedynie kulminacją pewnych zjawisk o różnorodnym nasileniu i rozmiarze, które zachodziły w partii od lata, a może dopiero wczesnej jesieni 1980 roku. Zjawiska te były bądź pochodną, bądź też skutkiem wydarzeń, które zapoczątkowały kryzys ogólnospołeczny nie przełamany w pełni do dzisiaj. Najbardziej rozległym, a może jedynie najbardziej widocznym, najwyraźniej społecznie odczuwalnym jest kryzys i związane z nim perturbacje w sferze gospodarczej. Ale też i tu najwcześniej, choć może jeszcze nie dość skutecznie przystąpiono do kładzenia tam, które jeśliby nie przeciwdziałały, to choć poważnie ograniczały społeczne skutki ekonomicznego krachu.

Jednakże kolejny, czwarty już „polski zakręt", to przede wszystkim kryzys polityczny, bo polityka determinuje wszystko. Stąd też musiał on wywrzeć, tak jak i kryzysy poprzednie poważne piętno na PZPR, jako partii rządzącej. Nie mogła ona pozostać poza zasięgiem rozlicznych perturbacji, które dotknęły kraj po Sierpniu 1980 roku.

PARTIA POZOSTAŁA ZASKOCZONA

rozwojem zjawisk kryzysowych. Była na długo, myślę, że zbyt długo w swojej masie

Redaguje zespół **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogdą Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny) **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44 sekretarz redakcji 680 99 publicyści 677-70. Redakcja nie zwraca zastrzega sobie również prawo doskrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa Książka Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty roczne 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28 konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 60 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 86 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1256 z-11

Rok po IX Zjeździe PZPR

Zjazd nadzwyczajnych nadziei

biernym obserwatorem wydarzeń lata 1980 roku. Ta początkowa bierność wynikała między innymi z niewłaściwej i uproszczonej oceny dokonujących się zjawisk. Uwaga ta dotyczy zarówno stanowiska kierownictwa PZPR, jak i jej aktywu. W ocenach tych sięgano do wniosków i doświadczeń wydarzeń roku 1976, które jednak okazały się chybione. Bierność owa, a nawet kunktatorstwo wielu działaczy partyjnych stały się powodem rychłego ataku na PZPR, szczególnie na jej podstawowe ogniwa. Krytyka partii na dole była latem 1980 roku jeszcze odruchowa, żywiołowa, ale z czasem przybrała formy sterowanego ataku, rozniecania atmosfery niechęci, a nawet wrogości do członków PZPR w wielu zakładach pracy.

Partia, a uściślając jej aktyw nie był przygoto any do skutecznego zarazem odparcia wzbierającej fali oskarżeń, pomówień i zasadnych po wielokroć pretensji. Narastał równocześnie kryzys w samej partii.

Zjawisk tych nie potrafiono w porę opanować, skutecznie im się przeciwstawić. Stąd w konsekwencji odnotowaliśmy wówczas takie objawy jak: niemoc, odrętwienie, frustracja, polityczne i ideowe zagubienie i dezorientacja aktywu. Fakt ten zaowocował fatalnie. Udało się bowiem w znacznym stopniu upowszechnić w społeczeństwie, a i w samej partii wrażenie, że PZPR nie była siłą, która mogła wyprowadzić kraj z „zakrętu", że była złamana kryzysem, bezsilna, ideowo rozdarta, rozbrojona z argumentów i środków politycznego oddziaływania.

Cóż, partia była osłabiana i rozbrajana ideologicznie od dawna. Z wolna, ale coraz bardziej zatracała swój marksistowski charakter, stawała się masowo nijaka. Teraz targana wewnętrznymi sprzecznościami, atakowana od zewnątrz jeszcze bardziej zatraciła zdolność ofensywnego, skutecznego oddziaływania. Ponadto prędko postępował upadek jej autorytetu w społeczeństwie. Nie usprawiedliwia to jednak w dostatecznym nawet stopniu tak dalece postępujących nastrojów defetystycznych, które zepchnęły PZPR jesienią 1980 roku do głębokiej defensywy.

Winę za to ponosi przede wszystkim ówczesne kierownictwo tak szczebla centralnego, jak i terenowego, związanego z politycznie w oczach społeczeństwa zdyskredytowaną już ekipą. Ludzie ci pragnęli ze swojej ekspiacji, uczynić ekspiację partii. Wykorzystywali oni fakt, że dość powszechnej świadomości społecznej partia rządząca i to rządząca przez tyle lat jako siła przewodnia i kierownicza, posiadająca od roku 1948 monopol władzy, odpowiadała za wszystko zło i dobro. Skądinąd konstatacja taka nie jest przecież irracjonalna. Byli także i tacy, którzy za wszystko obwiniali „górę".

„Góra" zaś na długo utknęła w niemocy. Pomimo pewnych zabiegów symulujących umocnienie partii i jej autorytetu, szeregu pozornych zmian, sytuacja w partii, a także i kraju nabierała niebezpiecznego rozpędu w dół na równi pochyłej. Bierność i słabość partii skierowała się przeciw niej. Przeciwnicy PZPR, ulokowani w „Solidarności", przeciwstawiali partię społeczeństwu. Dlatego też masy rychło skierowały się w swoich oczekiwaniach w stronę nowego ruchu społecznego, stającego się obiektywnie rosnącą we wpływy i znaczenie siłą polityczną. W ten sposób PZPR niebezpiecznie groziła utrata nie tylko wpływów na bieg wydarzeń i świadomość narodu, ale i poważne ograniczenie inicjatywy politycznej. Rzeczywistość polityczna poważnie redukowała przewodnią i kierowniczą rolę partii. W tej sytuacji

INICJATYWĘ PRZEJĘŁY „DOŁY".

W tym okresie, z końcem roku 1980 mówiono jeszcze i pisano (i to sporo) o tzw. dołach partyjnych. Termin „baza partyjna" stał się popularnym w publicystyce na krótko przed IX Zjazdem.

Polityczne skutki bierności partii w okresie największego nasilenia buntu i robotniczego protestu były wielkie i dla niej samej nader szkodliwe. Nie musiało się tak przecież stać. Dowodzi tego to, że PZPR zdecydowanie zorientowała się na polityczne rozwiązanie kryzysu, na pluralizm związkowy, na dialog z masami. Były to obiektywnie biorąc przesłanki do zajęcia pozycji lidera przemian. Odnowa była jednak wdrażana opornie i niekonsekwentnie, zbyt powolnie w stosunku do rosnącej społecznej niecierpliwości. PZPR będąc osłabiona ideologicznie, nie była w stanie w pełni wykorzystać szansy stania się od pierwszych dni kryzysu motoryczną siłą przemian. Oddała w pewnym sensie pole, na które weszła „Solidarność". Wskutek tego ruch ten został okrzyknięty i wylansowany na inicjatora zmian, „Solidarność" i odnowa w świadomości olbrzymiej większości Polaków (i to nie tylko bezpartyjnych) stały się synonimami. Pogląd, że gdyby nie było „Solidarności", nie byłoby w Polsce żadnych zmian funkcjonuje wśród części Polaków do dzisiaj.

Aktywność bazy partyjnej, tak bardzo już odczuwalna w okresie późnej jesieni 1980 roku wezbrała w niezwykle trudnym i skomplikowanym dla partii czasie. Nowy ruch społeczny, najbardziej masowy z dotychczasowych ruchów buntu i protestu w Polsce, zdążył już okrzepnąć i zdobyć wielkie wpływy w masach. W związku z tą sytuacją powstała „luka ideologiczna". Ruch buntu i robotniczego protestu, jak to potwierdziło VI Plenum KC PZPR, nie był skierowany w swojej masie przeciw socjalizmowi. To prawda, ale obiektywnie był przejawem kryzysu socjalizmu w dotychczasowym, gierkowskim wydaniu. Był więc szczególnego rodzaju opozycją, dla której ideologię podrzuciły różne ugrupowania opozycyjne. „Solidarność" nie stworzyła własnej ideologii. Nie chciała być ruchem, który próbowałby na bazie marksizmu, wyciągając wnioski z minionych doświadczeń polskich kryzysów i posiadając atut robotniczego charakteru sformułować narodową drogę do socjalizmu bez błędów i wypaczeń.

Tymczasem w szeregach partyjnych ujawniło się poważne rozchwianie ideologiczne. Dały wtedy znać o sobie wielkie zaniedbania w pracy szkoleniowo-wychowawczej i ideologicznej nie tylko z okresu lat 70-tych. PZPR skutkiem tego w znacznym stopniu zatraciła rewolucyjny charakter. Partia pozostawała poważnie ograniczoną w zdolność wypełniania roli politycznej i ideowej awangardy klasy robotniczej. A to stanowiło już zagrożenie dla socjalizmu w Polsce. Osłabieniu uległa także kondycja polityczna aktywu, który z dnia na dzień tracił siłę oddziaływania. Narastało rozczarowanie i rozdarcie moralne wywołane rozmiarem bankructwa starej ekipy. Wielu załamywało się i odchodziło od partii, występowało z jej szeregów.

Nawiązywanym coraz częściej pod hasłem: co robić? kontaktom poziomym, towarzyszyło powszechne domaganie się jak najszybszego zwołania Nadzwyczajnego Zjazdu. Liczono, że najwyższe gremium partii rozwiąże jej rozliczne dylematy, przełamie kryzys w jej szeregach i wypracuje program wyprowadzenia kraju z politycznego zamętu oraz gospodarczego kryzysu.

PODZIAŁY I PRZYBUDÓWKI

Wraz ze wzrostem politycznej atywności w szeregach PZPR ujawniły się liczne i skomplikowane podziały. Jeden z przywódców ruchu struktur poziomych wyznaje w wywiadzie — „nigdy nie byłem komunistą". Równocześnie rośnie liczba tzw. „prawdziwych komunistów". Najwięcej zaś było zdezorientowanych i zagubionych. Nad PZPR zawisło niebezpieczeństwo frakcyjności. Należy w tym miejscu przypomnieć, że nie zmalało ono jeszcze długo po IX Zjeździe. Wtedy to bowiem szczególnie niebezpiecznie wzrosła agresywność rozmaitego rodzaju przybudówek zawiązanych w formuły klubów lub forum. W przybudówkach tych działali przede wszystkim ci, którzy byli z różnych powodów (często personalnych) nieusatysfakcjonowani przebiegiem i wynikami IX Zjazdu.

Przybudówki wznoszone były przeważnie na fundamencie mniej lub bardziej skrywanego dogmatyzmu. Były w PZPR nurtem wstecznym, zachowawczym, chcącym ją często sprowadzić na manowce dokrynerstwa i partyjnego szowinizmu. Groziło to ponownym odrywaniem się partii od mas, antagonizowaniem i jątrzeniem w jej szeregach, niebezpiecznym etykietowaniem i zrywaniem więzi między partią i narodem.

Ale uparty, a czasami zaślepiony personalnymi porachunkami dogmatyzm, nie był jedynym niebezpieczeństwem w łonie samej partii. Na przeciwstawnym biegunie pojawiły się bowiem tendencje rewizjonistyczne i hurrarewolucyjne, wypaczające robotniczy, marksistowski charakter partii, anarchizujący proces odnowy życia partyjnego, powrotu do źródeł. Trzeba z całym naciskiem i odpowiedzialnością stwierdzić, że oba nurty pozostają zawsze dla partii marksistowskiej równie niebezpieczne i szkodliwe.

Trzecim, wielkim balastem dla odradzającej się partii był narosły przez długie lata „garb mieszczaństwa". Tym mianem nazywam ludzi z gruntu bezideowych, którzy znaleźli się w PZPR przypadkowo, niepotrzebnie. To ludzie, dla których partia była przedsionkiem do kariery, którym legitymacja PZPR była mandatem do zajmowania uprzywilejowanej pozycji społecznej, gwarantem dostępu do profitów władzy. To polityczni gracze, ideowi hochsztaplerzy, ludzie bez moralności, którym było wszystko jedno z kim i dlaczego, byle z korzyścią dla siebie.

Osobny, niełatwy problem dla partii stanowił jej zawodowy aparat polityczny. Był on w okresie przedzjazdowym mocno krytykowany i surowo oceniany za skostnienie i rutynę, za uzurpowanie sobie nadrzędnej roli nad ciałami wybieralnymi w partii. Jak każda krytyka tamtego czasu, tak i ta była dla wielu krzywdząca, niesprawiedliwa. Ale daremnie byłoby zaprzeczać, że nie było w aparacie politycznym PZPR ludzi kompromitujących partię.

Byli i reformatorzy, ludzie którzy uwierzyli w to, że nie tylko trzeba, ale i można powrócić do przestrzegania w życiu i działalności partii norm i zasad ideowych, politycznych oraz moralnych marksizmu-leninizmu. Byli to ludzie spontanicznej żarliwości, wielkiej wiary i mocnej nadziei. Nie wszyscy byli komunistami, bo też nie wszystkim było dane poznać w partii arkana wiedzy marksistowskiej. Nikt na serio w PZPR o to przedtem nie dbał. Błądzili, ale stawali się bojownikami robotniczej i narodowej sprawy; zaangażowani po stronie socjalizmu, prawdy i sprawiedliwości. Byli w większości ludźmi młodymi, a więc i niedoświadczonymi, ale i nie obciążonymi rutyną.

Nie są to bynajmniej wszystkie linie podziału, które przebiegały wówczas w szeregach PZPR. Był także podział na „branżowców", „solidarnościowców" i bezzwiązkowców, no i tych z „autonomicznych". Z niespotykaną dotąd ostrością i otwartością ujawnił się podział w partii na wierzących i ateistów. Pewnie najbardziej niesprawiedliwym, bo schematycznym był podział na „starych" i „nowych". Ale i tu faktyczna linia podziałów przebiegała zygzakami.

Najważniejszym dla przyszłości procesów odnowy w partii i kraju był podział najtrudniejszy do ujawnienia, a mianowicie podział na tych udających i tych szczerze zaangażowanych po stronie naprawy wszelkiego zła.

ZJAZD NADZIEI

Jak już uprzednio wspomniałem kampanii przygotowań do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR towarzyszyły rozliczne społeczne nadzieje. Wierzono, że Zjazd w imieniu całej partii rozliczy się z przeszłością, dokona diagnozy przyczyn niepowodzeń, błędów, wypaczeń i kryzysów, wybierze nowe władze (przy czym akcent kładziono na dosłowne rozumienie słowa „nowe"), stworzy program na miarę potrzeb, choć mógł tylko podjąć rozwiązania polityczne dla zbudowania takiego programu, wreszcie, że będzie momentem przesilenia kryzysu, po czym partia odzyska już społeczny autorytet oraz przewodnią i kierowniczą rolę.

Czy tego rodzaju rachuby były jedynie polityczną naiwnością czy też raczej skutkiem małego uświadomienia w społeczeństwie, a więc i w partii, rozmiarów i rozległości zjawisk kryzysowych? Myślę, że przede wszystkim to drugie, ale również i presja nadziei. W „bazie" partyjnej dominowało wówczas przekonanie o tym, że nie tylko trzeba, ale i można politycznymi środkami przy aktywnej i znaczącej roli PZPR (przewodniej jej roli) rozwiązać skomplikowane polskie sprawy (czytaj: wszechstronny kryzys). Czy wiary nie stało, czy też umiejętności? Czy też może jeszcze coś innego było przeszkodą do uzyskania powodzenia „polskiego eksperymentu"? To już osądzi historia.

Pamiętam, że bardzo wielkie kontrowersje zbudziły wśród delegatów w dyskusji nad projektem uchwały IX Zjazdu, te jego fragmenty, które dotyczyły źródeł i charakteru kryzysu. Z polemiki tej zrodził się projekt powołania komisji dla wszechstronnego i wnikliwego zbadania tych tak ważnych kwestii. W świadomości delegatów, szczególnie pokolenia młodszego, sprawa określenia stosunku do przeszłości PZPR i przyczyn „polskich zakrętów", wydawał się być wówczas nie tylko kwestią zaspokojenia zwyczajnej ciekawości. Był to jeden z podstawowych warunków odzyskania wiarygodności partii w partii, a przez to i w społeczeństwie.

Pomiędzy tym, co było i co się stało, przeszłością, a tym, co winno być przyszłością, już bez kryzysów, wstrząsów i „zakrętów", było tylko gorące pragnienie poznania prawdy. Podobnie jak cały naród, tak i delegaci, wszyscy członkowie partii, pragnęli wiedzieć nie tylko, jak do tego doszło, co przeżyliśmy, bo to już z grubsza wiadomo, ale głównie, dlaczego? Kto jest temu winien, a może co?...

Odpowiedzi pełnej, satysfakcjonującej naród, Zjazd udzielić nie zdołał. I tu nadzieje oraz społeczne oczekiwania zostały zawiedzione. Delegaci rozjechali się, nękani wciąż tym samym dylematem. Myślę, że będzie kiedyś sposobniejsza chwila, aby rozpoznać tego przyczyny.

Czy IX Nadzwyczajny Zjazd rozwiązał definitywnie kwestię jedności partii? Z formalnego punktu widzenia na pewno tak. Między innymi zdefiniował wreszcie pojęcie działalności frakcyjnej, przywrócił proporcje w kwestii centralizmu demokratycznego oraz określił swój jednoznacznie negatywny stosunek do wszelkiego rodzaju „przybudówek". Ale prawdą jest i to, że życia w partii nie regulują same uchwały. Trzeba jeszcze warunków i klimatu dla ich realizacji. A tych nie było. Ponadto budowa jedności ideowej, politycznej i organizacyjnej partii, to proces długi, żmudny i niełatwy. Trzeba znacznego czasu i wielkiego wysiłku całej partii, aby jedność tę na powrót zbudować i umocnić, ugruntować. Niewątpliwie wpływ na to, że po IX Zjeździe jedności tej długo nie udało się osiągnąć miał fakt, że wyłonione w demokratycznych, wiarygodnych wyborach władze partyjne nie sprawowały w pełnym zakresie mocnego kierownictwa w stosunku do „bazy" partyjnej. Były przecież i takie organizacje, które akceptowały uchwały KC, KŁ, czy KD jedynie w części, realizowały je wybiórczo, tylko to, co im wydawało się słuszne, wygodne, właściwe. Zaś nieszczęście z powodu ocalałych jeszcze po Zjeździe „przybudówek" polegało na tym, że staliśmy się w partii mało tolerancyjni, nawet napastliwi. Był to swoisty odruch atomizacji, którego efektem były „barykady" i „szańce", usypane przez towarzyszy, noszących te same legitymacje. Na iluż to zebraniach partyjnych, zależnie od nastrojów społecznych i napięć w kolejnych przesileniach zabierali głos jedynie ci z jednej strony „wewnętrznej barykady" lub jedynie ich adwersarze? Dlaczego wszyscy nie mówili o wszystkim siłą argumentów swoich racji, a nie argumentem siły i nastroju? Ileż było przypadków sabotowania wspólnie, wolą większości, podjętych decyzji? A przecież sytuacja pozostawała wciąż na tyle złożoną, że na jej pokonanie, pozytywne i trwałe rozwiązanie nie było jednoznacznych sposobów, cudownych recept. Zbyt mało było odnoszenia się do argumentów, zbyt wiele do ludzi i ich etykietowania.

ZJAZD NADZWYCZAJNYCH DOKONAŃ

Z perspektywy zaledwie jednego roku niewątpliwie trudno jest bilansować znaczenie i dokonania IX Zjazdu. A zważyć przy tym trzeba, że Nadzwyczajny Zjazd PZPR miał miejsce w czasie, niezwykle burzliwym i brzemiennym w wydarzenia polityczne. Dlatego też dokonując takiej oceny w kontekście działań bieżących partii musi być ona siłą rzeczy niepełna i niedoskonała, a w przypadku moim obciążona także subiektywizmem patrzenia na problemy i wydarzenia z pozycji ich uczestnika.

Generalnie jednak stwierdzić należy, że IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, posiada znaczenie daleko wykraczające poza bieżące doświadczenia partii. Był on nie tylko ważnym, ale i doniosłym, ważącym wydarzeniem w powojennych dziejach polskiego ruchu robotniczego. Patrząc w tych kategoriach na dokonania IX Zjazdu trzeba raz jeszcze przypomnieć, że podjął on się zadania kompleksowej oceny źródeł niepowodzeń i kryzysów w PRL oraz wypracowania perspektywy socjalizmu w naszym kraju, rozumianej nie tyle i jak dotąd jako doganianie kapitalizmu, ani tym bardziej jego małpowanie, ale tworzenie nowych i ustrojowo wyższych wartości i jakości.

Był IX Zjazd, w przeciwieństwie do poprzednich, zjazdem „nowego" pokolenia polskich komunistów. Choć uczestniczyli w nim weterani polskiego ruchu robotniczego i choć nie zamierzali bynajmniej pozostać jedynie jego tłem ci, którzy o socjalizm walczyli z bronią w ręku w czasach rewolucji, to jednak w jego pracach dominowali „ludzie nowi", tj. średnie pokolenie partii. W tym sensie, a także biorąc pod uwagę wyniki demokratycznych wyborów do KC, ostatni zjazd PZPR, stanowi niewątpliwy przełom.

Był także IX Zjazd PZPR, autentyczną prezentacją opinii poglądów i woli znakomitej większości „bazy" partyjnej. Obradując w niesprzyjającym klimacie napięcia politycznego i pod presją ciśnienia wielkich nadziei był trudną i uciążliwą, ale prawdziwą, choć momentami gorzką, lekcją demokracji. Delegaci dużo mogli z lekcji tej wynieść dla siebie i dla partii.

O historycznym znaczeniu Nadzwyczajnego Zjazdu można mówić i w tym sensie, że stał się on inspiracją do wyzwolenia w trakcie kampanii ogromnego potencjału politycznej aktywności i ideowej żarliwości w szeregach partyjnych. Był to wielki impuls twórczej myśli. Stąd dorobek IX Zjazdu stanowi intelektualny kapitał całej partii.

To zaś, że wkrótce po IX Zjeździe odnotowaliśmy pewne osłabienie rytmu pracy i aktywności wielu ogniw PZPR, było zjawiskiem w znacznym sensie naturalnym. Po takiej „burzy mózgów" nastąpić musiało pewne wyciszenie. Dało także znać o sobie polityczne zmęczenie i znużenie wzrastającą wciąż nerwowością z powodu w dalszym ciągu napiętej sytuacji w kraju.

W tym okresie, a więc tuż po Nadzwyczajnym Zjeździe, partia była najmocniej atakowana przez swoich przeciwników. Był to czas przedzjazdowej kampanii w „Solidarności" i łódzkich „marszów głodowych". Dlaczego właśnie wtedy? Otóż dlatego, że druga strona zdawała sobie sprawę, że ten program uchwalony w Sali Kongresowej, miał duże szanse realizacji. Że stwarzał z jednej strony szanse zakończenia huśtawki politycznych nastrojów, że potwierdził raz jeszcze wolę PZPR w kwestii zawarcia narodowego pojednania, z drugiej strony był podstawą dla podjęcia szybkich i zdecydowanych działań antykryzysowych. Nakreślał realną perspektywę trwałego, politycznego rozwiązania „polskiego impasu".

Były niestety także podejmowane próby dyskredytowania dorobku Nadzwyczajnego Zjazdu w samej partii. Tu i ówdzie pojawiły się głosy i opinie, że „teraz, kiedy mamy już twardy grunt pod nogami i uchwałę programową, to wszystko już wiemy, wszystko winno być dla nas jasne, łatwe i proste". Działacze ci zapomnieli o tym, że w partii nie można przestać myśleć nigdy, jak również i o tym, że żadne rozwiązanie trudnych kwestii, jeśli ma być rozwiązaniem trwałym, nie bywa nigdy ani proste, ani łatwe.

Czas pokazał, że dla programu przyjętego na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR nie ma alternatywy. Od linii tam wypracowanej nie może być odstępstw ani nawrotów. Każda tego rodzaju wolta byłaby krokiem wstecz, powrotem do starego.

Program IX Zjazdu musi zostać zrealizowany, a dorobek intelektualny partii z tego okresu z pożytkiem zdyskontowany. Przypominając sobie doświadczenia i nauki okresu przedzjazdowego, trzeba pamiętać o tym, że polityczna siła i moralne atuty partii tkwią przede wszystkim w jej bazie. Najmocniejszym filarem partii był i pozostaje jej trzon robotniczy. Tak więc tam, w zakładach pracy, wśród robotniczych załóg znajduje się klucz do powodzenia realizacji linii i uchwał IX Zjazdu, w których upatrywać należy źródła odzyskania siły, autorytetu i pogłębienia robotniczego, marksistowskiego charakteru Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Rok po IX Zjeździe PZPR

Jestem umiarkowanym optymistą

Rozmowa z PAWŁEM ZAWADZKIM — delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR wybranym przez organizację partyjną WZPB 1 Maja, obecnie I sekretarzem KZ PZPR w ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex" w Łodzi.

Mija rok od obrad pamiętnego IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Rok — to nie jest dużo. Ale przez ten rok przeżyliśmy wiele. Jak teraz — po roku — delegat na Zjazd, jego uczestnik, biorący żywy udział w pracach najwyższej władzy partyjnej, ocenia to wydarzenie?

— Moje spojrzenie na Zjazd, ogromnie ważne przecież wydarzenie w życiu partii, niewiele się zmieniło. Ale ja nie patrzę na Zjazd tylko jako na wydarzenie, patrzę nań jako na wynik pewnego procesu, skutek tego, co było przedtem i przyczynę tego, co było później. Nawet mimo to, że nie wszystko dzieje się dziś tak, jakbyśmy tego chcieli. Był to najpierw proces dochodzenia do Zjazdu, proces kształtowania się zmian demokratycznych w partii, czas, powiedziałbym nawet, „rozszalałej demokracji", której negatywne skutki odczuwamy do dziś, ale i był to — przede wszystkim — proces pozytywnych przemian w partii.

Oczywiście, dziś patrzymy na to z niewielkiej perspektywy czasu, niektóre fakty oceniamy już inaczej, widzimy ich przyczyny i skutki, ale to nie upoważnia jeszcze do diametralnej zmiany punktu widzenia, do diametralnej zmiany oceny Zjazdu. Jego, na przykład, niezaprzeczalnym, historycznym sukcesem były demokratyczne wybory, które miały swoje źródło w procesie demokratyzowania się partii, mimo owej wspomnianej przeze mnie „rozszalałej demokracji", która była skrajnością, ale też i reakcją na brak demokracji w poprzednim okresie. Dziś trzeba te zjawiska widzieć w całej ich złożoności i właściwie je oceniać. Ale też traktować jako nie zakończony proces, gdyż widzimy w zakładzie pracy między innymi, nakładanie się na siebie kompetencyjności instancji, co nadal pozostaje sprawą do rozwiązania.

Mówiąc krótko — Zjazd niczego do końca nie rozwiązał, wskazał jedynie kierunek, drogę, po której powinniśmy iść dalej. Program Zjazdu trzeba również tak traktować — jako wytyczenie drogi. I tego dorobku Zjazdu trzeba strzec i chronić, bo to jest jedna z gwarancji trwałego zdemokratyzowania życia partii.

— A wspomnienia ze Zjazdu?

— Będę wspominał ten Zjazd do końca życia, bo coś takiego przeżywa się raz. Mam w domu kasetę z nagraniami relacji, jakie ze Zjazdu przekazywałem do zakładów pracy Widzewa i niedawno odtworzyłem ją sobie. Wróciła z tego nagrania tamta atmosfera, głosy delegatów, stanęły mi przed oczyma fakty, zdarzenia, przeżycia, emocje. To była przecież ogromna walka o wiarygodność nas, delegatów, o to, abyśmy nie musieli — jak to na Łódzkiej Konferencji Partyjnej powiedział delegat z „Fako" — włożyć na siebie pokutnych worków i krążyć wokół Łodzi.

Są to przeżycia niepowtarzalne. Trzeba je zachować dla potomnych. Pamiętam swoje trzydziestokilkugodzinne prace w Komisji Skrutacyjnej Zjazdu. Był to wielki bój o wiarygodność wyborów, żeby nie było manipulacji. Sami siebie kontrolowaliśmy, posunięte to było do absurdu, nie wierzyliśmy sobie jeden drugiego sprawdzał, ale czuliśmy ten ogromny ciężar odpowiedzialności przed całą partią.

Ciągle pamiętam ten gest Zjazdu prawie desperacki, to odcięcie się od poprzedniej ekipy, wyrzucenie jej z partii, odcięcie się od przeszłości. A jednocześnie odcięcie się od tego, żeby zaprosić na Zjazd Edwarda Gierka, żeby się wypowiedział, bo uznano, że jest niegodzien tego, aby stanąć przed najwyższym forum partii. Zjazd miał tę odwagę, aby podejmować decyzje ostateczne, jak w tym przypadku.

— Zjazd wytyczył drogę — zgoda. Ale można spotkać się i z takimi uwagami, że nie zawsze tą drogą idziemy. Czy rzeczywiście rezultaty Zjazdu są aż tak trwałe?

— Proces nigdy nie oznacza drogi prostej. Na tej drodze można spotkać przeszkody. Ale są i trwałe rezultaty. Oto jesienią ubiegłego roku odchodzi I sekretarz KC wybrany na Zjeździe. Nie odchodzi dlatego, że dostał zawału, że był chory, ale poddał się głosowaniu na posiedzeniu KC, był przy tym obecny, zszedł z prezydium i usiadł na sali między członkami KC, jako członek KC.

— Dziś, kiedy został wybrany członkiem Rady Państwa, zgłasza się pod jego adresem wiele uwag krytycznych.

— Odszedł w okresie, kiedy partia nie potrafiła iść drogą wytyczoną przez IX Nadzwyczajny Zjazd — to prawda. Nie potrafiła odnaleźć się na tej drodze, realizować tego, co zostało uchwalone na Zjeździe. Czy to była tylko wina Stanisława Kani? Cóż mu można zarzucić? Że był „centrystą" pogardzanym dziś przez „prawdziwych komunistów"? Że nie dopuścił do katastrofy? Że doprowadził do IX Zjazdu mimo prób odkładania jego terminów? Że chciał porozumienia?

A że zaproponowano mu członkostwo Rady Państwa? Przecież nie można ludzi doświadczonych, oddanych partii, skazywać na banicję, tworzyć zastępów „młodych emerytów". Czy nas na to stać? Uważam, że nie.

Nie jest moim zamiarem bronić Stanisława Kani. Inaczej go oceniam. Mam do niego określone pretensje. Chciał być sekretarzem całej partii. Nie wyszło mu. To się zdarza. Ale teraz nie jest czas na „zamachy stanu", na „zmiany ekip", jest natomiast czas na kulturę polityczną i powinniśmy się jej uczyć. Może nie miał predyspozycji, może trudy były za wielkie, zbyt skomplikowana sytuacja. Historia to oceni. Ja uchylam kapelusza!

A poza tym — to był człowiek skromny. Proszę popytać w Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi, gdzie jego syn służył, kiedy Stanisław Kania nie był jeszcze I sekretarzem. Jego drugi syn nie ukończył studiów wyższych, skończył średnią szkołę zawodową i poszedł do marynarki wojennej jako szeregowiec. Którego to z prominentów — nie tylko partyjnych i państwowych, ale i badylarzy — stać było na decyzję, aby syn służył jako szeregowiec w wojsku? A kiedy jako sekretarz KC, Stanisław Kania przyjechał do Łodzi na promocję, to nie stał na trybunie, ale wśród rodziców, jak wszyscy, a zaraz po tym wsiadł do samochodu i odjechał. Takie wartości też trzeba umieć cenić.

— No tak, ale to jest przykład jednostkowy. Czy znalazł on naśladowców? I czy to wystarczy dla przekonania ludzi, że IX Zjazd wprowadził trwałe zmiany w życiu partii?

— Byłbym w niezgodzie z sobą, gdybym powiedział, że wszystko co dzieje się w partii jest zgodne z duchem i linią IX Zjazdu. Niepokoi mnie na przykład ciągle niesprawny obieg informacji wewnątrz partii, co nie sprzyja rozwojowi jawności życia partyjnego. Nie wiem, co członkowie partii wiedzą o rzeczywistych powodach odejścia tow. Skrzypczaka z funkcji I sekretarza KW w Poznaniu? Być może tych, którzy są na „emigracji wewnętrznej" to nie interesuje, ale członków partii tak. Otóż, były istotne powody dokonania takiej zmiany. Tow. Skrzypczak uległ wypadkowi samochodowemu i chodził o kulach. To bardzo utrudniało pracę, bo to przecież ciągłe spotkania, kontakty, narady, konferencje. To raz. A po drugie — popełnił, jak każdy człowiek zresztą, szereg błędów w kierowaniu wojewódzką organizacją, z których tłumaczył się przed Biurem Politycznym KC, uznając zasadność zarzutów.

— A Stanisław Kociołek?

— Po prostu utracił wspólny język z wielkoprzemysłową klasą robotniczą Warszawy. Powstały różnice poglądów i sam uważał, że powinien odejść. Być może, jako ekonomista powinien stanąć do konkursu na dyrektora, ale jest on bardziej ideologiem, posiada wielką znajomość marksizmu, jego wystąpienia mają duży ładunek ideologiczny, pracował już w dyplomacji, więc uznano, że powinien do tej pracy powrócić. I o takich rzeczach powinno się otwarcie mówić.

Zresztą ruch kadrowy w partii powinien być rzeczą naturalną. Zmieniają się sytuacje, powstają nowe potrzeby, ludzie mogą im nie sprostać, na ich miejsce muszą przychodzić inni. I trzeba to traktować w sposób normalny, naturalny, aby nie sprzyjać rodzącym się obawom, że „wraca stare".

— Szereg zmian kadrowych może jednak budzić takie obawy.

— Dokonano je w okresie stanu wojennego, mając na uwadze wyższą konieczność. Ja sam jestem w podobnej sytuacji. Zostałem mianowany I sekretarzem KZ PZPR w ZPB im. J. Marchlewskiego 19 stycznia 1982 roku. Ale — proszę jednak nie traktować tego jako samoobrony — po pierwsze, znam takie przypadki, kiedy ludzie wybrani jak najbardziej demokratycznie w okresie „szalejącej demokracji" nie wytrzymali naporu i odeszli. I — po drugie — będzie teraz kampania sprawozdawcza, a więc będzie okazja, aby konferencje, plena, egzekutywy i organizacje partyjne oceniły pracę działaczy partyjnych postawionych na odpowiedzialne stanowiska w warunkach, kiedy toczyła się i nadal toczy ostra walka polityczna, i postanowiły co dalej. Czy ci ludzie — ze mną włącznie — zyskali sobie zaufanie, sprawdzili się i pracą swoją przyczynili się do umacniania sił partii, czy też nie spełnili oczekiwań. Trzeba się odwołać do zbiorowej mądrości partii.

Partia zaczyna uzbrajać swoich członków w oręż ideologiczny, uczyć ich, przygotowywać do działania. Czas już odejść od przemówień do działań i do sprawdzania się w tych działaniach. Ale póki co — wierzę — nazwijmy to umownie — w „zawodowstwo", to znaczy w pewne predyspozycje, doświadczenie, umiejętności niezbędne w kierowaniu pracą partyjną. Nie zawsze wystarczają zapał i dobre chęci. Dziś już nie stać nas na ciągłe pretensje do „góry" i nicnierobienie na „dole".

Jeżeli jednak niezbędna jest kooptacja — której jestem przeciwnikiem — to trzeba sięgnąć do składów delegatów na konferencje, do członków instancji. Dokooptowanie ludzi spoza tych gremiów musi być ostatecznością. Gdyby było inaczej — byłoby bardzo źle. Partii są potrzebni nowi ludzie, ale dobrze przygotowani, trzeba więc ich szkolić. Są to wszystko problemy, z którymi partia musi sobie poradzić.

— Zjazd miał znaczenie historyczne. To prawda. Ale po Zjeździe tego jakby nie doceniono. Ten wielki wysiłek, jakiego dokonała partia przygotowując Zjazd, przeprowadzając go, nie został po Zjeździe wykorzystany. Dlaczego? Jak na to patrzeć dziś, po roku?

— Używając języka sportowego — a mogę chyba sobie na to pozwolić — trzeba powiedzieć, że byliśmy zmęczeni, siedliśmy, nie poszliśmy za ciosem. Ale to tylko część prawdy. Druga część —to cios, jaki dostaliśmy od przeciwnika. Na przykład „marsze głodowe" w Łodzi. Dobrze przemyślane, przygotowane. Były kłopoty z zaopatrzeniem — to prawda. Sam widziałem kobiety w fabryce, które przynosiły do pracy chleb z pomidorem. Decyzje się nakładały, był jeszcze chaos. To wszystko prawda. Ale głodu nie było. „Tygodnik Powszechny" — pismo katolickie — napisał, że używanie pojęcia „głód", to co najmniej nietakt. Pracowałem wówczas w WZPB 1 Maja i wiem, że z mojej fabryki poszły w tym „marszu głodowym" kobiety, którym raczej należało zalecać... odchudzanie. To jednak był celny i silny cios. Odwrócił on uwagę od uchwał zjazdowych.

Ale to jedna strona zagadnienia. Druga — to brak koncepcji, jak te uchwały realizować, jak spożytkować ten wielki wysiłek partii. Jaką przyjąć strategię w walce z przeciwnikiem? Jak wykorzystać ten entuzjazm i zapał partii w walce politycznej z opozycją? Partia — jej kadry — nie były do tej walki przygotowane. Przeciwnik był natomiast okrutny i bezwzględny. Bardzo boleśnie odczuwałem wówczas to, jak nas policzkowano, atakowano, poniewierano. Fakty z tego okresu znamy, wystarczy sobie je tylko przypomnieć.

— Dziś, w warunkach pewnego spokoju, bo trudno mówić o całkowitym spokoju i stabilizacji, wracamy do uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, starając się w praktyce realizować jego linię. Czy znajomość tych uchwał jest powszechna i wystarczająca?

— Jest ona raczej ogólna. Uważam, że jeśli chcemy walczyć o ich realizację, to musimy je dobrze znać. Nie jest ona obecnie wystarczająca. Raczej powierzchowna. Dla mnie teraz najważniejsza jest walka o reformę gospodarczą. I to jest główne zadanie organizacji partyjnych. O związkach ekonomiki i polityki nie muszę chyba nikogo przekonywać. Uchwała IX Zjazdu mówi o konsekwentnym wprowadzaniu w życie reformy gospodarczej. I tu rzeczywiście jesteśmy konsekwentni, chociaż nie odbywa się to bez trudności i przeszkód. Kierownictwo partii, zgodnie z realiami politycznymi, od 1 stycznia 1982 roku wywiera określony wpływ na realizowanie reformy. I to jest dobre, bo odkładanie reformy powodowało, że przybywało jej przeciwników. Niektórzy mówili: najpierw uzdrowimy gospodarkę, a później wprowadzimy reformę. Może w normalnych warunkach byłoby to działanie uzasadnione, ale my działamy przecież w warunkach nienormalnych, bo stan wojenny — to nie są normalne warunki. Gdyby nie było tego stanu — powiedzmy to sobie uczciwie — to nie wiem czy bylibyśmy zdolni przeprowadzić kilka operacji o znaczeniu strategicznym. To na przykład operacja ceny i druga — płace. Reforma nie wypali, jeśli ludzie nie będą widzieli szans na lepszą pracę i lepszą płacę. Bez tego dalej nie ruszymy.

— Reforma rodzi też szereg zjawisk ujemnych. Wzrost cen na różne usługi spowodował na przykład znaczny odwrót od dotychczasowych sposobów wypoczywania, podrożały wczasy, warunki życia stają się coraz trudniejsze.

— Trzeba się na coś zdecydować. Socjalistyczne państwo musi występować w roli opiekuna najbiedniejszych, ale przecież nie wszystkich obywateli. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: czy bezwzględnie uruchamiać wszystkie mechanizmy ekonomiczne, nie patrząc na to, że powoduje to biednienie niektórych grup ludności, a więc kosztem pewnych niesprawiedliwości uzdrawiać gospodarkę, czy też nadal trwać w kryzysie, pogłębiać nieprawidłowości w funkcjonowaniu tej gospodarki!

Co natomiast najbardziej denerwuje ludzi w fabrykach? To, że obok wzrostu kosztów utrzymania są grupy ludzi, którzy na kryzysie, w sposób błyskawiczny zbijają majątki. Niech będą ajenci, niech rozwija się sieć prywatnych butików, ale ceny w nich proponowane nie mogą wręcz obrażać większości społeczeństwa, które uczciwie pracuje i nie ma możliwości dodatkowych zarobków. Toteż ostatnio, POP wydziału wykończalni w „Marchlewskim" podjęła uchwałę, domagającą się od władz zdecydowanych posunięć w walce ze spekulacją, zawyżonymi cenami na wolnym rynku, żądającą również jak najszybszego wprowadzenia właściwej polityki podatkowej. I tę uchwałę prześlemy i do KŁ PZPR i do Komitetu Centralnego.

Ale trzeba mieć świadomość, że dokonywane przemiany w ekonomice wymuszą też zmiany polityczne. Proces demokratyzacji życia nie został zakończony. Stan wojenny temu nie sprzyja, ale stan wojenny nie może trwać wiecznie. Proces ten będzie musiał dalej się rozwijać. Jest wiele wątpliwości i niejasności, jak to się dalej potoczy. Na przykład mamy OKON-y, mówimy o froncie porozumienia narodowego, a co z FJN, który jest zapisany w Konstytucji? Mówimy o samorządzie w gospodarce, a w innych dziedzinach życia? Jeśli ludzie mają się wypowiadać o wszystkim i sami decydować, to gdzieś muszą to robić. Co na przykład dalej z samorządem mieszkańców? Ludzie muszą przecież czuć, że o czymś naprawdę decydują. Ale to samo nie przyjdzie, o to trzeba walczyć.

— A samorząd w zakładzie pracy? Jaka będzie rola organizacji partyjnej w takim samorządnym, samofinansującym się i samodzielnym zakładzie pracy?

— Samorządy powinny być „odblokowane" i im prędzej to nastąpi, tym lepiej. I mimo to, że w fabryce będzie samorząd i administracja, jest tam również miejsce dla organizacji partyjnej. Tylko do tego potrzeba naszej umiejętności działania poprzez członków partii. Trzeba wrócić do tych idei formułowanych przed IX Zjazdem, działania właśnie poprzez członków partii. Administracja skłonna jest uciekać w ekonomikę, gubić z pola widzenia człowieka i jego interesy. Trudno powiedzieć, jak te sprawy będzie widział samorząd. Ale partia powinna walczyć o przywracanie socjalistycznego charakteru przedsiębiorstwa, widzieć człowieka, bronić jego interesów, jeśli ma być partią klasy robotniczej.

Zresztą już teraz obserwuję, że ludzie zaczynają przychodzić ze swoimi sprawami, kłopotami do organizacji partyjnych, do komitetu.

— I załatwiacie im te sprawy?

— W miarę naszych możliwości, uruchamiając wszelkie możliwe instytucje i mechanizmy, bo nie chodzi o to, abyśmy to robili za innych. Ale idzie to jak po grudzie.

— Dlaczego?

— Przyzwyczajenia. To straszna siła. Jeśli się ktoś czegoś nauczył, jeśli przywykł do biurokracji, to trzeba ogromnej siły, aby go tego oduczyć. Posłużę się może przykładem trochę z innej dziedziny, ale równie ważnej, bo dotyczącej reformy płac. Chcieliśmy ją w zakładzie zacząć od 1 czerwca, ale okazało się, że nie jest przygotowana. No, to od 1 lipca. Dobrze, ale tylko na jednym wydziale. Dlaczego? Ano, bo brakowało niezbędnych danych. Urzędnicy od wielu lat nauczyli się obliczać tak a nie inaczej i do dziś nie bardzo rozumieją, czego się od nich oczekuje. Postanowiliśmy, że przeszkolimy w sprawach reformy całą kadrę i pracownicy będą musieli z tej wiedzy wykazać się na... egzaminie. Wobec takich zjawisk — jak nieumiejętność reagowania na bieżące potrzeby — organizacja partyjna nie może przejść obojętnie. Nie może być tak, aby przez indolencję jednego czy dwóch urzędników cierpieli ludzie, bo nie mogą więcej zarobić, choć mają ku temu warunki.

— To są pierwsze objawy i kłopoty samodzielności.

— Skończyły się czasy, że przychodziły instrukcje, jak i co robić. Dziś trzeba myśleć samemu i samemu szukać rozwiązań. Kto pierwszy na to wpadnie, ten będzie lepszy. Narzekają na przykład, że spółdzielczość ma wyższe płace, że zabiera ludzi z przemysłu, że ma surowce. Ale spółdzielczość była samorządna, nauczyła się tego wcześniej, wcześniej dokonała odpowiednich zmian i dziś ma rezultaty. I to dobrze. Teraz my musimy pomyśleć, jak ludzi przyciągnąć do przemysłu. Zaczyna powoli działać zasada, że ludzie tam idą, gdzie jest lepsza fabryka, lepsza praca, lepsze warunki i wyższa płaca. To będą realia obowiązujące i na nic nie przyda się płacz i narzekanie.

Gdy gospodarka w upadku, trzeba schować sentymenty do kieszeni i wziąć się do pracy. Kto wypracowuje zysk, ten może go dzielić. W „Marchlewskim" też wprowadziliśmy — zdaniem niektórych — brutalne pociągnięcia. Płacimy więcej za wypracowanie zysku. W rezultacie absencja chorobowa spadła z 17 do 7 procent.

— A nie zarzuca się wam, że postępujecie niemoralnie?

— Zarzuca się, że premiujemy niechorowanie. Płacimy po 2 tysiące zł kwartalnie od zysku za to, że robotnik ten zysk wypracował. Płacimy za pracę. A gdzie na świecie płaci się za coś innego? Wizyty u lekarza spadły o 30 procent. Ludziom zaczęło się opłacać pracować, a nie brać zwolnienia z byle powodu. Uważam, że powinniśmy walczyć o to, aby państwo stworzyło obywatelom warunki dla poprawy zdrowotności, opieki nad chorymi, którzy często w pracy stracili zdrowie, dla rozwijania profilaktyki, aby nie brakowało lekarstw i tak dalej. Ale to wszystko nie może odbywać się kosztem pracy, fabryka jest po to, żeby produkowała i my staramy się teraz o to, aby był zysk, później będziemy myśleli, aby tego zysku było więcej i aby ludzie mieli z tego większą korzyść, więcej mogli zarobić.

— I ostatnie już pytanie. Do tej pory bywało w partii dużo dobrych uchwał, ale pozostawały najczęściej na papierze. Co trzeba zrobić, aby uchwałę IX Zjazdu nie spotkał ten sam los?

— Po VII i VIII Plenum KC PZPR opracowano zadania dla organizacji partyjnych i teraz ocenia się, jak one zostały zrealizowane. To jest nowa praktyka i robi się coraz bardziej skuteczna. Organizacjom trudno się do tego przyzwyczaić. Są to działania dyscyplinujące partię. A tego nie było. Pewnie, że zdarzają się poślizgi, bo musimy się liczyć z realiami, z rzeczywistością zakładu pracy. Ale jeśli ten styl pracy utrzyma się, to przyniesie on pozytywne rezultaty. Wszyscy musimy się tego nauczyć. A poza tym, to partia musi pilnować realizacji swoich uchwał. Tego też się trzeba nauczyć. I pracy nad ich realizacją.

— Z tego widać, że jesteś optymistą.

— Zawsze byłem optymistą, ale umiarkowanym.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Gaz dla Europy czyli kto nie kocha Syberii?

HENRYK SROCZYNSKI

Nigdy jeszcze w historii stosunków międzynarodowych nie było tyle kontrowersji wokół umowy handlowej ile jest obecnie w związku z budową gazociągu syberyjskiego dla Europy zachodniej.

„Wielka rura", jak mówi się o tej gigantycznej inwestycji, jest dziś tematem ostrych dyskusji politycznych, wielu polemik po obu stronach Atlantyku i przede wszystkim powodem poważnego zaniepokojenia na starym kontynencie dążeniami USA do wojny gospodarczej ze Wschodem.

Czym jest dla Europy zachodniej to największe przedsięwzięcie w dziedzinie energetyki, komu i jakie daje korzyści oraz jakie są motywy amerykańskiej presji na sojuszników i restrykcji wobec ZSRR — oto właśnie kwestie, które — wykorzystując szereg zagranicznych publikacji — chcemy przybliżyć Czytelnikom „Odgłosów".

PALIWO PRZYSZŁOŚCI

Przyszłość należy do gazu ziemnego — tak przynajmniej stwierdzali eksperci na niedawno zakończonym kongresie gazowym w Lozannie. Według ich prognoz, zużycie tego paliwa będzie szybko wzrastać aż do czasu praktycznego zastosowania syntezy jądrowej,' wykorzystania energii słonecznej lub innego jeszcze źródła. Za dobrą koniunkturą na gaz przemawia kilka czynników.

Gaz jest paliwem „czystym", łatwym do kontroli, ma rozliczne zastosowania i — co nie mniej ważne — jego rezerwy nadające się do wydobycia są znacznie bardziej obfite niż zasoby ropy naftowej; oblicza się, że przy przewidywanym wzroście zużycia tego paliwa o 73 proc. do roku 2000, zaledwie trzecia część rezerw gazu zostanie wyczerpana. Ponadto, w przeciwieństwie do ropy, złoża gazu ziemnego są bardziej równomiernie rozmieszczone na świecie i na ogół znajdują się blisko ośrodków przemysłowych konsumujących to paliwo. Możliwość zaopatrywania się w gaz z różnych niezbyt odległych pokładów uniezależnia też kraje od jednego głównego dostawcy, tak jak to jest w przypadku ropy.

Po raz pierwszy i na szeroką skalę zaczęto wykorzystywać gaz w Stanach Zjednoczonych — dziś ten nośnik energii uczestniczy w 30 proc. w ogólnoamerykańskim bilansie energetycznym. Gaz jako paliwo wykorzystywany jest w USA w elektrowniach i zakładach przemysłu ciężkiego oraz dla celów ogrzewczych. Na tak wysoki udział gazu ziemnego w strukturze zużywanych paliw w Stanach Zjednoczonych złożyła się wielka rozbudowa, po II wojnie światowej, sieci gazociągów i niska cena tego paliwa narzucona przez władze federalne.

Choć Stany Zjednoczone posiadają tylko 15 proc. światowych zasobów gazu (ZSRR — 36 proc., Bliski Wschód — 24 proc. i Europa zachodnia — 10 proc.), to jednak spalają niemal połowę tej ilości gazu którą aktualnie konsumuje światowa energetyka. Poza Stanami Zjednoczonymi gaz stosunkowo późno wkroczył na rynek paliw — dopiero w ostatnich latach jego wykorzystanie zaczyna wzrastać. Obecnie też, w związku z dobrymi perspektywami przełamania depresji w jakiej znajdują się państwa kapitalistyczne, pojawiają się trudności w zrównoważeniu dużego popytu na to paliwo z jego podażą.

EUROPEJSKIE ZASOBY

W Europie dopiero w końcu lat 50 zaczęto budować wewnątrzkontynentalny system dystrybucji gazu. Stało się tak dzięki odkryciu złóż w dolinie rzeki Pad we Włoszech, pól gazowych w rejonie Lacq we Francji oraz bardzo bogatych zasobów w Groningen w Holandii. Z biegiem czasu wykryto duże pokłady gazu w dnie Morza Północnego — w sektorze brytyjskim i norweskim.

W ubiegłym dziesięcioleciu podstawą dla rozwijającego się zużycia gazu były złoża w Groningen; stąd pochodziło 40 proc. europejskich dostaw tego paliwa. Jednakże w końcu lat siedemdziesiątych osiągnięto tu pułap możliwości wydobywczych; Holandia, z myślą o własnych potrzebach, wprowadziła ograniczenie w eksporcie tego paliwa. Odkryte pokłady gazu na Morzu Północnym (w rejonie południowej części Anglii) także nie zapewniały większych dostaw. Zaś złoża we Francji i we Włoszech od początku miały znaczenie tylko lokalne. Nowe nadzieje, jeśli chodzi o własne możliwości, Europa zachodnia pokłada w nowo odkrytych złożach na Morzu Północnym w rejonie Szkocji oraz w rejonie Norwegii. Jednakże wielkość tamtejszych zasobów i techniczne warunki ich eksploatacji nie gwarantują długoterminowego i w odpowiednich rozmiarach zaopatrzenia kontynentu.

Obecnie w Europie zachodniej zużywa się 120—130 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie, w tym prawie 20 proc. stanowi gaz importowany z ZSRR i Algierii (istniejącą już siecią gazociągów Związek Radziecki pokrywa 60 proc. zapotrzebowania Austrii, 22 proc. zapotrzebowania Włoch, 17 proc. — RFN i 16 proc. — Francji). W 1970 r. udział gazu w ogólnym bilansie energetycznym Europy zachodniej wynosił tylko 2 proc., obecnie sięga 12—16 proc. Według ekspertyz koncernu „Shell", należy przewidywać, że w najbliższym okresie wzrost zużycia gazu w Europie będzie szybszy niż innych paliw. Z zachodnich źródeł wiadomo, że import ropy państw EWG spadł w ub. roku o 16 proc.

Najważniejszy problem energetyczny przed jakim stanęła Europa lat osiemdziesiątych określa się w różnych stolicach tego kontynentu następująco: jak dalece wzgląd na możliwości zaopatrzeniowe rzutować będzie na tempo zwiększania udziału gazu w ogólnym bilansie energetycznym i jak można złagodzić niedobory gazu w Europie drogą importu tego paliwa — tankowcami bądź siecią gazową.

WYŚCIG PO GAZ

Interes gospodarczy każe Europie patrzeć w stronę Związku Radzieckiego. Kraj Rad w obecnym planie pięcioletnim zwiększa wydobycie gazu o połowę tj. z 435 do 600—640 miliardów metrów sześciennych (wydobycie ropy wzrastać będzie co roku tylko o 1 proc.).

Główne obszary roponośne w ZSRR to Syberia Północna, a zwłaszcza złoża na Półwyspie Jamal. Myśl zbudowania „mostu paliwowego" między Europą a Syberią Północną ma swą długą historię. Na dobrą sprawę zrodziła się jeszcze w okresie gdy podejmowano decyzje handlowe o połączeniu rurociągu „Przyjaźń" z zachodnim wewnątrzkontynentalnym systemem dystrybucji gazu. Nikt jednak nie wyobrażał sobie wówczas, że to paliwo oczekuje taka kariera i że z czasem będzie można planować gigantyczny gazociąg z Półwyspu Jamal do rzeki Men.

Oferta radziecka podjęcia tak wielkiej inwestycji przyszła w samą porę. Odpowiedzią na tę ofertę był, jak się to dziś określa na zachodzie, europejski wyścig po gaz syberyjski. Już dziś zapotrzebowanie na gaz radziecki jest większe niż możliwości przesyłowe budowanego gazociągu.

Po rozmowach sondażowych w stolicach europejskich ustalono, że projektowany gazociąg syberyjski powinien w ciągu roku przetransportować do zachodniego systemu dystrybucji gazu, 40 miliardów metrów sześciennych tego paliwa. Aby to osiągnąć, doniecki Instytut Naukowo-Badawczy „Gioprogaz", któremu zalecono opracowanie dokumentacji technicznej, zaprojektował dwururowy gazociąg o średnicy 1420 milimetrów (każdej rury). Jego długość, licząc od złóż w Urengoju do granic wschodniej Bawarii, wyniesie około 5,5 tysiąca kilometrów. Trasa będzie wiodła przez rejony wiecznej zmarzliny, błota, rzeki i zbiorniki wodne oraz przez grzbiety górskie.

O skali przedsięwzięcia świadczą choćby następujące fakty:

▲ budowa tysiąca kilometrów gazociągu wymaga użycia rur, które ważą jeden milion ton;

▲ ze względu na koszt i krótki termin realizacji gazociągu, inwestycja ta będzie znacznie droższa niż budowa słynnej transsyberyjskiej trasy BAM;

▲ budowa tylko jednej nitki rurociągu wraz ze stacjami kompresorowymi na odcinku Urengoj — stacje rozdzielcze w centralnej części ZSRR (3 tys. km) będzie kosztować 2,5 miliarda rubli, zaś ogólny koszt inwestycji oblicza się na 12 miliardów dolarów;

▲ dostawy gazu przewidziane są dla: RFN, Francji, Austrii, Włoch, Belgii, Holandii i Szwajcarii oraz ewentualnie dla Grecji i Hiszpanii.

KREDYTY I SPŁATY

Podczas gdy w niektórych dziedzinach energetyki np. energetyka atomowa, ZSRR opiera się w zasadzie tylko na własnych doświadczeniach, to w innych jak gazownictwo oraz wydobycie i przetwarzanie ropy, konieczne jest — dla osiągnięcia stawianych sobie celów — wykorzystywanie technologii najbardziej rozwiniętych krajów kapitalistycznych. I tu właśnie rozpoczyna się problem. O ile bowiem rządy RFN, Francji i innych europejskich krajów oraz rząd Japonii (nie zainteresowany tym gazociągiem), odpowiedziały pozytywnie na radziecką ofertę zakupu rur stalowych, maszyn i różnego rodzaju urządzeń potrzebnych dla tej inwestycji, to rząd USA od samego początku odnosił się do radziecko-zachodnioeuropejskiej transakcji gazowej nieprzychylnie. Między amerykańskimi koncernami, które prześcigają się w walce o zamówienia radzieckie, a administracją waszyngtońską powstały i mają miejsce silne kontrowersje.

ZSRR zaproponował zachodnioeuropejskim państwom dogodne warunki: zaciągnięte kredyty na zakup rur, stacji kompresorowych i innego sprzętu będą spłacane właśnie dostawami gazu. Banki francuskie i RFN utworzyły już konsorcjum, które udzieliło ZSRR kredytu na zakupy związane z gazociągiem w kwocie 5,2 miliarda dolarów. Podjęte też zostały rozmowy z bankami japońskimi w celu uzyskania, również na zakup sprzętu dla gazociągu w tym kraju, kredytu w wysokości 3 miliardów dolarów.

AMERYKAŃSKI SPRZECIW

Mimo że administracja prezydenta Cartera próbowała odwieść sojuszników europejskich od porozumienia z ZSRR w sprawie budowy gazociągu, to jednak upoważniła pewne firmy amerykańskie do uczestnictwa w tej inwestycji. Równocześnie Waszyngton zakazał sprzedaży Związkowi Radzieckiemu różnych urządzeń do wierceń naftowych.

Ronald Reagan jeszcze w toku swej kampanii wyborczej krytykował stanowisko państw zachodnioeuropejskich w kwestii kontraktu z ZSRR i zapowiadał, że jako prezydent wprowadzi dalsze ograniczenia dotyczące transferu technologii do Związku Radzieckiego. Wyrażał też pogląd, że rury stalowe, które Europa dostarczy dla gazociągu, zwolnią moce produkcyjne przemysłu radzieckiego i umożliwią ZSRR dalsze szybkie zbrojenia.

Stanowisko amerykańskie wobec gazociągu syberyjskiego od początku jednak było niejednolite. Uformowały się w Waszyngtonie dwa ośrodki reprezentujące odmienne poglądy w tej sprawie.

Pierwszy ośrodek jest umiejscowiony głównie w Pentagonie i CIA oraz w zbliżonych do nich instytucjach. Wyraża się tu opinie że gazociąg boleśnie i bezpośrednio uderzy w interesy i bezpieczeństwo USA oraz że będzie ważnym źródłem walut dla ZSRR, co ułatwi mu udział w wyścigu zbrojeniowym. Konserwatywna fundacja „Heritage" w Waszyngtonie domaga się, by administracja Reagana wykorzystała wszelkie możliwe sposoby — nawet za cenę nieporozumień między sojusznikami — dla uniemożliwienia realizacji tej inwestycji.

Drugi ośrodek różniący się poglądami i taktyką postępowania powstał wokół Departamentu Stanu. Sam b. sekretarz stanu, A. Haig wspierany przez szereg ośrodków naukowych, w tym przez Centrum Badań Strategicznych uniwersytetu w George Town w Waszyngtonie, twierdził, że Stany Zjednoczone ze względów taktycznych nie powinny stawiać żadnych sprzeciwów wobec budowy gazociągu, gdyż program w tym zakresie zostanie zrealizowany bez względu na stanowisko USA. Opór — zdaniem A. Haiga — wywoła tylko niepotrzebne zadrażnienia między Stanami Zjednoczonymi, a ich sojusznikami na starym kontynencie.

Głównym argumentem jakim dziś operuje nieprzychylnie nastawiony do gazociągu Waszyngton, jest „przewidywane zbyt wysokie uzależnienie strategiczne" Europy od ZSRR w dziedzinie paliw. Podstawowe rozbieżności między państwami zachodnioeuropejskimi, a Stanami Zjednoczonymi zaczynają się więc od statystyk. Amerykanie twierdzą, że już 25-procentowy, a na pewno 30-procentowy udział radzieckiego gazu w bilansie paliwowym któregoś z krajów stanowi „zależność strategiczną", gdyż przerwy w dostawach mogą wywołać chaos gospodarczy.

Z początku Europa mimo uszu puszczała te uwagi, ostatnio jednak poszczególne kraje same zaczęły określać sobie pułap, którego przekroczenie mogłoby zbytnio uzależnić kraj od dostaw z jednego źródła. I tak na przykład RFN spodziewająca się, że w 1990 r. w 30 proc. będzie opierać się na gazie radzieckim, wysokość odsetka o którym można by mówić, że stanowi „uzależnienie strategiczne" wyznaczyła sobie na poziomie 40 proc. Z amerykańskimi uwagami na temat ryzyka, jakie się wiąże z wielką dostawą radzieckiego gazu, polemizował nawet sekretarz generalny NATO, Joseph Luns. Wprawdzie twierdzi on, że porozumienie radziecko-zachodnioeuropejskie kryje w sobie wiele niebezpieczeństw politycznych, to jednak uważa, że sprawa ewentualnego zakręcenia kurków gazociągu przez ZSRR wcale nie stworzy chaosu gospodarczego. Europa mogłaby wówczas korzystać z innych źródeł np. w Algierii, Norwegii i Holandii.

KONTRY EUROPY

Kontry Europy wymierzane w Waszyngton są silne. Przede wszystkim politycy i ekonomiści twierdzą, że ZSRR nigdy — w całej historii stosunków gospodarczych — nie próbował wykorzystać przeciwko Zachodowi broni gospodarczej i że zawsze solidnie, bez względu na sytuację, wywiązuje się z umów. Niektórzy przypominają, że nawet w czasie amerykańskiego embarga na dostawy ropy w 1974 r. ZSRR ani nie ograniczył dostaw, ani nie podniósł ceny paliw.

Wielu polityków zachodnioeuropejskich podkreśla, że sytuacja w rejonie Zatoki Perskiej jest niestabilna i na dłuższą metę nie można polegać głównie tylko na jednym źródle paliw. Zaś jako kontrargument przeciwko twierdzeniom, że ZSRR chce oderwać Europę od USA mówi się w stolicach zachodnioeuropejskich: właśnie tylko dzięki współpracy gospodarczej ze Wschodem udaje się ograniczyć skutki depresji, a sam gazociąg przyczyni się nie tylko do ustabilizowania tej współpracy, ale też utrwalenia pokoju na kontynencie.

MIMO EMBARGA

Nie obeszło się w czasie ostatniego „szczytu" gospodarczego w Wersalu i konferencji „na szczycie 16 państw członkowskich Paktu Północnoatlantyckiego bez dyskusji na temat gazociągu. USA nie zmieniły poglądów w tej kwestii, ale przychyliły się do stanowiska Europy. Jakże więc dużym zaskoczeniem były ostatnie decyzje administracji Reagana, o utrzymaniu w mocy i rozszerzeniu zakazu eksportu sprzętu i technologii koniecznych dla zrealizowania gazociągu syberyjskiego. Te decyzje amerykańskie, określane w Europie „nieoczekiwanym ciosem" dla stosunków między państwami europejskimi a Stanami Zjednoczonymi, wywołały lawinę nieprzychylnych Waszyngtonowi wypowiedzi i opinii. Z RFN, kraju poddawanego przez Reagana największej presji, popłynęły bodaj najostrzejsze krytyki. Zabrał też w tej sprawie głos kanclerz H. Schmidt oświadczając, że Republika Federalna jest gotowa bez względu na wszystko realizować wraz z zachodnioeuropejskimi partnerami kontrakt zawarty z ZSRR. Kanclerz dodał, że RFN nie przyłączy się do wojny handlowej z ZSRR, która może stać się początkiem nowego etapu zimnej wojny.

Pomimo iż amerykańskie restrykcje są szerokie (dotyczą już nie tylko sprzętu wytwarzanego w USA, ale także i zagranicznych filii amerykańskich koncernów, względnie urządzeń produkowanych na amerykańskich licencjach) radzieckie przedsiębiorstwa wykonawcze zakończą całą tę inwestycję, według oświadczeń ministra Wasilija Dinkowa — w przewidzianym terminie, to jest przed 1984 rokiem. Wobec ogłoszonego przez Waszyngton embarga, zwraca się na zachodzie szczególną uwagę na wywiad jakiego członek Akademii Nauk ZSRR, prof. A. Tryfimik udzielił jednemu z pism. Profesor ten oświadczył, że Związkowi Radzieckiemu udało się skonstruować rury o wielowarstwowych ścianach, umożliwiające przesyłanie gazu pod wysokim ciśnieniem i równocześnie trwają prace nad ulepszaniem materiałów izolacyjnych do rur, które pozwolą przesyłać gaz o bardzo niskiej temperaturze. Z innych doniesień radzieckich wynika, że w związku z zablokowaniem dostaw przez amerykańską firmę Caterpillar Tractor, skonstruowano i buduje się obecnie w ZSRR dźwigi do przenoszenia i układania rur o wadze do 80 ton. Ponadto skonstruowano transporter przystosowany do układania rur w terenie bagnistym, rozpoczęto produkcję automatów spawalniczych do spawania wewnątrz rur o średnicy 1420 mm oraz opracowano szereg typów nowych maszyn drogowych np. koparkę, która jest zdolna poruszyć w ciągu jednej godziny 1200 metrów sześciennych zmarzłego podłoża.

★ ★ ★

„Gaz-rura" — jak popularnie określa się gazociąg syberyjski w Europie, będzie więc — czy chcą tego Stany Zjednoczone czy nie chcą — tą inwestycją, która utrwali i stworzy jeszcze szersze perspektywy dla współpracy europejskiej. I miał chyba rację b. sekretarz stanu A. Haig, że wszelkie opory przeciwko gazociągowi pozostawią tylko na długie lata uraz Europy wobec jej amerykańskiego sojusznika. Ale to już nie nasza sprawa...

Foto: Archiwum

Bez udziału czyli po co mi to?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

I znów z jednego zrobiły się dwa tygodnie, a ja w czasie owej przerwy doszedłem do wniosku, że za wcześnie byłoby pisać już dziś o fenomenie współczesnego przeboju muzyki rozrywkowej nie podjąwszy uprzednio jeszcze jednego ważkiego i rozległego tematu Chodzi mianowicie o zależności występujące pomiędzy autorami piosenki a ich dziełem. Istnieje bowiem w przypadku piosenki pewna siła bezwładu (określenie, co prawda, zostało zaczerpnięte z zupełnie innej terminologii, ale wydaje mi się ono adekwatne), czyli realizowanie się lub nie pewnych potencjalnych funkcji utworu. Wiem, że do tego momentu brzmi to wszystko dosyć mętnie, lecz mam nadzieję, iż uda mi się rzucić trochę światła na zagadnienie, z którego właściwie przeciętny słuchacz lub meloman nie zdaje sobie sprawy.

Zacznijmy zatem od przysłowiowego pieca. Otóż sama dopiero co skomponowana muzyka przeznaczona do piosenki, czy też ciepły jeszcze tekst są w pewnym sensie produktem (albo może raczej — półproduktem) gotowym. Po prostu — istnieją. Ich dalsze losy mogą być różne i w wielu wypadkach nie zależą one w żadnej mierze od kompozytora czy autora. Zdarza się, że kompozytor porządkując jakieś stare papierzyska natrafi na tekst do piosenki, który otrzymał kilka lat wcześniej, o którym zapomniał, o którym zapomniał także jego autor... I nagle okazuje się, że jest pomysł, rodzi się muzyka a z nią piosenka będąca zaskoczeniem dla autora tekstu spisującego go wcześniej na straty nie zawsze ze względów artystycznych.

Gotowa piosenka, zwłaszcza po archiwalnym nagraniu, zaczyna z reguły żyć własnym życiem. Tę sytuację porównać można z pozycją dorosłego i samodzielnego dziecka, które przyznaje się wprawdzie do swych rodziców, ale oni nie są w stanie kontrolować jego poczynań i tolerować muszą każdy jego wybryk. Inna sprawa, że w wypadku piosenek te właśnie „dzieci" utrzymują przy życiu swych „rodziców" czyli twórców przysparzając im — przynajmniej przez pewien czas — większych lub mniejszych dochodów. Choć bywają i dzieci niewdzięczne — och, jak ja ich nie lubię.

Ale wróćmy do rzeczy. Jakże mógłby autor lub kompozytor śledzić tzw. eksploatację utworu? Przecież nie sposób byłoby liczyć jego emisje antenowe, notować wszystkie prezentacje telewizyjne, przeglądać całą krajową prasę szukając druku prymki, sprawdzać programy ramowe setek imprez estradowych, nie mówiąc już o chodzeniu po knajpach, by posłuchać, czy przypadkiem nie grywają go klezmerzy. A do tego dodać jeszcze trzeba wykorzystywanie piosenki za granicą, co jest praktycznie dla jednej osoby nie do sprawdzenia I tutaj raz jeszcze wracamy do pracy Stowarzyszenia Autorów ZAIKS, o którym pisałem na tym miejscu przed kilkoma tygodniami, bowiem właśnie ta instytucja wyręcza twórców we wszystkich wspomnianych wypadkach. A więc niejako cały żywot piosenki rozgrywa się bez udziału jej autorów. Nie jest potrzebna każdorazowa zgoda twórców na wykorzystanie ich utworu na antenie czy na estradzie — regulują to umowy generalne zawierane przez ZAIKS np. z Radiokomitetem.

Tu dygresja. Przez szereg lat, a na dobrą sprawę zdarza się to chyba także i teraz, pieniądze należne autorom i kompozytorom jako tantiemy z tytułu wykonywania ich utworów w programach telewizyjnych..., nie docierały do nich Przyznam się — wiem o tym od pań pracujących w ZAIKS-ie — że byłem jednym z prekursorów w ubieganiu się o te należności. Parę lat temu jako jeden z trzech twórców (obok znanego przed i po wojnie scenarzysty i autora przebojów — Ludwika Starskiego oraz wybitnego aktora i reżysera — Andrzeja Łapickiego) złożyłem w miarę kompletny wykaz tytułów swoich utworów wraz z datami i godzinami ich antenowej prezentacji na małym ekranie. Wykaz ten obejmował cały poprzedni rok, jako że tzw repartycja radiowa i telewizyjna obliczana jest raz na rok, a tantiemy wypłaca ZAIKS jesienią roku następnego po tym, którego rozliczenie dotyczy. Moją listę tytułów ZAIKS przesłał do odpowiedniej komórki Radiokomitetu celem jej zweryfikowania — i okazało się, że moje roszczenia są słuszne. Podobnie jak i dwaj pozostali wymienieni wyżej członkowie Stowarzyszenia Autorów otrzymałem swoje pieniądze A skąd się brała ta niechęć telewizji do płacenia? Otóż w zestawach przesyłanych — tym razem — przez Radiokomitet do ZAIKS-u, które stanowią podstawę do naliczania tantiem, często Telewizja Polska podaje wyłącznie ogólny tytuł programu (np Tele-Echo czy „Koncert jesienny") nie wyszczególniając, jakie utwory ów program zawierał W związku z tym nie wiadomo komu trzeba wypłacić pieniądze. Od tamtej pory — a robi to teraz spora grupa moich kolegów po piórze — na początku każdego roku sporządzam listę własnych tytułów na podstawie notatek moich i najbliższych znajomych, co, kiedy i w jakiej audycji było w minionym roku. Jak na razie — skutkuje, co wcale nie znaczy, że są to jakieś duże sumy.

Panuje u nas nie od dzisiaj niczym nie uzasadnione przekonanie, że piosenka powinna być wykonywana, a przynajmniej nagrywana przez jednego tylko wykonawcę. W chwili nagrania przechodzi jak gdyby „na własność" piosenkarza czy zespołu. Przypominamy sobie, ile było dyskusji i kontrowersji, gdy podczas jednego z międzynarodowych festiwali sopockich Maryla Rodowicz zaśpiewała „Kolorowe jarmarki", które dwa miesiące wcześniej na estradzie amfiteatru w Opolu wykonywał kompozytor — Janusz Laskowski. „Dlaczego Rodowicz zabrała Laskowskiemu piosenkę?" — pytali liczni słuchacze. A przecież, mimo, że autorzy zachowują swoje prawa do utworu, piosenka jest własnością społeczną, jej życie zasadza się na powszechności wykonań — zanucić może ją każdy. A zatem potencjalność możliwych wykonań piosenki jest nieograniczona, stąd też nagrań tego samego utworu może być wiele i dokonanych przez różnych wykonawców. W przemysłach rozrywkowych państw zachodnich jest to powszechnie przyjętą regułą, u nas niestety pokutuje także wśród wykonawców przeświadczenie, że raz nagrany utwór jest już w jakiś sposób spalony i nie należy brać go na warsztat. Choć muszę w tym miejscu dodać, że zdarzają się wypadki, kiedy twórcy piosenki nie mają wpływu na to, kto śpiewa ich utwór. Wybór piosenki przez wykonawcę odbywa się bez ich udziału.

Taką sytuację opiszę na przykładzie najbliższym — rozpoczynającego się właśnie Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Każdego roku jesienią Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego rozpisuje konkurs na piosenkę żołnierską. Tak było i w roku ubiegłym. Ponieważ z natury jestem leniwy, mimo dopingowania mnie przez dwóch zaprzyjaźnionych kompozytorów, z którymi od kilku lat pisuję na „Kołobrzeg", zwlekałem z zabraniem się do pracy niemal do ostatniej chwili. Dwa teksty (po jednym do muzyki każdego z tych kompozytorów) powstały dopiero na początku grudnia, a więc jak zwykle tuż-tuż przed zamknięciem konkursu, gdyż termin nadsyłania prac upłynął dnia 10 grudnia ubiegłego roku. Ze względu na to, że w takich razach decyduje data stempla pocztowego, podejrzewam, iż wysłane przez nas do GZP WP teksty i nuty opatrzone godłami były jeszcze w drodze, gdy 13 grudnia proklamowano w naszym kraju stan wojenny. Dotarły jednak do adresata, o czym wiem — jedna z piosenek otrzymała nawet we wspomnianym konkursie drugą nagrodę, podczas gdy pierwszej jury nie przyznało w ogóle. (Skrzętnym, a znajomym „księgowym" podaję wysokość nagrody: otrzymałem — słownie — sześć tysięcy złotych bez podatku.) I co dalej dzieje się z tymi nadesłanymi na konkurs piosenkami — bo często jestem o to pytany. Z utworów nagrodzonych i wytypowanych do zakupu (spośród otrzymywanych zazwyczaj przez GZP WP ponad dwustu piosenek zostaje wtedy około pięćdziesięciu) tworzona jest pula propozycji do koncertu premier festiwalu kołobrzeskiego. Następnie zaproszeni do udziału w tym festiwalu wykonawcy po prostu wybierają sobie utwory najbardziej im odpowiadające z tych zgromadzonych po konkursie. Ani kompozytor, ani autor, w tym nie uczestniczą i w zasadzie nie mają wpływu na to kto w lipcu zaśpiewa ich piosenkę. Ja na przykład dowiedziałem się o tym dopiero na początku maja br., kiedy wykonawcy od dawna próbowali już piosenki z moimi tekstami.

Podobnie wyglądała sprawa z wyborem przez zagranicznych wykonawców polskich piosenek do interpretacji podczas Międzynarodowych Festiwali Piosenki, a następnie — Festiwali Interwizji, w Sopocie. Rada Artystyczna festiwalu lub inne powołane do tego ciało przygotowywały dla zaproszonych na festiwal gości listę tytułów piosenek wraz z materiałem nutowym, tekstowym i nagraniem, a zagraniczni piosenkarze wybierali sobie to, co będą śpiewać w Operze Leśnej. I tak — dla przykładu — nie miałem jakiegokolwiek wpływu na to, że w 1979 roku „Wszystko w jednym słowie" we francuskiej wersji językowej interpretował w Sopocie Art Sullivan, któremu później przysporzono w Polsce popularności wydając jego longplay i kasetę.

Wreszcie, na koniec, chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden dość powszechny fakt. Oto wielokrotnie wykorzystuje się — nie tylko bez porozumienia z twórcami, ale często także bez podania „źródła" czyli ich nazwisk — fragment piosenki, kawałek melodii, zwroty z tekstu w różnego rodzaju audycjach radiowych i telewizyjnych, dla których stają się owe cytaty pewnym hasłem wywoławczym, sygnałem. Przykład pierwszy z brzegu: „Szanujmy wspomnienia" — cykl telewizyjny Barbary Pietkiewicz, gdzie zawsze na początku usłyszeć można piosenkę z repertuaru „Skaldów" pod tym samym tytułem.

Oczywiście, twórcy audycji starają się zawsze dobierać utwory popularne będące w jakimś sensie identyfikatorem zawartości programu i wzmagające jego popularność wśród widzów czy słuchaczy. A z drugiej strony wykorzystywanie w ten sposób choćby fragmentu piosenki przyczynia się do jej przypominania i lansowania. Czy jednak to wystarczy, by uczynić ją przebojem? Zgodnie z zapowiedzią — wrócimy do tej sprawy za tydzień.

P.S. Przed dwoma tygodniami zupełnie niepotrzebnie skrytykowałem Jerzego Miliana za muzykę do piosenki „Piłka w grze". Z krytyki się bynajmniej nie wycofuję, tyle tylko, że — jak się okazało — kompozytorem tej piosenki jest Aleksander Maliszewski, a w błąd wprowadzili mnie „kompetentni" komentatorzy z telewizyjnego studia piłkarskich mistrzostw świata. Przepraszam za strzał nie w światło bramki.

PROSTO Z KINA

Dwa oblicza śmierci

Film pojawił się na ekranach premierowych kin przed kilku miesiącami i przepadł z kretesem. Dziś powrócił i stał się wydarzeniem. Dlaczego? „Śmierć na żywo" jest ostatnim obrazem, z możliwych do obejrzenia w Polsce, ze zmarłą w maju w Paryżu Romą Schneider. Wypełnione sale kinowe ludźmi, którzy przyszli tu przede wszystkim dla Niej to swoisty hołd złożony francuskiej aktorce przez łódzką publiczność.

W gazetach, tygodnikach, w telewizji w związku z tą zaskakującą, przedwczesną śmiercią pojawiły się okolicznościowe artykuły, programy. Przyniosły one jedynie garść podstawowych informacji dotyczących przebiegu kariery artystki oraz kilka sloganowych sformułowań: „wielka", „wybitna", „gwiazda kina lat siedemdziesiątych". Ani słowa nie poświęcono natomiast analizie fenomenu sztuki aktorskiej Romy Schneider.

A przecież jest to zastanawiające, jak można dojść do takich zaszczytów w świecie filmu (dwa Cezary — najwyższe wyróżnienia francuskiej krytyki), grając w tak marnych obrazach! Nie, nie ma w tym twierdzeniu przesady — proszę się nie oburzać. Dokonajmy krótkiego przeglądu filmów, w których występowała. Na początku wyciskacze łez, kinowe romansidła — cykl o „Sissi", „Piękna kłamczucha" czy też „Dziewczęta w mundurkach" — określone krótko mianem kiczu lat pięćdziesiątych. Później było trochę lepiej — romans z Delonem spowodował zaistnienie w oczach krytyki. A filmy? Nadal przeciętne: komedyjki w rodzaju — „Zamieńmy się żonami" z Jackiem Lemmonem, czy sensacyjne obrazy w stylu „Pojedynku na wyspie". Lata mijały, rosła sława i uznanie, tymczasem filmy to głównie wojenne dreszczowce — „Stara strzelba", psychologiczne kryminały — „Niewinni o brudnych rękach", czy hermafrodyty (określenie Wojciecha Saniewskiego) „stwarzające iluzję atrakcyjnej uniwersalności" — „Śmierć na żywo". Oczywiście były i wyjątki — nowela Luchino Visconiego „Praca" w filmie „Bocacio 70" i Romy Schneider stwarzająca wizerunek współczesnej kobiety fatalnej, rola Leni w ekranizacji „Procesu" Kafki dokonanej przez samego Orsona Wellesa, cykl Claude Sauteta — „Okruchy życia", „Cezar i Rozalia", „Zwykła historia" czy „Ważne to kochać" — Andrzeja Żuławskiego, które tylko potwierdzają regułę.

A zatem skąd wzięły się zaszczyty, sława, powodzenie. Przypadek, uśmiech losu, zbieg okoliczności czy jednak talent i umiejętności pozwalające wzbić się ponad szarość i przeciętność? Do odpowiedzi na to pytanie, cząstkowej przecież, można zbliżyć się przyglądając się uważnie roli, którą gra Romy w ostatnim ze znanych nam Jej filmów — „Śmierci na żywo".

Film Bertranda Tavernierа jest dla mnie obrazem nieudanym, ot ambitną porażką. Reżyser chciał w nim pomieścić i powiedzieć za dużo, a to zwykle nie wychodzi „dziełu" na dobre. Czego tu bowiem nie mamy! Fantastykę naukową — bohaterowi — Roddy'emu w wyniku skomplikowanej operacji wszczepia się (?), wszywa (?) filmową kamerę, dzięki której, dokonywana przez niego obserwacja rzeczywistości, staje się jednocześnie zapisanym na taśmie reportażem telewizyjnym. Sensację — Roddy nawiązuje kontakt z kobietą — Catherine, której wmówiono śmiertelną chorobę. Ma, obserwując jej zachowanie w ostatnich miesiącach życia, stać się autorem (?) wystrzałowej audycji (przy pomocy ukrytej w oku kamery oczywiście) pt „Śmierć na żywo". Dramat — Catherine nie chcąc zgodzić się na filmowanie jej ostatnich chwil życia, wydaje wszechwładnej TV walkę o prawo do śmierci w milczeniu, dyskrecji, w czterech ścianach. Nie wie niestety, że wpadła w przemyślnie zastawione przez telewizyjnych bossów sidła. Demaskatorską publicystykę — wymierzoną w odhumanizowaną telewizję, która potrafi brutalnie wtargnąć w intymne sfery życia człowieka, po to, by nie oglądając się na koszty, pokazać atrakcyjne widowisko. „Wszystko was interesuje, lecz nic nie jest dla was ważne" — rzuca bohaterka w twarz szefowi TV gorzkie słowa i ma rację. A rezultat tego filmowego kolażu — nijaki, rozmywający się w melodramatycznym zakończeniu (którego nie zdradzę).

Gros filmu wypełnia zapis stanu umierania Catherine. Romy Schneider wiarygodnie (!) kreśli wizerunek kobiety, która odnajduje sens swych ostatnich miesięcy życia w walce. Nie zamierza bowiem godzić się na uczynienie z własnej śmierci wielkiego otwartego spektaklu. Jednocześnie odkrywa, że wartościami, które pozwalają jej pokonać straszliwą świadomość bliskości własnego kresu, są: przyjaźń i miłość.

Gwałtowność, determinizm zachowań, działań bohaterki zostaje zawieszony w bezsilności wobec odwiecznych praw rządzących naszym życiem. Bezsilności ujawniającej się w nagłym bezradnym i bezbronnym ruchu ręki, prawie niedostrzegalnym drgnięciu ust, przerażeniu oczu, milczącej pauzie w chwili przypomnienia — żłobiącej wyraźną, dramatyczną rysę na materii filmowego świata.

Przez moment w kinowej sali niemożliwe staje się możliwe — widownia daje się zwieść iluzji prawdopodobieństwa. Iluzji — zauważamy to niespodziewanie po zapaleniu świateł, gdy przychodzi nam zamyślić się nad śmiercią prawdziwą, której opowiedzieć się nie da.

PAWEŁ STRZELECKI

Romy Schneider i Curd Jurgens

XXIV Festiwal Teatrów Polski Północnej

Szkoda — panie Raskolnikow

Wszeroko rozumiane pojęcie teatru wprowadźmy tak modne dziś w naszym kraju słowo k r y z y s i spróbujmy zsumować tu i ówdzie pojawiające się w tej sprawie informacje, a także opinie osób znanych i mniej znanych, albo nie znanych zupełnie.

Teatry. Mamy ich w Polsce 62. Dużo to czy mało? Moim zdaniem w sam raz, albo i nieco lepiej.

Stan techniczny wielu z nich woła o pomstę do nieba i o pieniądze do ojców miasta. Ale ojcowie, gdyby nawet byli Salomonami, to z pustej kiesy i tak by nic nie wysupłali, więc łata się wszystko tzw. doraźnymi działaniami i teatry jakoś tam funkcjonują.

A n d r z e j Ż u r a w s k i — krytyk teatralny: telewizja, film, teatry, mają do dyspozycji ok. 2500 aktorów czyli tyle, ile w 1945 roku. 600 z nich przebywa stale w Warszawie, ale 200 nie występuje w ogóle, gdy tymczasem teatr w Legnicy posiada wyłącznie adeptów.

Kształcące aktorów trzy uczelnie wypuszczają rocznie około 60 absolwentów. Czy w tej sytuacji może być mowa o konkurencji wśród aktorów? Poziom spektakli jest coraz niższy, a dobór repertuaru pogłębia niechęć widza do teatru. Co czwarty Polak nie bywa w nim w ogóle. A co będzie, kiedy ceny biletów ulegną podwyżce? Bo w sytuacji dopłacania 300 złotych do jednego biletu, podwyżka jest nieunikniona.

Teatr nie znajduje widza i to jego wina. Ale braku potrzeby obcowania ze sztuką teatralną doszukuję się także, a może przede wszystkim w wadliwym systemie oświatowym. Jakże rzadkie są przypadki grupowych wypadów młodzieży szkolnej do teatru! Nauczyciele, obarczeni ogromem programowych zajęć, najczęściej nie mają już czasu na kształtowanie zespołu nawyków składających się na kulturę teatralną. Tak więc wadliwa edukacja potencjalnego widza zmniejsza jego frekwencję, a co najważniejsze, pozbawia go wrażliwości i rozeznania w niuansach teatralnej zabawy, a przez to — możliwości formułowania i kierowania pod adresem teatru określonych żądań, kształtujących jego poziom i kierunek rozwoju.

I g n a c y G o g o l e w s k i — dyrektor Teatru im. J. Osterwy w Lublinie: teatr rozpoczyna się w życiu codziennym. Każdy przed każdym gra swoją rolę. Dobór słów, gestów i odpowiedniej mimiki, to przecież nic innego jak ciągła gra. W teatrze znajdujemy esencjonalne odbicie naszego życia, ale nie tylko. Teatr to także znakomita szkoła, kształtująca nasze obyczaje, emocje i kulturę języka. Teatr to filozofia. Do przekazania tych wartości potrzebni są wykonawcy, których widz zechce słuchać i oglądać.

Aktor przywiązany etatem do jednego miejsca, goniący przy tym z teatru do atelier, z atelier do gmachu telewizji, nie da z siebie wszystkiego, bo po pierwsze nie musi (stały, zagwarantowany etat), a po drugie nie jest w stanie, bo nie ma czasu na refleksje, wzbogacające jego wnętrze.

A n d r z e j Ż u r a w s k i: aktor, dojadający swoje śniadanie w taksówce, to widok nie tak znowu rzadki.

I g n a c y G o g o l e w s k i: tak, to prawda. W tej sytuacji o to, co nazywamy wydarzeniem teatralnym, jest dzisiaj niezwykle trudno. Mają w tym swój udział także krytycy teatralni. Spektakle albo kreacje aktorskie określane są najczęściej bądź jako wybitne, bądź jako wybitnie nieudane. Stąd mój generalny zarzut, że krytyka nie różnicuje ocen, że jest mało wnikliwa.

P a n i — bywalczyni teatralna: oglądałam ostatnio dwa spektakle: „Ułanów" Rymkiewicza i „Szewców" Witkacego. W „Szewcach" zaskoczyła mnie dykcja aktorów. Przecież Witkacy wiadomo, co słowo to perełka. Tymczasem słowo w tym spektaklu było tak źle mówione, że widzowie pytali siebie nawzajem, co aktorzy mówią. „Ułani" natomiast są sztuką tak wulgarną, że nie powinno jej się w ogóle wystawiać.

M i k o ł a j G r a b o w s k i — reżyser: zawsze, ilekroć dostrzegam niekorzystne zjawisko, w którym w jakimś sensie uczestniczę, przyczyn zła zaczynam doszukiwać się przede wszystkim w sobie, biję się najpierw we własne piersi.

Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego w teatrze dzieje się źle, zakładam, że zło tkwi w nim samym. Teatr jest miejscem, gdzie żywy aktor rozmawia z żywym człowiekiem.

„Zbrodnia i kara" — spektakl wart większego uznania. *Foto: Tadeusz Trepanowski*

Poszukiwania formalne, przetargi między reżyserem i aktorem (reżyser zazwyczaj wygrywa) doprowadziły do utraty sensu najpierw, a potem do zerwania kontaku z widzem. Kokieteryjne działania reżyserów i scenografów („ty tak, a ja podobnie tylko trochę dziwniej") ostatecznie widza z teatru wypędziły.

Najwięcej jednak szkody wyrządziła telewizja, która wprost pożarła aktora, odbierając mu całkowicie osobowość. Drastyczny tego przykład widziałem w Meksyku. Tam, podczas nagrywania spektaklu, aktor jest całkowicie wyizolowany. Wejście na plan, wypowiadanie określonego tekstu, zejście z planu odbywa się na polecenie reżysera, odbierane z lekkim wyprzedzeniem przy pomocy miniaturowego odbiorniczka umieszczonego na przykład w uchu aktora. Osobowość wykonawcy nie ma w tej sytuacji najmniejszego znaczenia. Obserwuję pogłębianie się tego zjawiska i tym tłumaczę brak wspaniałych kreacji, a widza w teatrze.

* * *

W takiej oto atmosferze hejnał toruński oznajmił początek XXIV Festiwalu Teatrów Polski Północnej — imprezy zrodzonej z inicjatywy Hugona Morycińskiego — zasłużonego dla sztuki, wieloletniego dyrektora Teatru im. Wilama Horzycy, w murach którego publiczność obserwowała wszystkie (oprócz jednego) spektakle.

Było ich dziewięć oraz cztery poza konkursem, a w tym „Pamiątki Soplicy" Henryka Rzewuskiego w wykonaniu aktorów Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi.

Przebieg festiwalowych zmagań potwierdził częściowo uwagi naszych rozmówców, ale niektórym zaprzeczył. To prawda, że wśród wykonawców było sporo adeptów, ale nadkompletY widowni świadczyły raczej, że teatr nadal ma wierną publiczność.

Gdzie więc to „wypędzanie widza"?

Przez dziewięć dni czerwca tłumy waliły do teatru, oczekując na przysłowiową bombę.

Niestety, otrzymały zaledwie kilka petard i to o stosunkowo słabej sile wybuchu.

Zarówno propozycje repertuarowe, jak i reżyserskie nie potwierdzały ambicji festiwalowych, gdzie ponoć prezentowany bywa „towar eksportowy". Pozostając przy nomenklaturze ekonomicznej, wiele teatrów dostarczyło raczej towar z odrzutów, a „Testariadę" Mrożka i „Alicję w krainie czarów" według Lewisa Carolla ze spokojem można potraktować jako towar niechodliwy czyli buble. W sensie inscenizacyjnym, oczywiście!

Z ogólnej szarzyzny tym mocniej wybijały się spektakle bardziej ambitne, takie jak „Clowni" Andrzeja Strzeleckiego, „Ułani" Jarosława Marka Rymkiewicza, „Poskromienie złośnicy" Williama Szekspira czy „Sonata widm" Augusta Strindberga. Na przykładzie „Clownów" potwierdza się uprzednia, niezbyt pochlebna, opinia Ignacego Gogolewskiego o krytyce teatralnej. Oto dziennikarka „Nowości" toruńskich pozbawia spektakl głębszych wartości, zarzuca mu przestarzałe dowcipy polityczne (bo „powstały przed grudniem") oraz stwierdza, że całość przyjęta była przez publiczność ze zniecierpliwieniem. Sprawozdawca „Gazety toruńskiej" natomiast uważa „Clownów" za propozycję bardzo udaną, będącą miłym zaskoczeniem tegorocznego toruńskiego festiwalu. Twierdzi, że spektakl upomina się o prawo do prawdy, wolności i sprawiedliwości. Tenże dziennikarz odnotowuje gorące przyjęcie przedstawienia przez toruńską publiczność. (I tak było — przyp. mój C.M.). Widz, oczekujący rzetelnej opinii krytyka, dostaje oczopląsu i zaczyna zastanawiać się: gdzie owies, a gdzie siano? „Szewcy" — powiada — też zostały napisane przed grudniem, a niektórzy twierdzą, że jest to sztuka cholernie aktualna, bo i wymowa ideowa i prawdy uniwersalne, i wiele innych, fajnych rzeczy. Co tu jest grane?!

Rozkojarzony widz uzyska odpowiedź w komunikacie jury, z którego wynika niezbicie, iż spektakl „Clowni" (Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie) otrzymał nagrodę prezydenta miasta Torunia.

Nagrody, to jak zwykle oddzielny i obszerny temat, ale tym razem doszło do sensacyjnego wprost werdyktu, jakiego nie pamiętają nawet bywalcy pierwszego festiwalu. Oto jury festiwalowe przyznaje główną nagrodę Teatrowi Współczesnemu ze Szczecina za inscenizację „Szewców" S. I Witkiewicza, spektaklowi, który oprócz ciekawego p o m y s ł u inscenizacyjnego, wyróżnił się tym, że był zdecydowanie gorszy od pozostałych (por. wypowiedź Pani — bywalczyni teatralnej). Ale to jeszcze nie wszystko!

Każdego roku redakcja „Nowości" przyznaje „Złotą karetę" za wybitną kreację aktorską. Decyzją jury otrzymał ją Jan Banucha za... scenografię do „Szewców". Zaskoczenie było pełne!

Zdziwiony jest chyba przede wszystkim sam zespół Teatru Współczesnego, bo nie spodziewając się uczciwie niczego dobrego po swoim występie, zwinął dekoracje i wrócił do Szczecina.

Marek Okopiński, gospodarz festiwalu, oficjalnie krytykuje werdykt w prasie, nieoficjalnie wyjaśnia się, iż fundatorzy wyrazili zgodę na przyznanie swych nagród nie tym, którym miały być przyznane i wszystko jest niby w porządku. Ładniej by jednak było, gdyby jurorzy zastosowali metodę: „nie zarobiłeś — premii nie dostaniesz". I tak oto wyjaśniliśmy kolejną przyczynę kryzysu w teatrze.

Ale „Szewcy" nie przesłoniły festiwalowej publiczności widoków przyjemniejszych i wiary w lepszą przyszłość teatru. „Clowni" Andrzeja Strzeleckiego, „Ułani" i Marek Okopiński, „Pamiątki Soplicy" i Mikołaj Grabowski oto podstawa tej wiary. A takich i lepszych twórców znaleźć można w Polsce co najmniej jeszcze kilku. Jednym z nich jest niewątpliwie Krzysztof Rościszewski z Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, zdobywca nagrody dziennikarzy za interesującą inscenizację „Zbrodni i kary" według Fiodora Dostojewskiego.

Po trzydziestu pięciu latach pracy Ewa Studencka usłyszała tylko... dziękuję.

Realizacja znalazła dobrych wykonawców zarówno w osobie scenografa (A. Markowicz) jak i w aktorach, o czym świadczą przyznane im nagrody i wyróżnienia.

Prosta symbolika (droga do zbrodni i do zrozumienia winy), wykorzystanie tej samej przestrzeni raz jako ulicy, raz jako pokoju, biura, karczmy, a także wprowadzenie widzów na scenę, sugestywnie narzucały refleksje, że to, co dzieje się wśród nas, dziać może się także i w nas.

Rościszewski słusznie odrzucił z Dostojewskiego tę warstwę tworzywa, z której przemawia zgoda na cierpienie, a tym samym na zło. Wyakcentował natomiast zbrodnię, która może być aktem rozpaczy lub następstwem megalomańskich (patologicznych) refleksji, ale na zawsze pozostanie przy zbrodniarzu, zarówno w postaci kary orzeczonej prawem, jak i prawem kary, wymierzonej sumieniu.

Spektakl, wart większego uznania jury, dźwigany był właściwie przez Lecha Gwitę (Porfiry) i Jana Czechowicza (Raskolnikow). Szkoda, wielka szkoda, że ten ostatni nie podołał ciężarowi roli, bo przez to druga część przedstawienia straciła na tempie i stała się nieco nużąca. W sumie jednak Rościszewski zaprezentował znakomity dialog pojęć związanych ze sobą logiką przyczyny i skutku. Z tejże samej logiki wynika zasadność przyznanej nagrody.

* * *

W komunikacie jury znajdujemy następujący akapit: „Jury wyraża podziękowanie Ewie Studenckiej-Kłosowicz, zasłużonej aktorce scen Bydgoszczy i Torunia za udział w XXIV Festiwalu Teatrów Polski Północnej".

Ewa Studencka-Kłosowicz rolą Klary Zachanassian w „Wizycie starszej pani" Friedricha Dürrenmatta żegna się ze sceną po trzydziestu pięciu latach pracy. Kawał to czasu, w granicach którego zostają najlepsze dni życia, zniszczone siły i suma dokonań. A za to wszystko tylko: „dziękujemy Ewie, Ewa może odejść". Gorycz mam w gębie, bo pamiętam własny jubileusz, uczczony odesłaniem mnie z kwitkiem do kasy Bardzo Szacownej Instytucji. Jeżeli w jednym dniu i o tej samej godzinie zbiegną się takie elementy jak pamięć, wdzięczność i szacunek dla czyjegoś wieloletniego trudu, to ich suma pozwala na zajęcie właściwej, ludzkiej postawy.

Słusznie oburza się Marek Okopiński, nazywając nietaktem takie skwitowanie „wizyty" Ewy Studenckiej w festiwalowym spektaklu, ale na Boga, jury przecie ocenia i przyznaje nagrody, nie może więc w żadnym razie zastępować organizatorów w urządzaniu jubileuszowych uroczystości! Wobec powyższego niechaj „Naczelny" pozwoli mi na łamach „Odgłosów" złożyć Pani Ewie wyrazy głębokiego szacunku za Jej wieloletnią, twórczą pracę na scenach wielu teatrów. Pokorny podziw wobec wspaniałych kreacji aktorskich pozostaje jedyną formą uznania i wdzięczności jednego z wielbicieli Jej ogromnego talentu.

— Za trzydzieści pięć lat — „sto lat", Matko Courage!!!

* * *

Garść refleksji spisanych niejako w rytm festiwalowych wydarzeń nie może pretendować do miana recenzji ani też analizy sytuacji w środowisku teatralnym. Jest raczej próbą znalezienia odpowiedzi na pytanie czy festiwalowy przegląd teatrów jednego tylko regionu znajduje uzasadnienie?

Odpowiedź może być tylko jedna: tak, znajduje! Pozwala bowiem dokładnie poznać aktualny „stan posiadania", umożliwia wymianę doświadczeń, pomaga w nawiązywaniu pożytecznych znajomości i przyjaźni, pobudza do działania środowisko kulturalne i co najważniejsze, wypełnia konkretną treścią „białe plamy", których jeszcze sporo na mapie kulturalnej naszego kraju. Stosowanie takiej czy innej formuły jest wyłącznie sprawą organizatorów.

Wracając na podwórko toruńskie wyrazić można żal, że w tegorocznych spotkaniach festiwalowych zabrakło spektakli autorstwa choćby Gombrowicza, Becketta czy Ionesco. Ogólnie jednak Festiwal był imprezą potrzebną i niewątpliwie pożyteczną.

Ten optymistyczny akapit nie zmienia pesymistycznego nastroju autora po przeczytaniu w czasopiśmie „Polityka" historii młodego aktora, który oferuje swój czas i samochód każdemu, kto go zechce zatrudnić, bo młody aktor nie może znaleźć pracy w teatrze. Jeżeli znajdzie się ktoś, kto mi to wytłumaczy, gotów jestem uwierzyć, że mój kraj leży nad Nilem.

A inni ciułają dolary, żeby tam pojechać!

CZESŁAW MARCZAK

Kronika kulturalna

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przygotowuje do druku *„Śpiewnik łódzki"*. Redaktorem jest Tadeusz Szewera. „Śpiewnik" składa się z trzech tomów: I — poświęcony jest pieśni robotniczej i rewolucyjnej, II — pieśni folkloru łódzkiego, III — współczesnej Łodzi w piosence.

Niebawem ukaże się, przygtowywany przez TPŁ, przewodnik po Łodzi „Od A do Z". Będzie to rodzaj informatora o naszym mieście oraz cykl tomików łódzkiej amatorskiej poezji robotniczej.

Planuje się także opublikowanie cyklu sylwetek zasłużonych łodzian oraz suplement „Łodzianie w karykaturze Stanisława Ibis-Gratkowskiego".

W kinie „Młoda Gwardia" w dniach 1—4 lipca odbywał się przegląd filmów nagrodzonych na XXII Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Prezentowane były m. in. takie filmy jak „Hamadria" w reżyserii Jacka Schmidta, „Historia istnienia" w reżyserii Andrzeja Barańskiego, „Solo na ugorze" w reżyserii Jerzego Kaliny i „Pierwszy film" w reżyserii Józefa Piwkowskiego.

W Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego czynna jest wystawa pt. *„Generał Władysław Sikorski i jego żołnierze"*. Ekspozycja pochodzi ze zbiorów krakowskiego Muzeum Fotografii. Składa się z 218 fotogramów przedstawiających m. in. młodość Sikorskiego, wojsko polskie we Francji, Anglii i na Bliskim Wschodzie, a także uroczystości pogrzebowe po tragicznej śmierci wodza polskich sił zbrojnych w pobliżu Gibraltaru.

Wiele z pokazywanych zdjęć — to autentyczne dokumenty przechowywane wśród rodzinnych pamiątek.

Wystawa czynna będzie do końca lipca.

W Klubie MPiK obejrzeć można wystawę grafiki grupy „Ruchoma Galeria" z Torunia".

Pomimo trwającej przerwy urlopowej pracuje jeszcze Teatr im. S. Jaracza. Zaprasza on dorosłych na cieszący się ogromną popularnością *„Trans-Atlantyk"* Witolda Gombrowicza, w reżyserii Mikołaja Grabowskiego oraz dzieci na bajkę Katarzyny Gaertner i Tadeusza Kijonki *„Krasnoludki, krasnoludki"*.

Od 14 do 17 lipca trwać będzie XVI Festiwal Piosenki Żołnierskiej. W koncercie premier zaprezentowanych zostanie 40 nowych piosenek. Przygotowano także trzy widowiska: „Jak nie kochać tej ziemi", „Żołnierskie przygody Tomasza Pogody" i „Zza płotu".

Marek Andrzej Stasiewicz uzyskał brązowy medal na międzynarodowym konkursie baletowym, odbywającym się w USA. Warto przypomnieć, że ten utalentowany gdański tancerz został w bieżącym roku wyróżniony medalem im. Wójcikowskiego.

W Krośnie nad Wisłokiem powstaje muzeum rzemiosła. Mieścić się ono będzie w zabytkowej kamienicy z XIX wieku, gdzie przed laty znajdował się słynny zakład Mięsowicza, produkujący tzw. zegary wieżowe. Obiekt ten zostanie wyremontowany przez miejscowych rzemieślników. W budynku siedzibę mieć będzie także Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Krośnieńskiej.

W Myślcu nad Popradem koło Nowego Sącza trwają IX Konfrontacje Ruchu Artystycznego Młodzieży. Gospodarzem i organizatorem Konfrontacji jest ZSMP. W KRAM zapowiedziało swój udział 500 młodych twórców i działaczy kultury z całego kraju. W programie m. in. prezentacja dorobku zespołów i grup twórczych, współudział w przygotowywaniu i przedstawieniu imprez artystycznych, spotkania z ludźmi kultury i nauki.

Galeria In Zabo w Norymberdze przygotowuje wystawę pięciu plastyków krakowskich: Zbysława Maciejewskiego, Krzysztofa Skórczewskiego, Leszka Sobockiego, Stanisława Rodzińskiego i Jerzego Świecimskiego.

Niedługo, w Sofii, rozpocznie się festiwal Teatru Narodów. W tegorocznym festiwalu Polskę reprezentują dwa zespoły: Opera Wrocławska z „Manekinami" wg Schulza, w reżyserii Marka Grzesińskiego i Teatr Studio z przedstawieniem „Dante".

Na piętnastym Światowym Kongresie Magii, który w lipcu br. odbędzie się w Szwajcarii, polskich iluzjonistów reprezentować będzie przewodniczący Krajowego Klubu Iluzjonistów *Sławomir Piestrzeniewicz*.

W Pałacu Boulieau w Lozannie mistrzowie czarodziejskiego fachu ubiegać się będą o Grand Prix F.I.S.M.'82. Wśród nich właśnie, z programem pt. „Arsene Lupin", wystąpi młody łódzki lekarz Sławomir Piestrzeniewicz.

Miś Colargol nie chce umierać

Dokończenie ze strony 1

Budynek na ul. Bednarskiej 42. Pokój zdjęciowy filmów rysunkowych. Idąc tu zupełnie inaczej sobie wyobrażałem wytwórnię filmów dla dzieci. Wnętrze przypomina po trosze magazyn podręczny i trochę skład: ciasno, jakieś barowe stołki, paczki z chemikaliami, rulony papieru, płyty wykładzinowe oparte o ścianę, szafy, na jednej ze ścian prowizoryczna szatnia... Jedynie oświetlony prostokąt stołu montażowego świadczy o tym, że to tu powstają te wszystkie nieprawdopodobne sytuacje urągające prawom fizyki, jakie oglądamy na ekranach telewizorów. Operator GRZEGORZ ŚWIETLIKOWSKI właśnie kończy kolejne ujęcie opowieści o *„Eliaszu i Pistulce"*, a reżyser ALINA KOTOWSKA przegląda pękaty skoroszyt.

— *Pracuję tu 22 lata* — mówi Grzegorz Świetlikowski. — *Zaczynałem od asystenta operatora. Swój pierwszy film robiłem właśnie z panią Aliną Kotowską. A do dziś wykonałem 136 filmów.*

— *Mój romans ze studiem trwa od 1959 roku, zaczynałam od reżyserki.*

— Powiedzcie proszę, czy i wówczas panowała tu taka ciasnota?

Śmieją się.

— *Wówczas to dopiero był tu ścisk!* — mówi Alina Kotowska. — *Przecież jeszcze parę lat temu w naszym budynku mieściły się działy produkcyjne, a na górze była szkoła muzyczna.*

— *Teraz naprawdę żyjemy* — wtóruje jej Grzegorz Świetlikowski. — *Mamy całe pomieszczenie dla siebie.. No i mamy aparaturę. W 1960, kiedy przyszedłem do studia przynosiliśmy z domu własne reflektory, a kamerę wypożyczono ze szkoły filmowej...*

— *A jakie tu panowało zimno!* — dodaje Alina Kotowska. — *Zanim napaliliśmy w piecach, zanim odtajały ręce.*

Właśnie tu, w pokoju zdjęciowym, powstają ostatnie już ujęcia do filmu z serii *„Eliasz i Pistulka"*. Na zielone tło pejzażu położono napis: „Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" w Łodzi 1982".

Zanim film trafi na ekrany telewizji, przebywa dość długą, skomplikowaną i wyłożoną ludzką cierpliwością, drogę. Jest więc scenariusz, z którego reżyser robi scenopis. Teraz rzecz trafia do plastyka, który wykonuje projekty plastyczne. Z gotowego scenopisu plastycznego przygotowuje się już rysunki wyjściowe i końcowe i po zaanimowaniu rysuje się poszczególne fazy między rysunkami animowanymi. Następnie wykonuje się zdjęcia kontrolne, a rysunki są kopiowane na celuloidzie i malowane. I dopiero teraz robi się zdjęcia (już w odpowiednich dekoracjach), film się udźwiękawia lub daje komentarz. Przeciętnie na jeden 10 minutowy film potrzeba około 3 tys. rysunków. Mrówcza praca. Za to przed telewizorem dzieciom zapiera dech w piersiach. Starszym także.

Gdyby chciało się wymienić wszystkie nagrody, jakie uzyskały filmy sygnowane przez „Se-Ma-For" byłaby to spora wyliczanka Jednakże przemilczeć je także nie sposób. Same filmy, które prezentują naszą kinematografię na zagranicznych pokazach i festiwalach spełniają ważną rolę propagatorów polskiej kultury. Od wielu lat utwory z łódzkiego studia mają wysoka, stałą markę. Dzięki walorom artystycznym i umiejętnościom polskich reżyserów, wiele krajów podpisuje współpracę z „Se-Ma-Forem" i tu, na Bednarskiej lub w Tuszynie są realizowane zamówienia dla zagranicznych kontrahentów. Pierwszą była austriacka firma „Jupiter Film", dla której zrealizowano tu *„Opowiadania Muminków"*, potem francuska „Procidis", zamówiła 53 odcinki *„Przygód misia Colargola"*. Teraz Tadeusz Wilkosz realizuje dla Austrii kolejny serial *„Trzy misie"*, a Stanisław Lenartowicz pracuje nad fińskim eposem narodowym *„Kalewala"*.

Miało być przecież o nagrodach. Było ich wiele, przywożono je z Wenecji, Bergamo, San Francisco, Riminiń Tour, Oberhausen, Montevideo, Buenos Aires, La Plata, Annecy, Trydenty, Paryża, Zagrebia, New Yorku, Linzu, Melbourne, Chicago, Tampere, Barcelony... Lista jest długa, są na niej inne miasta, inne kraje, w tym wszystkie festiwale krajowe. Przywozili je m.in.: JANUSZ MORGENSTERN, ROMAN POLAŃSKI, DANIEL SZCZECHURA, KAZIMIERZ URBAŃSKI, TADEUSZ MAKARCZYŃSKI HENRYK RYSZKA, TADEUSZ WILKOSZ, STANISŁAW LENARTOWICZ, ZBIGNIEW RYBCZYŃSKI, którego film *„Tango"* rozpoczął w tym roku wielki pochód po krajach Europy Zachodniej zdobywając ponad tuzin różnych Grand Prix i nagród głównych. W ślady mistrzów podążyli już debiutanci: JÓZEF PIWKOWSKI za film *„Pierwszy film"* otrzymał wyróżnienie w Lille, a *„Linia"* GRZEGORZA ROGALI została uhonorowana I nagrodą w kategorii filmów eksperymentalnych na festiwalu w Monachium.

Pokój zdjęciowy kombinowany, bo tak się nazywa w języku filmowym studio, gdzie powstaje „Kalewala", bardziej mi przypomina zaplecze jakiegoś teatru z ustawioną w nim maszynerią. Nic z „ciszy na planie", nic z koncentracji. Jest to pokój, w którym wykonuje się filmy wycinkowe, rysunkowe i reprojekty. Na kilku płaszczyznach (są to umieszczone nad sobą szklane tafle) są rozmieszczone ruchome elementy rysunkowe. Reżyser STANISŁAW LENARTOWICZ demonstruje mi jak się nimi manipuluje, aby uzyskać ruch, zmianę sytuacji, głębię itp.

— Dlaczego my robimy „Kalewalę" — pytam — a nie Finowie?

— *Mieli okazję obejrzeć moje filmy* — odpowiada Stanisław Lenartowicz. — *I doszli do wniosku, że zrobię to tak, jak wymaga tego nie tylko sam scenariusz, ale zgodnie z tradycją, duchem i całym bogactwem filozofii, jaki zawiera w sobie ten narodowy epos fiński.*

— O czym jest pański film?

— *Nie jest to wyłącznie mój film, choć ja go reżyseruję. Scenariusz pisałem do spółki ze znanym fińskim pisarzem Paavo Haavikko, scenografię wykonała Anna Ziomka, a animacja jest dziełem Ireneusza Czesnego. A sam epos jest zbiorem legend, których treścią jest życie i walka dwóch, wrogich sobie, plemion.*

— „Kalewala" będzie filmem seryjnym, emisja każdego odcinka będzie trwała pół godziny. Ile potrzeba na to rysunków?

— *Samych rysunków około 3 tys., do tego dochodzi drugie 3 tysiące faz. Ten film wymaga od nas wiele uwagi, bo Finowie przywiązują ogromną wagę do szczegółów, żądają by wszystko ściśle odpowiadało fińskim realiom, a nawet domagają się szczegółów topograficznych.*

Reforma nie ominęła filmu. Dopiero w maju zapadła decyzja, że Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma- For" w Łodzi będzie przedsiębiorstwem użyteczności publicznej. Ale o ile ta sprawa została wyjaśniona, pozostaje nadal otwarta kwestia z kim ma studio współpracować, bo przecież uległo likwidacji Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów. Niejasność struktur organizacyjnych kinematografii powoduje pewien brak poczucia stabilizacji. Mówiąc językiem potocznym, wygląda to tak: „Se-Ma-For" będzie nadal produkować filmy, natomiast nie wie (a w najbliższej przyszłości nikt tego nie wyjaśni), kto będzie rozpowszechniać jego filmy. Ponieważ cykl realizacji filmu trwa około ośmiu miesięcy, już teraz „Se-Ma-For" winien kierować do produkcji filmy, które będą prezentowane w roku przyszłym. Teraz powstaje pytanie: no, dobrze, będzie się produkować, ale ile? I kto je zapotrzebuje? Kto rozprowadzi?

Bardziej klarowna sytuacja jest przy współpracy z telewizją. Realizuje się już scenariusze wcześniej zaakceptowane przez TV.

Prosta jest także sprawa z kontrahentami zagranicznymi. W tej chwili dobiegają końca zdjęcia 78 odcinków z serii *„Opowiadania z doliny Muminków"*. Rozpoczęto realizację serialu *„Trzy misie"* i *„Kalewali"*. Tylko, że jak powiedziała mi dyr. JADWIGA WENDORFF, kadra w „Se-Ma-Forze" maleje w sposób zastraszający. Od lat nie ma dopływu ludzi młodych. Starzy odchodzą na emeryturę, młodzi nie kwapią się do robienia filmów dla dzieci. W ogóle problem kinematografii dla najmłodszych staje się coraz bardziej złożony i ważny.

Odpowadam: filmów takich jest mało. Nie jest bowiem tajemnicą, że mamy zaledwie kilka filmów fabularnych rysunkowych i pełnometrażowych przeznaczonych dla dzieci. Odnosi się wrażenie, że twórcy uważają pracę nad takimi filmami za coś gorszego, gdy tymczasem w innych krajach, także w socjalistycznych, tych filmów powstaje sporo. Paradoks polega na tym, że panuje ogólna zgoda, że takie filmy są potrzebne, ale nikt w tej sprawie nie podejmuje żadnych konstruktywnych działań. W „Polityce" (nr 15 z dn. 29 maja br.) Adam Krzemiński sporo miejsca poświęcił twórczości dla dzieci w Szwecji. Ale jego wywody mają odniesienie także do Polski. Krzemiński cytuje Ericha Kästnera, który w dzieniku „Dagnes Nyheter" napisał, że 90 proc. literatury dla dzieci tworzą grafomani, 7 proc. pochodzi od pisarzy już nieżyjących, a zaledwie 3 proc. od autorów, których można nazwać pisarzami. Jeśli w tym sformułowaniu jest przesada, to przecież obserwując twórczość dla dzieci nie można nie przyznać bodaj w części racji temu oskarżeniu.

W innych krajach, tak na Zachodzie Europy jak i w obozie państw socjalistycznych twórczość dla dzieci posiada określoną, wysoką rangę. Natomiast u nas problem ten jest pomijany nawet przez władze najwyższe, powołane do kształcenia ludzi młodych i kształtowania ich osobowości. Na festiwalu filmów dla dzieci we Francji zjawili się najwybitniejsi twórcy, przybyli przedstawiciele tamtejszego ministerstwa kultury, a otwarcia dokonała żona ówczesnego prezydenta Giscarda d'Esteine. Natomiast w NRD został ustanowiony aż cały Tydzień Filmów dla Dzieci, który zawsze otwiera minister kultury. A u nas? Na ostatnim biennale dziecięcym w Poznaniu (gdzie wyświetlą się także filmy dla dzieci) na pytanie jednego z reżyserów, czy są na sali przedstawiciele ministerstwa kultury — odpowiedziała cisza. Taką samą odpowiedź otrzymał uparty reżyser, gdy zapytał czy są na sali przedstawiciele ministerstwa oświaty. Nasuwa się więc wniosek, że skoro nie ma zainteresowania władz kulturalnych i oświatowych filmami dla dzieci, trudno się dziwić, by to zainteresowanie było u młodych twórców i reżyserów.

EUGENIUSZ IWANICKI ■

Asystent reżysera Ewa Głodek *Foto: M. Zajdler*

XXIV ŁÓDZKA WIOSNA POETÓW

Andrzej Winogrodzki

Rok w pieśni

Pora nieszpory wyciągnąć
z kantyczki
w gorące gardła wlać
chłód kościelnej pieśni
Bogu na ołtarz
złożyć czas godzinek
albo kolędę
wydostać spod siana

W adwent zapalić
Panu Bogu świeczkę
i Matce Boskiej
lutową gromnicę

Z piołunnym żalem
wypić Gorzkie Żale przed Alleluja
słodzonym radością

A kiedy wiosna
ma zielono w głowie
zaprosić w kościół
łąki umajone

Z dniem się przywitać
„kiedy... wstają zorze..."
i zdjąć przed nocą
„wszystkie dzienne sprawy"

Urszula Zybura

Czas połogu

po powierzchni ziemi należy stąpać
delikatnie,

prawie tak lekko jak słońce,
gdy przechadza się po brzuchu
brzemiennej niewiasty —

— *kula ziemska jest ciążą świata*

płód bogaty w krew żelazo i pamięć
rodzi się w każdym miejscu słowami proroctwa
o dniu który nadejdzie
o nocy która przeminie

nasza planeta wciąż jeszcze obnosi się ze swoją ciążą
karmiona trupami zwierząt i ludzi
cierpliwie czeka na swój czas połogu

przygotowania do przyjęcia porodu trwały
kilka niebanalnych tysiącleci

dziś
gdy skóra na brzuchu ziemi jest maksymalnie
naprężona

ziemianie oczekują uroczystego
poronienia pomysłu zbawienia świata

Stanisław Gola

Sonata na jeden kwartał

Sezon dmuchawców: wiatr ssie mlecze,
czas kwiatom szlifuje korony na głowie.
A nam widnokrąg w zielonym rozpędzie
a nam w twarz — słoneczne sitowie...
Burza się nawija na bukową oś,
dom na skrzydłach bielizny wzlatuje donikąd.
Jaśnieje ci, żono w oczach — piwny mąż
kukułka powtarza, że wszystko już było.

W dzielnicy kasztanów biały płomień czerwca
anioły parami w koło macieju wciąż krążą.
Jak guma do żucia ciągnie się nadzieja:
bocian zwiesił głowę nad przerwaną ciążą.
Radio cicho cedzi przez sito eteru
muzyczną herbatę — wprost na obrusy południa.
Dni odbiegają w nazaret bezkresu
aż niebo dudni jak słoneczna studnia.

Już chłopiec wraca swą bezpańską ścieżką
nad barcią księżyca spija miód zielony,
drwal jak sąg drewna runął w ruń małżeńską,
karciarze serc szukają w sukniach dam pikowych.
I tylko w piekarni rosną białe noce,
w gong chleba bije nadchodzący dzień.
Jej brzuch wzdęty i przaśny, ukąpany w mące
pod cesarskie cięcie w ogniu — weźmie piec.

Mirosław Książek

Ślady

Z wanny
jak ptak wonny

zwichniętym skrzydłem ręcznika
zakrywając piersi

gubiąc ślady stóp
bez pięt

o plamki palców
prowadzące w miłość —

mokra
jasnożywa

mgiełką kąpieli
przeniknęła pościel
wilgotną rzęsą
przemknęła po skórze

Anna J. I. Zarębska

Ołtarz nieznanemu bogu

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy w czasie zrównania dnia z nocą
gdy chmary muszek malutkich
w wieczornym cieniu
wirowały wokół kolumn świątyni Apollina

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy, gdy buki o żyłkowanej korze
korzeniami sięgając trzewi ziemi
wydzierały niebu ostatnie promienie
łącząc zimną toń nieboskłonu z nami

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy w gaju o zrudziałych liściach
na potrzaskanych ruinach i okruchach marmuru
na siwym kamieniu nie wyryłem imienia
bom go nie znał

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy z bratem moim młodszym
dość mając fałszywych obietnic dawnych bogów
i obchodzą go wkoło i wkoło i wkoło
powtarzałem: przyjdź, kimkolwiek Jesteś

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy wiedząc, że już na zawsze
pozostać musimy za murami świętych miejsc
nozdrza nasze już nie miały nigdy poznać
woni dymu z ofiar kronidyjskich

Ołtarz nieznanemu bogu
wystawiliśmy mówiąc półgłosem
do tego, którego odgadywaliśmy w powietrzu:
Przyjdź, nie Ty, którym ja myślę, że jesteś,
lecz Ty, którym Ty wiesz, że Jesteś.

28 VII 1981

KOMUNIKAT JURY:

Na posiedzeniu 22 czerwca 1982 roku, Jury w składzie: Józef Maciej Kononowicz — przewodniczący, Zygmunt Lichniak, Igor Si[illegible]ski, Henryk Pustkowski, Jan Koprowski, Aleksander Rymkie[illegible] i Stefan Jurkowski — członkowie, postanowiło nagrodzić i wyróżnić w dziale obejmującym tematykę religijną: I nagrodą Andrzeja Winogrodzkiego z Oświęcimia, II nagrodami: Annę Zarębską z Warszawy i Stanisława Golę z Bielska-Białej, III nagrodami: Romana Gorzelskiego z Łodzi i Eugeniusza Garnucha z Pabianic.

Wyróżnienia otrzymali: Anna Wernerowa z Katowic, Janusz Kozłowski z Poznania, Krystyna Leo z Tarnowa i Stanisław Grabowski z Warszawy.

W dziale ogólnym I nagrodę przyznano Stanisławowi Goli z Bielska-Białej, II nagrody: Urszuli Zyburze z Kalisza i Mirosławowi Książkowi z Warszawy, III nagrody — Zenonowi Dunajczykowi z Pabianic i Markowi Brymorze z Kalisza oraz cztery wyróżnienia: Piotrowi Domańskiemu z Warszawy, Henrykowi Zasławskiemu z Łodzi, Romanowi Tobole z Pińczowa i Stefanowi Milerowi z Łupawy.

W stronę polskości

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W 30-lecie współpracy z Maciejem Józefem Kononowiczem Instytut Wydawniczy „PAX" opublikował powieść, kontynuującą wątki pojawiające się u tego autora wcześniej, zwłaszcza w „Kilku imionach miłości".

Jest to książka niezwykle pogodna. Przede wszystkim z tej racji, iż traktuje o młodości, o latach, kiedy w głowie ma się jeszcze zielono, a w sercu czuje pierwsze romantyczne porywy. Utrzymana w konwencji przygodowej, a nawet poniekąd „łotrzykowskiej", sytuuje się całkiem wyraźnie w stosunkowo bogatym w naszej literaturze nurcie utworów opowiadających o szkole. I jak większość z nich przedstawia niegdysiejszą szkołę niezwykle ciepło, z nie skrywanym sentymentem jako miejsce, w którym nie tylko zdobywano wiedzę, lecz i doświadczenia, jakich żaden program nauczania nie jest w stanie przewidzieć. Kononowicz pisze nie tyle o uczniach, co po prostu o młodych ludziach, pokazuje ich w różnych sytuacjach, nie ograniczając się jedynie do szkolnej ławy.

Pełno tu humoru, dowcipu, co nie znaczy, że króluje beztroska. Prawie nie spotykamy się z „czystymi wygłupami". uczniowskie kawały zawsze opatrzone zostają pointą czy podtekstem, coś musi z nich wynikać, musi odnosić się do rzeczywistości pozaszkolnej. W ten to sposób objawia się na kartach powieści społeczne i polityczne życie XX-lecia międzywojennego, uwierzytelnia je pokaźna ilość realiów, zwłaszcza tych, które dotyczą Łodzi, bo akcja powieści toczy się przeważnie w murach gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. W miarę rozwoju tej akcji wyraźnie ujawnia się poznawcza funkcja powieści, utrzymanej w konwencji zbeletryzowanego, szkolnego pamiętnika.

Można więc chyba określić „Romantyczne i zielone" jako swego rodzaju pamiętnik z okresu dojrzewania, zwłaszcza że zainteresowania bohaterów zyskują w trakcie narracji ciężar gatunkowy; powoli, lecz coraz skuteczniej, bohaterowie wkraczają w świat dorosłych. W młodych ludziach — w końcu przedstawicielach pokolenia, które jako pierwsze od wielu dziesiątków lat rosło i dojrzewało w warunkach niepodległego bytu państwowego — wzrasta i potężnieje świadomość narodowa, nie ta bogoojczyźniana, lecz krytyczna, pełna troski i zadumy. Prowadzi ona do wniosku, wyrażonego w końcowych partiach powieści: „Jesteśmy takim narodem, który nigdy nie lubił rzeczywistości i teraźniejszości, a kocha legendy". Na ile stwierdzenie owo zachowało aktualność, pozostawmy osądowi czytelników.

Może to z jednej strony przesadne, z drugiej zaś nieprecyzyjne, lecz trudno przecież oprzeć się wrażeniu, iż książka Macieja Józefa Kononowicza posiada bohatera zbiorowego. I to nie gromadę uczniów, a pewne cechy, jakie mniej lub bardziej zdecydowanie prezentują, układające się w p o l s k o ś ć, tę wyniesioną z domu rodzinnego, tę czerpaną z tradycji, literatury, tę wychwytywana ze zróżnicowanego otoczenia, z codzienności. Tę, która w godzinie kolejnej próby przemieniła bohaterów „Romantycznego i zielonego" w kamienie, z jakich wznoszono nasze szańce. Ale o tym powieść Kononowicza już nie opowiada.

* * *

Inaczej dochodzi do polskości bohater powieści Tadeusza Jasińskiego, prozaika, którego przez dłuższy czas poczucie świadomości narodowej interesowało w aspekcie historycznym.

Waldemar Patrzałek vel Waldi Patschaleck, jest mieszkańcem podopolskiej wsi. Wojna rozdzieliła jego rodzinę: ojciec z najstarszym bratem przebywa w Niemczech Zachodnich, on z matką i rodzeństwem mieszka w starym kraju. Jego dziadek był powstańcem śląskim, walczył na Górze św. Anny — ten symboliczny fakt odgrywa znaczną rolę w narodowym uświadomieniu młodego człowieka. Czuje się on Polakiem i nie chce wyjeżdżać, jako niepełnoletni zostaje właściwie zmuszony do wyjazdu przez matkę.

Powieść Jasińskiego jest retrospekcją: bohater przy kuflu piwa przedstawia przygodnie spotkanemu rodakowi swoje życiowe drogi, konfrontując lata spędzone w Polsce z okresem pobytu w Republice Federalnej Niemiec. Powieść w pierwszej wersji została napisana w roku 1965 (gdy autor mieszkał na Ziemiach Zachodnich), co wywarło pewne piętno na sposobie prezentacji problemu łączenia rodzin. Dziś, na problem ten, jak i na sprawę wyjazdów, patrzymy nieco inaczej.

Na podkreślenie zasługuje ogromna pasja, z jaką bohater „Podróży do zatrutych studni" tropi polskość swoją i swej rodziny, przedziera się przez pogmatwane dzieje, motywacje emocjonalne wspierając racjami historycznymi. Daje to sposobność do pokazania skomplikowanych i bolesnych przeżyć tzw. autochtonów, zwłaszcza na styku z Polakami zza Buga, do pokaźnych i szczegółowych nieraz wycieczek w stronę historii, do porównań wreszcie mentalności polskiej i niemieckiej, do posłużenia się źródłami historycznymi od Thietmara po Pawła Jasienicę. Chciał chyba Jasiński w swej prozie fabularnej zbyt dużo i zbyt precyzyjnie powiedzieć o niełatwych sprawach wielowiekowego sąsiedztwa dwóch narodów. Decydując się na pomieszczenie maksimum treści poznawczych, musiał poczynić pewne ustępstwa artystyczne, co odbiło się na spójności narracji i niezbyt jednolitym rysunku bohatera-narratora. Nie to jest zresztą w „Podróży do zatrutych studni" najistotniejsze — chodzi o warstwę emocjonalną, decydującą w tym przypadku o poczuciu narodowej świadomości. Tę zaś udało się autorowi wyeksponować wielorako

M. J. Kononowicz, Romantyczne i zielone, Instytut Wydawniczy „PAX", Warszawa 1981, s. 112, nakład 10.000 + 330 egz., cena zł 30

T. Jasiński, Podróż do zatrutych studni, Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1981, s. 176, nakład 30 000 + 200 egz., cena zł 32.

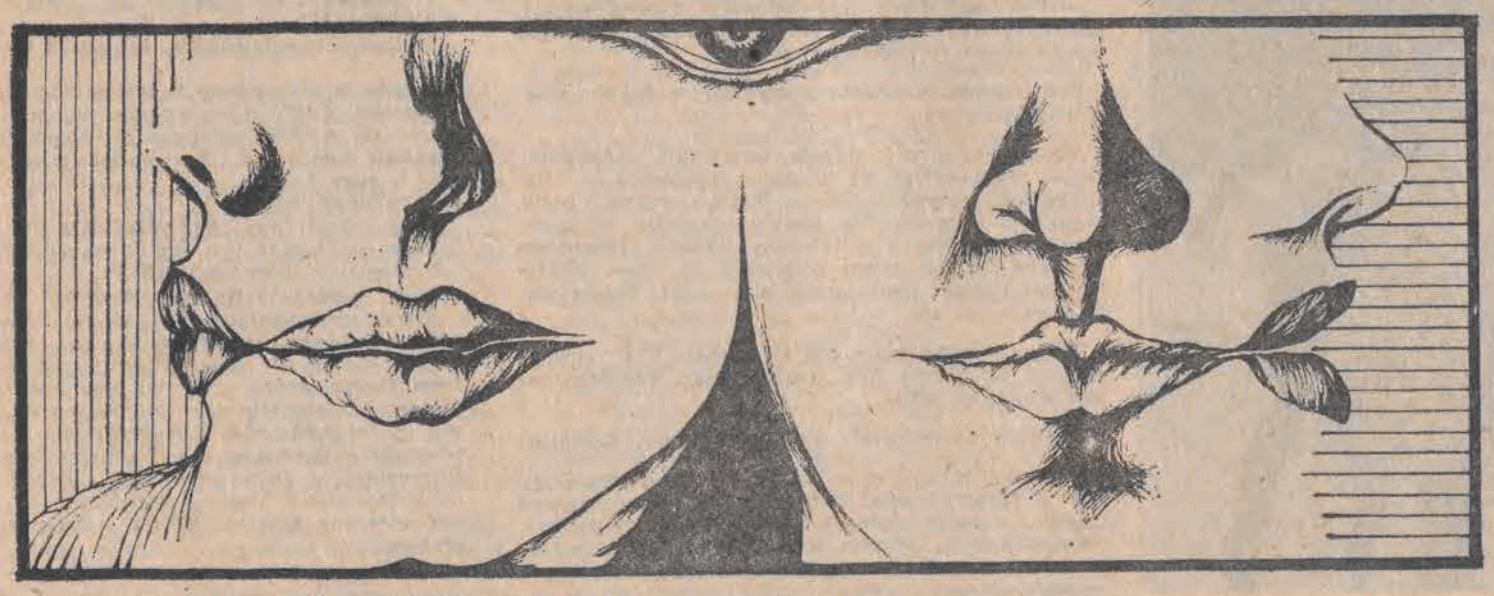

Rys. Zenona Pionk

Foto: M. Zajdler

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Alarm czy stan normalny?

Chodzi o rynek pracy dla licznych rzesz artystów plastyków. Sporo w tej materii panuje niejasności. Jedni powiadają, że plastykom przyjdzie przymierać głodem, inni zaś mówią, iż ci, co dali się poznać jako dobrzy fachowcy, solidnie i terminowo wykonujący zamówienia, a przy tym liczący sobie za tę robotę dosyć umiarkowanie, wprost od zleceń opędzić się nie mogą.

W pierwszym przypadku trzeba by bić na alarm, bo grozi nam zagłada sztuki; w drugim — pozostaje się cieszyć, że wreszcie kryzys dokona naturalnej selekcji pozbawiając podstaw bytowania pistoletowych chałturników, artystycznych kombinatorów, którzy zawsze, w każdym środowisku jakąś tam liczebność tworzą.

Prawda — to stały banał — nie jest tak jednoznaczna.

Faktycznie nie ma ostatnio zbyt wielu zleceń na „wielkie" dekoracje uliczne obfitujące w niepoliczalną ilość plansz słusznego formatu, a był to jeden z najbardziej intratnych w plastyce użytkowej interesów, jak zresztą i malatury na ścianach domów, także będące w niełasce.

Ci więc, którzy głównie tym się trudnili rzeczywiście dosyć boleśnie odczuwają skarlały rynek. Dotkliwa również jest swoista „blokada" w prywatnym popycie na przedmioty sztuki. Jeszcze pod koniec 81 roku notowano (Zakłady „Art") w tej dziedzinie spore zainteresowanie kupujących, obecnie chudnący portfel wyraźnie je osłabił. Przedsiębiorstwo „Art" stanęło przed dylematem: ograniczyć handel przedmiotami artystycznymi albo poszukać rynków zbytu za granicą. Zainteresowanie w kierownictwie „Artu" tą drugą możliwością jest spore, upatruje się w tym, między innymi, możliwość poprawy zaopatrzenia w farby, papiery i inne akcesoria niezbędne plastykom przy pracy, w jakiej jednak formie to zainteresowanie się zmaterializuje za wcześnie chyba jeszcze mówić.

Nie jest natomiast najgorzej z zapotrzebowaniem na prace wnętrzarskie, drobną grafikę użytkową, małe formy rzeźbiarskie. Plastycy, którzy w tych dziedzinach dali się już przed laty poznać jako tzw. „solidna firma" na brak pracy raczej nie narzekają.

Nie sądzę, aby ta w sumie dosyć wyraźna nierównowaga na rynku prac zleconych, miała zagrażać bytowi środowiska; nie sądzę również, że jest to przedsmak zamierania wśród społeczeństwa zainteresowania kupowaniem wyrobów artystycznych. Nie jest to też najbardziej znacząca sfera wpływów na odbiór plastyki przez społeczeństwo. Toteż tylko z tych powodów nie bolałabym nad kłopotami środowiska. W końcu przez całe stulecia obowiązywała w tej branży konkurencja na rynku pracy i niektórzy — zdarzało się — zmuszeni byli poszukiwać innych form zarobkowania.

Znacznie gorzej rysuje się sytuacja plastyków zatrudnionych w przedsiębiorstwach państwowych. Długie lata przekonywano — i wiele zakładów w to uwierzyło — że plastyk jest tak samo niezbędny jak behapowiec albo nawet jakiś kierownik produkcji. W równie jednak wielu zatrudniano plastyków — na zasadzie bo taka moda, bo to wypada, bo nowoczesny i światły dyrektor powinien mieć artystę na usługi zakładu. Atoli w dobie liczenia każdej fabrycznej złotówki (oby tylko liczono z głową!) może się okazać, że plastycy zatrudniani ówdzie z potrzeby nie do końca uświadomionej, ówdzie dla prestiżu, są tzw. elementem nieprodukcyjnym, w pierwszym więc rzędzie oni właśnie nie powinni obciążać zakładowego budżetu. Na wolnym rynku dodatkowo wzrośnie podaż plastycznych usług, co zapewne korzystnie wpłynie na ich poziom jednak sytuacja plastyków stanie się naprawdę nie do pozazdroszczenia. Nie mówiąc i o tym, że taki proces może w końcu obrócić się przeciwko samym przedsiębiorstwom. Warto tu bowiem przypomnieć, że estetyka hal produkcyjnych, pomieszczeń socjalnych, całego otoczenia pracy nie jest obojętna dla samopoczucia załogi, ma więc jakiś pośredni wpływ i na wyniki produkcyjne.

Niepokoić może również sytuacja projektantów przemysłowych. Dla wielu przedsiębiorstw utrzymanie własnych pracowni projektowych okaże się być może przedsięwzięciem zbyt kosztownym. Nie sądzę, żeby możliwy był powrót do czasów kiedy projektowanie przemysłowe było pojęciem pustym, a sam projektant istotą gorszą od Kopciuszka. Konieczna więc chyba się stanie w tej dziedzinie działalności plastycznej reorganizacja. Przypuszczam również, iż jest najwyższy czas, aby firmy typu łódzkiego „Artu" bądź inne agendy ZPAP przyjrzały się temu problemomi bliżej. Wprawdzie właśnie łódzki „Art" na te drogi kieruje swoje myślenie, ale wciąż brakuje mu do tego partnerów, mówiąc krótko — za małe jest zainteresowanie usługami projektowymi w szerokim tego słowa znaczeniu. Niedobrze by się stało, gdyby finał niektórych procesów gospodarczych okazał się zaskoczeniem zarówno dla przedsiębiorstw jak i środowiska plastycznego, a zwłaszcza dla organizacji, której jednym ze statutowych obowiązków jest troska o sprawy bytowe (a praca się w tym mieści) ludzi plastyki.

Moment, w którym zazębiają się interesy środowiska plastyków z interesami przemysłu wydaje mi się najbardziej wymagającym uwagi. Nadzieja, iż z czasem się to zapewne wszystko ułoży byłaby chyba zbyt daleko idącą beztroską.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Na zdjęciu: Składane opakowania zaprojektowali Krzysztof Wieczorek i Janusz Szymański Glanc

Zrobiono je na potrzeby „Artu", można jednak zaprojektować inne, dla jakichś określonych celów.

Podobna idea przyświecała w zaprojektowaniu zestawu listew, których różne kombinacje mogą być wykorzystywane jako oprawa reprodukcji czy obrazów. Zakłady „Art" tradycyjnie oferowały w swoich sklepach przedmioty artystyczne raczej luksusowe, dziś myśli się o tym, aby równolegle zwiększyć podaż wyrobów bardziej użytkowych skierowanych do odbiorcy mniej zasobnego w gotówkę. Może stanie się ta działalność zalążkiem utworzenia pracowni projektowych działających na potrzeby organizacji handlowych czy produkcyjnych. Byłoby to chyba niezłym rozwiązaniem dla środowiska plastycznego.

(K.N.)

BLASKI I NĘDZE SCIENCE FICTION (5)

U sąsiadów

W artykulikach poprzednich — na różnych powołując się autorów, od Stanisława Lema począwszy, a na Verze Graaf skończywszy — starałem się przedstawić nie tyle historię i stan współczesny literatury SF, co zresztą oddzielnej wymagałoby książki, ile ukazać jej smutną skłonność do grzęźnięcia w gatunkowym bagienku, getcie, co sprawia, że książki wybitne i mierne nie tylko na jednych stoją półkach, ale i niemal równą cieszą się poczytnością.

Pisząc swoją „Fantastykę i futurologię", jak również inne szkice — w tym gęsto cytowana przedmowę do „Torpedy czasu" — Stanisław Lem odwoływał się przede wszystkim do literatury zachodniej, amerykańskiej zwłaszcza; podobnie czyniła to Vera Graaf w przytaczanej fragmentami książeczce „Homo futurus" Wypadałoby — dla równowagi chociażby — oddać głos i drugiej stronie, trudno bowiem nie zauważyć, że w ślad za realnymi sukcesami w podboju kosmosu, literatura SF zyskała sobie ogromną poczytność i obrodziła licznymi talentami także w Związku Radzieckim.

Ton tej literatury jest odmienny, bardziej — rzekłbym — optymistyczny, a choć poszczególni twórcy również pławią się w licznych naiwnościach, usiłując na przykład pędzić poprzez kosmos z pomocą cywilizacjom tonącym, dajmy na to, w głębokim średniowieczu, nie zmienia to faktu, że krytyka traktuje gatunek z całą powagą, zaś sami autorzy nie czują się w jakimkolwiek getcie zamknięci.

Pierwszy tegoroczny numer „Literatury Radzieckiej" — miesięcznika Związku Pisarzy ZSRR — w całości poświęcony jest współczesnej fantastyce naukowej i z niego chciałbym zaczerpnąć kilka interesujących wypowiedzi.

Eugeniusz Brandis w artykule „Horyzonty fantastyki" pisze:

„Jeszcze niedawno temu fantastyka naukowa wydawała się wielu osobom jak gdyby „strefą wydzieloną", oderwaną od całokształtu rozwoju literackiego. Ale przecież również realizm w swoich szczytowych osiągnięciach bynajmniej nie wyklucza konwencji, groteski, hiperboli, przenośni, symboliki, słowem wszystkich nieodzownych przedmiotów fantastyki.

Sama fantastyka naukowa jest niejednorodna. I jakkolwiek teoretycy wyodrębniają różne jej odmiany (mitologiczną, baśniową, często literacką, inżynieryjną, społeczną, filozoficzną — nie wynika stąd wcale, że każda z tych odmian posiada wyraźne granice lub że jest w ogóle daleka od odtwarzania realnego życia, co prawda w niekonwencjonalnym ujęciu. Przeciwnie, fantastyka, jako jeden ze sposobów literackiego obrazowania rzeczywistości, poszerza swoiście możliwości estetycznego realizmu.

Do takiego wniosku dochodzą również pisarze. „Jedną z dróg fantastyki — pisze Wadim Szefner — jest jej wcinanie się w prozę realistyczną na zasadzie, by tak rzec, równoprawnego partnerstwa. Daje się to zauważyć w literaturze współczesnej."

„...Jeżeli w dzisiejszej rzeczywistości — twierdzi Arkady Strugacki — kiełkuje coś na pierwszy rzut oka niebywałego, na razie jeszcze milczącego, ukrytego, chowającego się za problemami teraźniejszości, to piszemy o tym my. My, fantaści, jesteśmy realistami, ale na swój własny sposób."

Nie ulega wątpliwości, że fantastyka naukowa posiada swoją własną specyfikę, uwarunkowaną zbliżeniem do naukowego myślenia, dążeniem do uchwycenia ducha badań, do modelowania sytuacji, wykraczających poza granice realności empirycznej, do przeprowadzania wyimaginowanych eksperymentów, kpiących z mieszczańskiego „zdrowego rozsądku", a czasem nawet do transponowania na grunt literatury pięknej metod i sposobów prognostyki naukowej. Wszystko to powoduje „dodatkowe trudności" które fantastom radzieckim udaje się [illegible]. Teraz mówimy o zwiększonym profesjonalizmie, o swobodniejszym stylu, o zainteresowaniu pisarzy — fantastów światem wewnętrznym człowieka, o przestawieniu się całej naszej fantastyki z problematyki technicznej na społeczną i etyczną."

Otóż to, otóż to właśnie! Nie dalej niż przed tygodniem pisałem, że zauroczenie techniką, przy zagubieniu z pola widzenia człowieka, może nie lepszego, lecz z pewnością cokolwiek innego, bo wobec innych stawianego problemów, odbiera fantastyce urok „przygody ludzi myślących", że raz jeszcze się na Stanisława Lema powołam. Podobne obawy zdaje się zgłaszać, choć w nieco delikatniejszej formie, krytyk radziecki, co by znaczyło, że są to niepokoje wspólne.

Wspólne są też nadzieje. „Literatura radziecka" zadała kilka pytań pisarzom — fantastom, zaś na pierwsze z nich — *„Co przywiodło Pana do fantastyki naukowej i co Pan w niej znalazł?"* — Dymitr Bielenkin odpowiada tak oto:

„Moim zdaniem fantastyka jest kontynuacją realizmu odmiennymi środkami. Gdyby było inaczej, musielibyśmy odsądzić od realizmu mnóstwo dzieł literatury światowej, w tym również „Podróże Guliwera" Swifta i „Fausta" Goethego.

Epoka magnetyzuje pisarzy, a nasza epoka jest nasiąknięta fantastyką, albowiem to, co niedawno wydawało się bajeczne, szybko powszechnieje (na przykład telewizja). Dzięki rozwojowi nauki coraz szybciej przechodzimy z jednego, jak się dawniej zdawało, fantastycznego stanu rzeczywistości w inny, jeszcze bardziej zdumiewający. Stąd niezwykle aktualny problem duchowej adaptacji sfery niewiadomego, problem, którego główny ciężar spada na sztukę i literaturę. Tym się tłumaczy niebywały rozkwit science fition, jej stale wzrastająca popularność. I chyba właśnie dlatego zostałem pisarzem fantastą. Możliwości tego gatunku literackiego są olbrzymie, ponieważ środki fantastyki pozwalają spenetrować przeszłość, ogarnąć dzień dzisiejszy i zajrzeć w mgliste dale przyszłości.

Wcale nie wiem jednak, czy nabrałbym upodobania do fantastyki, gdybym się urodził w innej epoce."

Na pytanie drugie — *Czy widzi Pan różnice między fantastyką radziecką i zagraniczną, i na czym ta różnica polega?"* — interesująco odpowiada Eugeniusz Wojskuński:

„Głównym polem działalności ścience fiction jest przyszłość. Istnieje podstawowa różnica w tym, jak „uprawia" to pole fantastyka radziecka i zagraniczna. Zagraniczna (zachodnia) koncentruje uwagę na okropnościach przyszłości (zagłada ludzkości w wojnie jądrowej, katastrofy ekologiczne, potworne mutacje, hipertofia przyziemności. (Ma to swój sens: trzeba ostrzegać ludzkość i w swoich najlepszych utworach zagranicznych science fiction czyni to błyskotliwie. Ale straszyć nie trzeba, a w tym niestety pisarze często przesadzają. Rozumiejąc powagę ostrzegania radziecka science fiction w swoich wizjach przyszłości utwierdza wiarę w rozum zjednoczonej ludzkości. Rozum, który potrafi ochronić naszą planetę przed czyhającymi na nią niebezpieczeństwami, zapewnić życie i rozwój nieskończonym ciągom pokoleń, wszechstronny rozwój osobowości ludzkiej."

Wojskuński — być może dla zwięzłości wypowiedzi — trochę upraszcza, w literaturze amerykańskiej również znaleźć można utwory o optymistycznej tonacji, kłopot jednak w tym, iż by nie był to jednocześnie optymizm sielankowo-naiwny, rozkosznie łatwy. Ma bowiem świętą rację cytowany już wcześniej krytyk radziecki Eugeniusz Brandis, który odpowiadając na to samo pytanie stwierdza brutalnie: *„...Utwory science fiction, w których przyszłość wydaje się polakierowana, a droga do niej — wybrukowana, skazane są na niepowodzenie".*

Dymitr Bielenkin widzi różnice, dorzuca jednak pogodnie:

„Co się tyczy różnic artystycznych w fantastyce światowej, to chwała bogu, że istnieją: byłoby bardzo nudno, gdyby na wszystkich patelniach smażono jednakowe naleśniki!"

Arkady Strugacki, przeciwnie, szuka przede wszystkim podobieństw:

„Najlepsi przedstawiciele fantastyki radzieckiej i zagranicznej mają też cechy wspólne: antymilitaryzm, antyfaszyzm, antymieszczaństwo, siłę wyobraźni, umiejętność operowania kategoriami o skali globalnej itp."

Zacytowałem te wszystkie głosy na dowód, że nasi sąsiedzi nie tylko widzą szansę dalszego, bujnego rozwoju literatury fantastycznej, ale całkiem po prostu traktują ją jako pełnoprawny gatunek literacki, mogący niekiedy powiedzieć to, czego inaczej powiedzieć w ogóle się nie da.

Radziecki pisarz Georgij Gurewicz — wciąż powołuję się na „Literaturę radziecką" — w swojej książce „Mapy Krainy Fantazji" szuka miejsca dla science fiction wśród innych rodzajów literackich.

„Krainę tę — cytuję notatkę z KRONIKI — *przedstawia on graficznie jako kontynent leżący między dwoma oceanami — Naukowym i Literackim. Na pograniczu oceanów znajduje się region Fantastyki Poznawczej, obok — Fantastyka Przygodowa, a za nią — obszerna kraina Marzeń. Bliżej przygód leżą Marzenia o Odkryciach Dokonanych, bliżej nauki — Marzenia o Tworzeniu, Fantastyka Laboratoryjna i Fantastyka Produkcyjna. Zaś Marzenia o człowieku i społeczeństwie przyszłości, innymi słowy Utopia, oddzielona jest Morzem Sporów od Wybrzeża Fantastyki Potępiającej z regionami Satyry na Zacofane Społeczeństwo, Satyry na Zacofanych Współczesnych oraz Satyry na Błędne Tendencje i Marzenia. Ta ostatnia posiada swoją nazwę — Antyutopia czyli Fantastyka Ostrzeżenia.*

Na przesmyku między Marzeniem a Satyrą znajduje się Fantastyka Psychologiczna, obrazująca człowieka współczesnego za pomocą właściwych jej środków.

Za Fantastyką Laboratoryjną, widnieje wysunięty daleko na Ocean Naukowy półwysep Nowych Koncepcji, a obok niego — obszar szkiców o Technice Przyszłości. Wzdłuż Krainy Fantazji ciągną się Góry Uzasadnień — — trzon science ficton."

Ładne to, przyznajmy, i barwne, a zarazem mniej szufladkowe niż amerykańskie podziały na „Horror-Story", „Space-Opera", „Aliens", no i tak dalej.

Pointy poszukajmy jednak gdzie indziej, pointą niech będzie kolejna notatka z tejże KRONIKI, nosząca tytulik: *„Wątek godny powieści fantastycznej"*. Oto ona:

„W roku 1848 gazeta „Moskiewskije gubernskije nowosti" poinformowała czytelników, że „mieszczanin Nikifor Nikitin za buntownicze rozmowy o locie na Księżyc zesłany został do osady Bajkonur."

Minęło ponad sto lat i oto nazwa Bajkonur stała się znana na całym świecie — stąd 4 października 1957 roku wystrzelono pierwszego sztucznego satelitę Ziemi, stąd wystartował „Wostok" z Jurijem Gagarinem na pokładzie."

JERZY PANASEWICZ

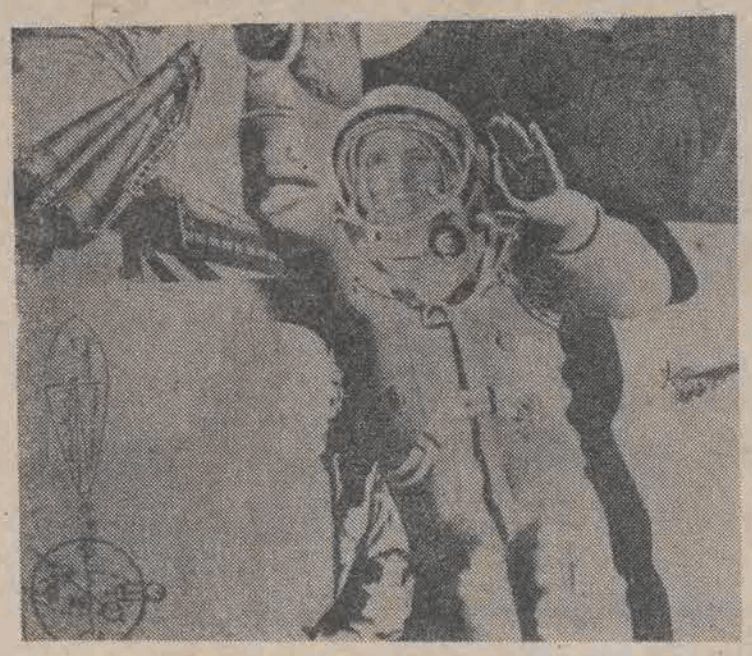

Jurij Zajcew z cyklu „Triumf Kosmonautyki"

Trust

DARIUSZ MILERSKI

Spotkali się w warszawskim klubie miłośników fantastyki SFAN. Wszyscy od niejakiego czasu próbowali swoich sił w Science-Fiction. Z różnym skutkiem. Podczas długich dyskusji przy sfanowskim stoliku, porównując swoje utwory doszli do wniosku że w podejściu do S-F więcej ich łączy niż dzieli. Ktoś rzucił myśl, by założyć grupę autorską. Tak się zaczęło.

Mowa o grupie autorskiej TRUST. Pięciu autorów: *Robert Azembski, Jarosław J. Grzędowicz, Tomasz Lipowski, Jacek Piekara* i *Rafał A. Ziemkiewicz*. Żaden nie skończył jeszcze dziewiętnastu lat. Lansują własne, nowe podejście do fantastyki naukowej (nie ma ono nic wspólnego z tak zwaną „Nową Falą" w S-F, o czym przy innej okazji).

Jakie zadania stawia sobie grupa? Odpowiada Rafał Ziemkiewicz, jeden z założycieli TRUSTU.

„W science fiction ogromnie ważna jest technika pisarska, trudno powiedzieć, czy ważniejsza od pomysłu, ale warunkuje ona poziom utworu. Z początku TRUST miał być dla nas po prostu czymś w rodzaju szkółki. Każdy przynosił swoje opowiadania do klubu i długo zastanawialiśmy się nad każdym słowem niemal. Staraliśmy się wytworzyć własny styl i własne kanony estetyczne. Wszyscy jesteśmy pod urokiem literatury anglo-amerykańskiej i oczywiście widać to w naszych opowiadaniach. Szybka, dynamiczna akcja, zwięzły styl, ciekawa pointa, trochę refleksji. I oczywiście podstawowa zasada: czytelnik musi być zadowolony".

TRUST jest grupą otwartą. Piątka założycieli czeka na następnych autorów, którzy zgadzaliby się z naszymi poglądami na fantastykę. Ktokolwiek pisze lub przynajmniej próbuje pisać S-F i chce się tym zajmować poważnie, niech przyśle swoje utwory na adres: Grupa „TRUST" SFAN-CLUB, Groteka Al. Jerozolimskie 2. 00-375 WARSZAWA. Zapraszamy zwłaszcza debiutantów. Odpowiemy każdemu, choć to może trochę potrwać."

Grupa TRUST przygotowuje obecnie swoją sztandarową antologię pt. „Tylko Ludzie". Po przygotowaniu tejże, tudzież przepisaniu w odpowiedniej ilości egzemplarzy zamierzają szturmować z nią Wydawnictwa i wydrukować. Na razie co prawda, żaden z nich nie ma na swoim koncie utworu, który ukazał się drukiem, ale odgrażają się, że kiedy to się wreszcie stanie, to...

Pozostaje nam chyba tylko życzyć Trustowi wydania ich antologii w formie książkowej, a do tego czasu będziemy starali się, w miarę naszych możliwości, publikować ich utwory na naszych łamach.

OD REDAKCJI: Miło nam, że warszawski SFAN-CLUB nawiązał współpracę z „Odgłosami". Publikujemy — dość złośliwe, przyznajmy — opinie młodych zapaleńców o nowych książkach z dziedziny fantastyki, a że już wkrótce Rafał A. Ziemkiewicz zadebiutuje na naszych łamach, każdy z urażonych aktorów będzie miał okazję się „odegrać". Nadesłane sądy odmienne — też bowiem opublikujemy.

Debiut

Narkoza

Chemia organiczna będzie wytwarzać coraz to doskonalsze związki organiczne wpływające na ludzką psychikę. Problemem są skutki uboczne wywołane przez narkotyki po dłuższym okresie zażywania — zmiany patologiczne w organizmie. Gdy nauczymy się je likwidować, otworzy się przed nami niebezpieczna możliwość narkotyzowania się do woli.

Chciałem pożegnać się przed odlotem na Ziemię.

O tej porze cała załoga powinna być w mesie. Idąc, zastanawiałem się, jak oni mogą wytrzymać na tym pustkowiu? Stanąwszy w drzwiach z napisem „MESA" odezwałem się:

— Chciałbym się pożegnać...

Niektórzy z nich leżeli właśnie na swoich fotelach i wytrzeszczali oczy ku sufitowi. Drudzy obsiedli mnie wokoło, żując coś zawzięcie. Coś szeleściło i trzeszczało ilekroć otwierali plastikowe futeraliki trzymane w dłoniach.

— Co chcesz? — spytał Koschitz. — Chcesz wrócić na Ziemię? Do żony i do mamusi?! Ty głupcze, na co ci to? Spróbuj lepiej tych orzechów. Są doskonałe. Uzdrowią cię od razu.

— Ja... Nie... Skądże by — stchórzyłem.

Obrałem podanego mi orzecha z kruchych łusek i spróbowałem oliwkowozielonego nasienia. Smakowało jak gorzka pigułka, pachniało szpitalem, jednym słowem obrzydlistwo. Jednak coś się zmieniło. Zadymione pomieszczenie jakby odsunęło się ode mnie i tylko blat stołu pozostał wielką płaszczyzną na miejscu. Głową uderzyłem o nią, a ręce wykręciły mi się do tyłu. Znajdowałem się w stanie nieważkości. Czułem jak coś mnie ogarnia, coś strasznego i wspaniałego zarazem. Chciałem to złapać, lecz wymknęło mi się. Ściany zaczęły się przybliżać i wyginąć na wszystkie strony. Po chwili mgła się rozpłynęła i mesa znowu była na swoim miejscu.

— No? — zawołał Koschitz. — Masz dosyć? Zostaniesz u nas? Weź sobie jeszcze jednego. A może się boisz, co?

Sięgnąłem jeszcze raz do pudełka. Między palcami poczułem własną, suchą jak papier skórę. Kulka sprasowanego proszku rozpłynęła się w moich ustach...

Szarość odpłynęła ode mnie. Oczy utknęły w jednym punkcie. Otoczenie oddaliło się — spadałem. Coś zatrzymało mnie łagodnie. Otaczające mnie istoty, wachlowały moje ciało swoimi skrzydłami. Wyczuwałem wokół coś cudownego.

Nic nie widziałem ani nic nie słyszałem. Ale coś wypełniało powietrze. Wytężyłem wszystkie siły, aby tego dosięgnąć. Zobaczyłem twarz Koschitza. Jego popękane wargi poruszały się:

— Potrójnej dawki nie zniesiesz! Tchórz, świnia, osioł! No weź! Żaden z nas nie potrafi stąd odejść, więc dlaczego ty miałbyś to zrobić?!

Pod palcami wyczułem trzecią kulkę. Szybko wsadziłem ją do ust.

Skóra mojej ręki płonęła wszystkimi barwami. Znów znajdowałem się w stanie nieważkości. Dostrzegałem wszystkie kolory. Wielkie morze barw, zapachów i tonów. Siła woli wystarczała, by poruszać się w tym kryształowym świecie. Widziałem wszystko, przeszywałem powietrze na wylot. Czytałem w myślach otaczających mnie istot. Byłem cząstką wszechświata.

Potem otoczyło mnie coś strasznego. Coś olbrzymiego i okropnego. Coś nieubłaganego, będącego celem samym w sobie.

Przede mną poruszały się blade figury. Koschitz?

Wszystko to nieważne. Teraz już rozumiałem jak jest w rzeczywistości. Dom rodzinny, żona, matka? Czy oni w ogóle istnieją? Istnieje ciekawy, kolorowy, wspaniały świat odkryty przeze mnie Jeszcze jednego orzecha! Gdzie one są?! Muszę koniecznie zażyć jeszcze jednego...

PIOTR KUSZYŃSKI

Spod lady

czyli co było w księgarniach

1. Harry Harison „PLANETA ŚMIERCI".
Czytelnik, nakład 50 tys. egz.
Klasyka na dobrym poziomie. Szkoda tylko, że nie dopisał tłumacz. Dalszych części trylogii nie przewiduje się. Szkoda.

2. Maciej Parowski „TWARZĄ KU ZIEMI".
Czytelnik, nakład 30 tys. egz.
Jest to nudna piła gęsto najeżona seksem nie najwyższej klasy, co jej zresztą w niczym nie pomaga. Pomysł zacny, ale nic poza tym.

3. Andrzej Mercik „MGŁA".
Wydawnictwo Literackie, nakład 10 tys. egz.
W miarę udany debiut. Niezły styl. Niestety razi to, że autor chwilami uważa czytelnika za dziecko, tłumacząc mu podstawowe pojęcia. Czekamy na nowe, lepsze książki.

4. James Matthew Barrie „PIOTRUŚ PAN".
Nasza Księgarnia, nakład 100 tys. egz.
Chwali się wydawnictwu wznowienie kolejnej klasycznej powieści. Staranne wykonanie, ładne ilustracje. Szkoda tylko, że zapomniano o części pierwszej. Może dlatego, że pan Słomczyński do tej pory jej nie przetłumaczył. Sugerujemy, żeby przynajmniej wykorzystać stary przekład Zofii Rogoszówny.

5. Jacek Sawaszkiewicz „KRONIKA AKASZY" cz. II Skorupa astralna".
Wydawnictwo Poznańskie, nakład 30 tys. egz.
Wszyscy chwalą! Na warszawskim Wołumenie złotych polskich 250. Jak na polskiego autora — znakomicie.

6. Stefan Wul „REMEDIUM".
KAW, nakład 100 tys. egz.
Jeszcze w połowie lektury istniała nadzieja, że ukazała się pierwsza, nadająca się do czytania książka w serii „Z dżdżownicą". Niestety.

7. Henryk Kurta. „DZIEŃ CZERWONEGO GIGANTA".
KAW, nakład 100 tys. egz.
Pan redaktor Kurta sugeruje swoją książką, że wszystko jest możliwe i chyba niestety ma rację. Fakt, że to dzieło ujrzało światło dzienne tę smutną opinię zdaje się potwierdzać.

8. Andrzej Krzepkowski. „ŚPIEW KRYSZTAŁU".
Wydawnictwo Lubelskie, nakład 30 tys. egz.
Czyżby Wydawnictwo Lubelskie chciało dorównać KAW? Proponujemy zainteresować się p. Mieczysławem Kurpiszem i wznowić książkę pt. „Bez przerwy wypełniać tę ciszę"!

WZNOWIENIA:
1. Stanisław Lem „NIEZWYCIĘŻONY".
Iskry, nakład 50 tys. egz. Wydanie IV.
2. Stanisław Lem „SOLARIS".
Iskry, nakład 50 tys. egz. Wydanie VI.

Rzeczą zadziwiającą jest, że w dobie ostrego kryzysu papierowego po raz n-ty wznawia się książki, nawet uznanego autora, które i tak wszyscy znają, i które bez specjalnego trudu można kupić w antykwariacie, tym bardziej, że równolegle wychodzą w Wydawnictwie Literackim w nowej serii Dzieł Zebranych Stanisława Lema A tymczasem nowe, nieznane książki czekają, czekają, czekają...

SFAN-CLUB WARSZAWA

Cudów (z różdżką) nie ma

TERESA JERZYKOWSKA

Niektórzy znajomi stukają palcem w czoło, co jest wyraźnym znakiem, że niezbyt wysoko oceniają stan mego umysłu. Opinię podziela chwilami mąż — mimo to pomaga: chowa pod dywanem drobne metalowe przedmioty, odwraca zdjęcia białą stroną do góry. Z wypiekami na twarzy próbuję ustalić, które ze zdjęć przedstawia mężczyznę, a które kobietę, wędruję na kolanach po podłodze i staram się odszukać schowane drobiazgi. Gorliwość neofity — równie dobrze mogłabym szukać ich, chodząc w normalnej dla dorosłych ludzi pozycji. Wahadełko pokaże znacznie bardziej oddalone i lepiej ukryte rzeczy. Moja nowa pasja jest wynikiem rozmowy z dr Henrykiem Ladorskim, prezesem Klubu Radiestetów Poznańskich.

Klub nie ma jeszcze swojej siedziby. Pan Ladorski zaprosił mnie więc do domu. Blok, jakich wiele w każdym mieście. W mieszkaniu jednak spotkał mnie drobny zawód: ściany nie były obite czarnym pluszem, wśród ustawionych na stołku drobiazgów brakowało kryształowej kuli. Oczywiście nie spodziewałam się, że otworzy mi drzwi człowiek ubrany w pelerynę haftowaną w gwiazdy i spiczastą czapkę bajkowego czarodzieja, ale jednak trochę żal, bo przecież miało być...

O WIEDZY TAJEMNEJ

Jest radiestezja sztuką z pogranicza magii czy też nową, mało jeszcze rozwiniętą nauką? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, można jednak z całą pewnością twierdzić, że odpowiedź taka zostanie wkrótce sformułowana. Wszystko, co dzisiaj wydaje się jasne i zrozumiałe, stanowiło kiedyś tajemnicę, uważane było za nieprawdopodobieństwo lub czarnoksięską sztuczkę. Posłużę się przykładem z niezbyt odległej przeszłości: człowiek, który sto lat temu stwierdziłby, że pusty pokój jest pełen dźwięków i obrazów, w najlepszym wypadku zyskałby miano niegroźnego szaleńca lub „nawiedzonego". A przecież wystarczyło skonstruować odpowiednie aparaty — radio, telewizor, aby wszyscy przekonali się, że tak jest rzeczywiście.

Takim „aparatem" do odbierania innego, mało znanego jeszcze promieniowania jest właśnie radiesteta — człowiek obdarzony szczególnymi zdolnościami, wrażliwością, pozwalającą mu wykryć tę formę oddziaływania, która nie została jeszcze dokładnie rozpoznana i „zaszufladkowana" przez żadną z istniejących dziedzin nauki. A promieniuje wszystko: różne rodzaje materii, kształt, masa. Aby to wykryć, wystarczy wziąć wahadełko (jakie — o tym dalej) i uważnie śledzić jego ruchy. Pokażą to, czego szukamy lub co chcemy wiedzieć. Bowiem stwierdzenie, że coś jest, to zaledwie drobna cząstka tego, na co stać radiestetę. Potrafi on również stwierdzić, w jakim stosunku pozostają między sobą różne rodzaje promieniowania, czy panuje między nimi zgodność, czy też dysharmonia.

W tym momencie pan Ladorski demonstruje proste doświadczenie. „Stwierdzimy, czy papierosy są dla pani szkodliwe, czy też nie. Proszę położyć rękę na paczce..." Po chwili metalowe wahadełko zaczyna się poruszać. Zatacza coraz większe kółka w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Ten ruch oznacza negację, niezgodność promieniowania. Uważnie patrzę na rękę radiestety: nie wierzę na pewno porusza specjalnie. Jednak nie. Nieruchoma dłoń, palce nie wykonują żadnych ruchów, nie drżą nawet.

W ten sposób można stwierdzić, czy np. służy nam określone jedzenie, lekarstwo, a nawet — pół żartem mówi pan Ladorski — czy narzeczeni będą dobrym małżeństwem. Jeżeli wahadełko wykaże, że ich biofizyczne promieniowanie jest zgodne, można brać ślub bez obawy... A ja ciągle nie wierzę O tym, że papierosy są szkodliwe, wie każde dziecko. Nie trzeba wahadełka. W domu powtarzałam doświadczenia. Zawieszony na nitce ciężarek zbliżałam kolejno do każdej potrawy. Nad kwaśną śmietaną, schabowym, ogórkiem, chrupiącą świeżą bułką ciężarek poruszał się w kierunku „nie". Nad słoikiem z miodem zataczał duże koła zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W ten sposób powstaje lista produktów, których jadać nie powinnam. O dziwo, dokładnie zgodna z zaleceniami lekarza. A więc coś w tym jest.

Wróćmy jednak do naszej rozmowy. Gospodarz powoli przechodzi przez pokój. Wahadełko porusza się jednostajnie. „Ten ruch oznacza przebieg granicy promieniowania geopatycznego. To promieniują podziemne żyły wodne. Człowiek, i wiele zwierząt, powinni unikać stref gdzie promieniowanie takie występuje. Jest ono szkodliwe dla zdrowia, przyczynia się do rozwoju wielu groźnych chorób, w tym i raka. Tak przynajmniej twierdzą radiesteci. Brak naukowego potwierdzenia tej teorii, zdecydowanie sprzeciwia się jej wielu lekarzy, a tymczasem... Tu słucham opowieści o ludziach, którzy, chorując i chwytając się wszelkich możliwych sposobów, aby zmniejszyć swe cierpienia, zwracali się do radiestetów i za ich poradą, przesuwali do innego pokoju łóżko. Choroba mijała, a co najmniej znacznie zmniejszały się dolegliwości.

Rewanżuję się opowiadaniem z własnego doświadczenia. Pojechałam do człowieka który właśnie posługując się różdżką próbował pomagać chorym. Przyjeżdżały do niego tłumy ludzi z całego kraju, licząc na cud, powołując się na znajomych, którzy dzięki jego terapii wstali niemal z łoża śmierci. Ja byłam zdrowa, przywiodła mnie jedynie ciekawość. I rzeczywiście, wizyta była interesująca. „Doktor" bez żadnych przyrządów określał wysokość ciśnienia, nie badając określał schorzenia, jakie już są, a także te, które ujawnią się dopiero za kilka lat. Niestety, nie ograniczał się do samej diagnozy — zalecał zioła. Lubię zioła, więc piłam. Na szczęście w porę trafiłam do „zwykłego" lekarza. Jeszcze trochę, a kuracja skończyłaby się zapaścią...

— I to jest właśnie problem, z którym my, oficjalnie działający radiesteci, chcielibyśmy lecz nie bardzo możemy sobie poradzić — mówi H. Ladorski. — Pojawiają się niekiedy szarlatani, którzy próbują wykorzystać radiestezję w sposób nieetyczny — dla zysku lub tylko dla zdobycia sławy „cudownego" uzdrowiciela. Trafiają na dobry grunt: ludzi bowiem fascynuje zastosowanie takich właśnie metod w medycynie. I można je stosować, najlepiej jednak w ścisłej współpracy z lekarzem. Są zresztą lekarze posługujący się obok innych metod radiestezją. W Polsce jest ich niewielu — na znacznie szerszą skalę prowadzi się takie doświadczenia np. we Francji.

— A leczenie przez dotyk, czy tylko przybliżenie rąk do pacjenta? A filipińscy lekarze operujący bez użycia narzędzi?

— Nigdy nie widziałem takiej operacji poza ekranem telewizyjnym. Wiadomo, że każdy człowiek swoim biofizycznym promieniowaniem oddziaływuje na otoczenie. Być może oddziaływanie Filipińczyków jest tak silne, że potrafią pokonać więzi między tworzącymi komórki atomami, „rozrzedzić" materię na tyle, aby dostać się do wnętrza? Są to tylko moje luźne przypuszczenia. Nie zajmowałem się dokładniej tymi tematami i — podkreślam — nie zamierzam zajmować jednoznacznego stanowiska, niczego twierdzić z pewnością. Natomiast co do leczenia. Można przypuszczać że choroby są wynikiem zakłóceń w polach elektromagnetycznych komórek w organiźmie. Ludzie, których promieniowanie biofizyczne jest silne, mogą, poprzez dotknięcie chorego, przekazanie mu własnej energii, przywrócić właściwy ład. Potem jednak trzeba dalej stosować terapię zalecaną przez lekarza odpowiedniej specjalności. Oddziaływujący poprzez dotyk radiesteta jedynie przywraca porządek w polach elektrycznych komórek, stwarza warunki sprzyjające wyzdrowieniu. Nie jest natomiast cudotwórcą, jak chcieliby wierzyć niektórzy pacjenci. Medycyna jest tą dziedziną, w której metody radiestezji stosować najtrudniej. Nie każdy z radiestetów może się tą akurat dziedziną zajmować, nawet jeżeli jego sukcesy na innych polach są znaczne. Potrzebne są specjalne predyspozycje, a przede wszystkim — duże doświadczenie i rozsądek. Pochopne działanie, czy to w diagnozowaniu, czy też w próbach leczenia — przynosi ogromne szkody. Przede wszystkim choremu, ale także samej radiestezji, stawiając wszystkich, którzy się nią zajmują, w dwuznacznej pozycji oszustów czy odpustowych sztukmistrzów. To nie przyczynia się do rozwoju wiedzy o radiestezji. Każdy natomiast, kto interesuje się tymi zagadnieniami, może sobie i znajomym udzielać przy pomocy wahadełka dobrych rad, gdzie najlepiej postawić tapczan albo czego nie jeść, aby schudnąć.

— Każdy może?

— A tak. Radiestetów, działających w formie zorganizowanej, członków klubów nie ma tak wielu (choć ich liczba stale wzrasta), natomiast zdolności do odbierania promieniowania wcale nie należą do rzadkości. Występują częściej, niż np. uzdolnienia muzyczne czy plastyczne.

— A więc...

I TY JESTEŚ RADIESTETĄ

— Proszę dać rękę, sprawdzimy, czy pani takie zdolności posiada — zaproponował, jakby odgadując moje życzenie dr Ladorski. Trzymane nad dłonią wahadełko zaczęło się poruszać. Jedno kółeczko, drugie... dziesięć... dwadzieścia... pięćdziesiąt... Wreszcie stop. Nie wiem dlaczego, ale stwierdzenie, że moje uzdolnienia w tym kierunku są dość spore, sprawiło mi przyjemność, zmniejszoną nieco przez następne wyjaśnienia.

W badaniach, przeprowadzonych na dużej liczbie osób stwierdzono, że zdolności takie posiada — w mniejszym lub większym stopniu — 80 proc. ludzi. Z pozostałych 20 procent połowa, stosując odpowiednie ćwiczenia, może je w sobie rozwinąć. A więc zaledwie jedna osoba na dziesięć nie jest i nie może zostać radiestetą. Dziewięć może. Wystarczy mieć odpowiedni sprzęt — czyli wahadełko.

Mój rozmówca miał ich cały komplet: maleńkie, średnie i duże, z metalu, kryształu górskiego, innych materiałów. Zajmując się radiestezją bardzo serio, warto mieć taki komplet. Na domowy użytek i na początek wystarczy jednak... cokolwiek. Tak przynajmniej radzi fachowiec w tej branży.

— Początkowo wahadło miało kształt kuli. Dotychczas używają takiego właśnie niektórzy radiesteci we Francji. Potem była to kula z wystającym szpicem, aby precyzyjnie określić poszukiwany punkt. Następnie przekształciły się one w najczęściej obecnie używany stożek. Może być wykonany z mosiądzu, kryształu, bursztynu. Bardzo dobre są także z lipowego i dębowego drewna. Ale może być także każdy inny metal, a nawet kawałek plastyku, zawieszony na nitce, cienkim rzemyku czy łańcuszku. Każdy z radiestetów ma swoje ulubione, wypróbowane. Do prac w terenie używa się cięższych wahadeł, w pomieszczeniu lżejszych. Pierwszy raz można spróbować nawet z grubszą igłą...

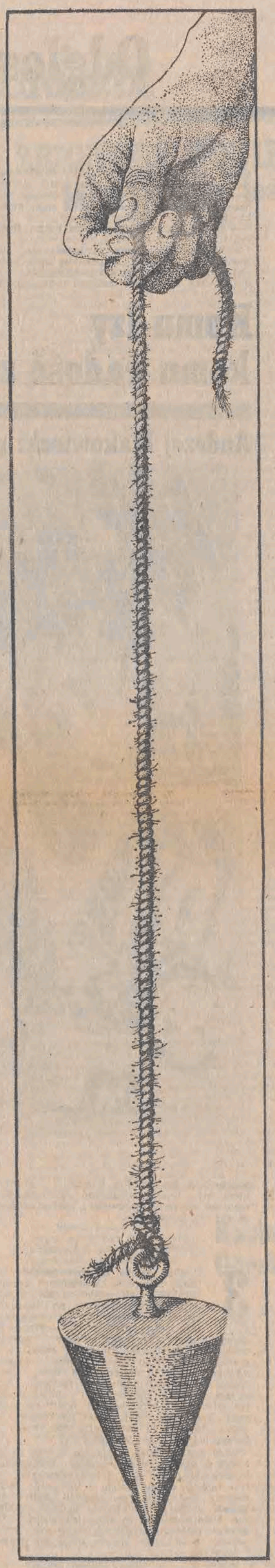

— A różdżka?

— Tego nie polecałbym początkującym. Praca z różdżką jest trudniejsza, nie każdy, nawet długo praktykujący radiesteta, potrafi się nią posługiwać. Często drgnie dopiero po wielu miesiącach prób. Wahadło natomiast poruszy się w każdych niemal rękach.

— Poruszy się, ale jak określić, co ten ruch oznacza?

— To także nie jest, przynajmniej w początkowej fazie, w wąskim zakresie zbyt skomplikowane. Dla większości ludzi ruch zgodny z ruchem wskazówek zegara oznacza rzecz pozytywną, odwrotny — negatywną.

— A więc np. zakładamy w myśli, że szukamy metalu. Koncentrujemy się na tym i chodzimy, trzymając wahadło. Tam, gdzie znajduje się metalowy przedmiot, poruszy się ruchem oznaczającym „tak"...

— Istotnie, wydaje się to całkiem proste. A jednak radiestezja ciągle ma posmak „wiedzy tajemnej". Skoro większość ludzi może się nią posługiwać, gdzie tu tajemnica, gdzie magia?

WAHADŁO I... REFORMA

— Magii nie ma i być nie powinno. Do utrzymania owej aury tajemniczości przyczyniają się niekiedy sami radiesteci. Nie wszyscy, oczywiście, ale są i tacy, którzy, demonstrując niewtajemniczonym pracę z wahadełkiem, wyczyniają rozmaite, obliczone na efekt, sztuczki: przymykają oczy, pocierają palce, coś szepczą. Widzowie patrzą na to w ciszy i skupieniu. Tworzy się atmosfera tajemnicy. Ja i wielu moich kolegów reprezentujemy inne stanowisko: jeżeli chcemy, aby radiestezja stała się nauką, aby rozwijała się i przynosiła pożytek społeczeństwu, trzeba o niej mówić otwarcie i zwyczajnie. Być może owo przymykanie oczu ma dla kogoś znaczenie, bo pomaga mu się skoncentrować. Niech więc o tym powie patrzącym, a nie udaje „wielkiego wtajemniczonego". Czym więcej ludzi zainteresuje się radiestezją, tym lepiej dla jej rozwoju. Niekoniecznie muszą to być osoby dokonujące ważnych odkryć, poświęcające na doświadczenia każdą wolną chwilę. Jestem po prostu zwolennikiem popularyzacji tej dziedziny wiedzy, tak, jak każdej innej. Pomoże to ukształtować właściwy klimat wokół naszych doświadczeń i szerzej stosować je w praktyce. Już teraz, choć to dopiero początek, z tego, co wiemy i potrafimy może być wymierna korzyść.

— O tym, że przy pomocy różdżki czy wahadełka można znaleźć odpowiednie miejsce na wykopanie studni wie większość ludzi. Coraz więcej wierzy, iż korzystając z porad radiestety można uniknąć szkodliwego dla zdrowia wpływu geopatycznego promieniowania. Ale inne, na dodatek wymierne korzyści? Chyba zbyt wcześnie o tym mówić.

— Efekty jednak są. Najpopularniejsze i najbardziej wymierne to właśnie poszukiwanie wody. Klub Radiestetów Poznańskich od dość długiego czasu współpracuje z rolnictwem, poszukując wody, przede wszystkim dla drobnych odbiorców. Przy czym potrafimy wskazać nie tylko taką lokalizację, aby woda w ogóle była, ale również, aby w studni znalazła się jej odpowiednia ilość, np. 20 m sześc. na dobę, bo takie są akurat potrzeby gospodarstwa.

Mniej wymierne efekty — to określanie stref promieniowania geopatycznego. I tu również przeprowadzaliśmy doświadczenie w rolnictwie, badając promieniowanie w chlewniach. Zwierzęta hodowane w kojcach wolnych od promieniowania znacznie szybciej przybierały na wadze, mniej sztuk padało i chorowało. Zainteresował się tymi warunkami WZiR i przy wydawaniu zezwoleń na budowę obiektów inwentarskich zaczęto wymagać ekspertyzy radiestezyjnej.

Współpracujemy również z Wydziałem Kultury. Pomagamy archeologom w poszukiwaniu zabytków. Obecnie trwają prace w Szamotułach przy określaniu przebiegu murów obronnych starego zamku. W katedrze gnieźnieńskiej, gdzie zaczynają rysować się fragmenty murów, staramy się określić przebieg wewnętrznych pęknięć, czego nie można dokonać przy pomocy żadnej aparatury. Zaczynają interesować się nami biura projektów, planowania przestrzennego. Trwają pertraktacje na temat przeprowadzenia ekspertyzy radiestezyjnej terenu jednej z przyszłych dzielnic Poznania. Ciągle jednak zainteresowanie nami i wykorzystanie naszych możliwości są zbyt małe. Np. w geologii — fachowcy z tej branży nie zawsze chcą z nami współpracować, traktując radiestetów jak niezdrową i niepotrzebną konkurencję. Inaczej podchodzi się do tych spraw np. w ZSRR, gdzie radiesteci uczestniczą w poszukiwaniach wody i minerałów na szeroką skalę. Przy tym — osiągają 96 proc. trafności, podczas gdy geologowie tylko 50 proc. Może zmieni tę sytuację na naszą korzyść reforma gospodarcza? Pomijając już stopień trafności, przedsiębiorstwu, które zacznie liczyć się z wydatkami, bardziej opłaci się wysłać w teren kilku radiestetów z własnymi wahadełkami, niż ekipę geologów z kosztownym sprzętem...

I tak, — trochę żartobliwie — zbliżamy się do końca rozmowy. Szukając maga, znalazłam człowieka zainteresowanego tym, w jaki sposób pożytecznie wykorzystać swoje zdolności. Przypominam — zdolności, które posiada w jakimś stopniu większość z nas. Dr Henryk Ladorski zawodowo związany jest z rolnictwem i w tej branży przede wszystkim — choć nie tylko — prowadzi swoje radiestezyjne badania i doświadczenia. Do Klubu Radiestetów Poznańskich należy sporo ludzi z tytułami naukowymi z różnych dziedzin wiedzy. Pracują nad tym, aby i radiestezja z „wiedzy tajemnej" stała się nauką. Droga do tego jeszcze daleka. Potrzeba opracować odpowiednią metodologię, skonstruować aparaty i urządzenia, umożliwiające powtarzalność doświadczeń, znalezienie statystycznych zależności. Ważne jest również to, co często podkreślał mój rozmówca: popularyzacja tego, co już osiągnięte, „odtajnienie" działalności radiestetów, uczynienie z ich pracy sprawy zwyczajnej, choć jeszcze niezupełnie jasnej. Argumenty wydały mi się przekonywujące i dlatego szukam schowanych pod dywanem śrubek. Nie robiłabym tego, gdyby ściany mieszkania pana Ladorskiego obite były czarnym aksamitem.

■

Odgłosy Mundialu

Komu łzy komu radość zwycięstwa

Andrzej Makowiecki pisze z Hiszpanii

1 Biją dzwony Maradonie. Na barcelońskim boisku El Espaniol brazylijska maszyna futbolowa rozgromiła w rytmie samby aktualnego mistrza świata. Nim jeszcze rozpoczął się mecz, a na trybunach szalało 9 tysięcy turystów w kanarkowych koszulkach, spróbowałem zlokalizować miejsce Pelego. Hiszpańska hostessa wskazała mi mniej więcej, gdzie to może być, uśmiechając się przy tym przepraszająco, że nie wolno powiedzieć jej nic ponadto. Król jest przecież strzeżony, trudno wystawiać go na patelnię. Chcesz szukać, człowieku, to szukaj.

Usiadłem obok Mietka Wójcickiego z pierwszym gwizdkiem. W przerwie wstałem. Mietek poszedł po coca colę, a ja znowu zacząłem szukać, penetrując rzędy sprawozdawców telewizyjnych.

Mówię do tej samej hostessy:

— Zlituje się, śliczna.

A ona na to:

— Tam go masz.

— Gdzie?

— Tu.

Patrzę: jest.

Idę. Depczę po jakichś kablach, po jakichś kurtkach, marynarkach, ktoś posyła mnie do diabła, a ktoś inny ubliża pośmiertnie mojej ukochanej matce. O pół kroku za mną sunie gość ze „Sztandaru Młodych", bystry facet. Wygrepsował od brazylijskiego dziennikarza koszulkę z numerem „dziesięć", a później śledził już tylko mnie.

Pele udziela wkoło wywiadów i podpisuje autografy: dziennikarzom, hostessom, a także ich wnukom, prawnukom, dziadkom, babkom i nie narodzonym jeszcze dzieciom. Ja tymczasem, opierając łokieć o grzbiet białego, nagrzanego monitora (Pele transmituje do Stanów Zjednoczonych za pośrednictwem telewizji meksykańskiej), syczę:

— Wiem, królu, że jesteś bardzo zajęty i że masz tego wszystkiego dość, ale pomyśl sobie: przyjechałem z Polski, i gdybyś zechciał powiedzieć parę słów... nie, nie chodzi o Brazylię, wygrywa i nie przegra, i w ogóle macie w Polsce wielu wielbicieli, a już szczególnie ty, więc wiesz o co chodzi, królu, gdybyś zechciał powiedzieć parę słów na temat polskiej ekipy...

Nie wiem, czy zakodował. Mówi komuś, że Maradona to jeszcze dzieciak. Co do Brazylii, to powinna pokazać w drugiej połowie lepszą grę. Potem nagle odsuwa kremową, proszącą się o autograf, kartkę papieru. Wskazuje mnie ręką i oświadcza:

— Teraz będę rozmawiał z tym Polakiem.

— Cieszę się.

— Słuchaj — mówi — składając jednocześnie autograf na mojej karcie akredytacyjnej — początki mieliście słabe, ale mecz z Peru obudził Polaków i od tego momentu byłem pewien, że narodził się jeden z faworytów.

— Taaak.

— I nie myliłem się. To, co Polacy zrobili z Belgami, było swego rodzaju szokiem nie tylko dla waszych przeciwników. Doskonałe spotkanie. Jedno z najpiękniejszych w dotychczasowym Mundialu.

— Sądzisz, że możemy przejść Rosjan?

— Oczywiście, że tak.

— Spytaj go — podpowiada mi zza pleców Wójcicki (Bóg jeden wie, skąd tu się znalazł), jak ocenia grę piłkarzy Związku Radzieckiego?

— Rozczarowali mnie, podobnie zresztą, jak zespół belgijski. Już nie chodzi o wynik, ale o nudę, która wiała z boiska. Co to ma wspólnego z futbolem? Po takich meczach zawsze jestem smutny.

I w tej samej chwili rzeczywiście robi się smutny. Widzę czarne zakola z zarostu na jego ciemnych, pociągłych policzkach. Musiał porządnie stracić na wadze, ale tym, co dziwi mnie najbardziej, są jego paznokcie. Kompletny brak manicure. Dlaczego wspominam ten szczegół? Ano, bo ręce niektórych polskich piłkarzy wypielęgnowane są z niesłychaną wprost starannością.

Ściskam tę dłoń. Ktoś robi nam zdjęcie. Jednocześnie przebiega mi przez myśl refleksja, że dużo łatwiej i przyjemniej rozmawia się z najwybitniejszym sportowcem świata, niż z niektórymi rodzimymi gwiazdorami. Pele podpisuje koszulkę dziennikarzowi ze „Sztandaru Młodych" i daje autograf Wójcickiemu.

2 Ku zdziwieniu dziennikarzy, po meczu z Polską trener Bieskow przybył na konferencję prasową, i to w dodatku uśmiechnięty. Pofolgował sobie na Błochinie:

— On za dużo gada — powiedział — a za mało gra. Powinien więcej grać i mniej gadać.

Potem przyszedł rozpromieniony Piechniczek. Pada pytanie:

— Przeciwko komu wolałby pan grać w półfinale: Brazylii czy Włochom?

— Brazylii.

— Dlaczego?

— Przeciwko Włochom już graliśmy.

— Boniek otrzymał dwie żółte kartki. Kto go zastąpi, jeśli zostanie odsunięty od gry?

— Aaa, będzie to trzeba jeszcze dokładnie przemyśleć.

Nazajutrz, wraz z Wykrotą i Wójcickim, łapiemy Piechniczka po meczu Brazylii z Włochami. Mówi:

— Jest jeszcze cień szansy, że Boniek zagra.

— A jeśli nie?

— Wówczas mam tylko jedno wyjście: przesunąć Latę do przodu i wystawić Szarmacha, Kustę, albo Pałasza. Cały czas będzie jednak brak szybkiego, odważnego napastnika, zdolnego przedrzeć się bez kompleksów przez włoską obronę.

— Co pan sądzi o dzisiejszym meczu Brazylii?

— W momencie, kiedy wyrównali na 2:2 powiedziałem do Czai: „Jeśli stracą teraz trzecią bramkę, nic już im nie pomoże". No i stracili, nie wyciągając żadnych wniosków z poprzednich błędów. Nie wzmocnili obrony, która była zresztą wyjątkowo dziurawa. Zaczęli się śpieszyć, denerwować, myślę również że wysiedli kondycyjnie.

3 Umilkła samba na barcelońskich ulicach. Kibice w kanarkowych koszulkach pozwijali sztandary. Na trybunach prasowych, tuż po ostatnim gwizdku sędziego, lały się najszczersze, najprawdziwsze łzy. Nazajutrz gazety napisały, że Brazylijczyków zgubiła pycha. Nie wystarczał im remis, chcieli wygrać. Widzieli tylko jedną bramkę, włoską, własną pozostawili opiece bożej. Byli bezwzględnie najlepszym zespołem turnieju, mistrzem notowań giełdowych i komputerów, ich miłośnicy z góry wykupili bilety na madrycki finał. Teraz najchętniej powróciliby do domu. Ale jak tu przerzucić przez ocean 9 tysięcy ludzi w ciągu jednego dnia?

Więc zostali. Tyle, że już nie chodzą po ulicach w sportowym żółtym stroju. Pospuszczali głowy. Kilku z nich, którzy mieszkają w tym samym co my hotelu i którzy po zwycięstwie nad Argentyną zaprosili mnie na kolację, zbliżają się nieśmiało w dzień po klęsce. Mam wrażenie, że zżera ich wstyd. Ogromne, rosłe chłopy. Dwóch ma w sobie krew polskich pradziadów, ale nie znają ich języka.

Mówię:

— Jest mi naprawdę strasznie przykro.

— A jak nam jest przykro.

— Czy to rzeczywiście musi być dla was klęska narodowa?

— Musi.

— Nie można by tego wziąć trochę na rozum?

— Nie, człowieku, płacze cała Brazylia. Sto piętnaście milionów ludzi. Czuję się tak głupio, że najchętniej wlazłbym pod ziemię. Oczekuję jakichś kulawych komplementów, szalbierczej pociechy. Ale sport jest bezlitosny. Na prawdziwą pociechę muszę czekać cztery lata.

— Polska — mówi ten, co mamy wspólnych przodków — wygra z Włochami.

Odpowiadam:

— Może i wygra.

— I oby została mistrzem świata.

— Może zostanie.

— Myślę o tej mojej biednej Polsce. Nie o piłkarzach wcale, bo oni nie są znowu tacy biedni, chociaż... Prawdę mówiąc walczą w pewnej hermetycznej pustce, zamknięci w swoich nyżach, z daleka od rodzin. Nikt nie śpiewa im mazurków i krakowiaków, nie strzelają na ich cześć petardy. Może właśnie w takiej atmosferze rozkwita gdzieś kwiat zwycięstwa?

4 Felcao czy Zico powiedział, że wychodząc na boisko, nie zna nawet własnej matki. Papież pobłogosławił mistrzostwa. Do włoskich piłkarzy przyjechał premier.

Czymże jesteś, zaczarowany futbolu? Niby tylko głupim fetyszem, który opętał świat. Rzucając księży na kolana, wyciskając politykom z oczu łzy, wyrywając pałki z rąk policjantów, uśmierzając głód biednych i chłód bezdomnych, przynosząc pociechę zdesperowanym i strapionym. Czymże jesteś piłko, darem Boga czy dziełem szatana? Skoro popełnia się także przez ciebie samobójstwa, toczy regularne wojny?

Ardiles, sklasyfikowany do tej pory przez „Do Diario Sport", jako najwybitniejszy piłkarz mistrzostw (na drugim miejscu jest Lato, na trzecim Boniek, a potem kolejno: Conti, Girese i Socrates), przechodzi z drużyny angielskiej do francuskiej, jako że w bitwie o Malwiny zginął jego cioteczny brat. Telewizja argentyńska zbojkotowała występujące w Hiszpanii zespoły brytyjskie, nie prowadząc z ich spotkań żadnych transmisji. Organizatorzy robią wszystko, aby oczyścić Mundial z jakichkolwiek akcentów politycznych, ale nie zmienia to faktu, że prasa hiszpańska właśnie teraz ponawia z wyjątkową siłą roszczenia gibraltarskie.

Każdy próbuje podłączyć się do imprezy. Szaleje biznes, handel, loterie i totalizatory. Zbierają swój haracz taksówkarze, hoteiarze i restauratorzy. Do wczesnych godzin porannych noc barcelońska rozbrzmiewa odgłosami detonacji i wrzasków. Trudno spać. Wczoraj było 41 stopni w cieniu.

Gorączka rośnie.

Piłkarze i dziennikarze czterech nie wyeliminowanych dotąd drużyn zaczynają ulegać depresji psychicznej. Stosunkowo najlepiej wygląda Francja, zabłąkana niejako przypadkiem wśród najlepszych. Kto wie, czy nie kropnie Niemców, którzy żrą się między sobą, jak Polacy za kadencji Gmocha. Derwall walczy nieustannie z bandą Hansa Rummenigge, który jest zresztą kontuzjowany i nie wystąpi prawdopodobnie w najbliższym meczu.

Przetrzebieni są również Włosi. Wiadomo, że nie zagra przeciw nam Gentile. Kto wie, co będzie z Tardellim i Collovattim. Jedno jest pewne — w czwartek, o godzinie 17,15 stadion Nou Camp zostanie całkowicie opanowany przez Los Macarrones, których tysiące ciągną już na Barcelonę autami, pociągami i samolotami.

Tu i ówdzie słychać na ulicach:

— Polonia, Campeon!

Boniek ma szansę zostać królem strzelców, a Lato najwybitniejszym piłkarzem mistrzostw. Ten ostatni powiedział zresztą, że za żadne skarby nie wziąłby więcej udziału w podobnej imprezie. Nie czuje się również na siłach grać więcej w reprezentacji Polski. Tu jednak, w Hiszpanii, przysięga, że będzie grał do ostatniej kropli potu.

Nieliczni polscy dziennikarze:

— Mało!

Zawodnicy nie pozbyli się jeszcze urazy, twierdząc, że nie znamy się na piłce. Tak czy owak, najwyższe władze sportu polskiego przyleciały do Hiszpanii, aby przedyskutować na miejscu kwestię premii za wygrany mecz, czego wcześniej nikt w ogóle nie brał pod uwagę. Na to Lato, Żmuda i Dziuba oświadczają:

— Będziemy gryźli trawę.

Odsunięty Boniek mówi red. Wójcickiemu:

— Nie będzie źle, choć czuję, że skończy się na dogrywce i rzutach karnych.

— W tym układzie — twierdzi trener Czaja — Józef Młynarczyk ma szansę zostać bohaterem meczu. Po prostu jest bardziej odporny psychicznie od Zoffa.

Dużo niepokoju budziły żółte kartki Smolarka. Z niektórych protokołów wynikało, że jedna, z innych, że dwie. A Smolarek, zawzięty i bojowy, to wielka nadzieja Piechniczka. Trener nie ukrywa tego w rozmowie z nami, najwyraźniej darząc widzewiaka estymą i zaufaniem.

Podobnie jak u nas, także we włoskiej ekipie trwa konflikt między zawodnikami i prasą, która twierdzi, że ich zespół gra futbol historyczny, defensywny, niezdolny do strzelania bramek. Wydawało się, że po zwycięskim meczu z Argentyną topór wojenny pójdzie w piach, tym bardziej, iż trener Menotti stanął po stronie włoskich piłkarzy.

— Jak wy teraz wyglądacie? — zaatakował dziennikarza z Mediolanu. — Pisaliście, że wasza drużyna nie umie ani grać, ani strzelać, a uporaliście się z nami, mistrzami świata...

Nie przekonało to jednak włoskich reporterów. W kuluarach, jak również na łamach wielu dzienników, twierdzą, że kolejne zwycięstwo Azzuri tym razem nad samą Brazylią, było niezasłużone i przypadkowe. Wynik wynikiem, ale wystarczyło popatrzeć na grę, żeby zrozumieć, kto naprawdę był lepszy.

Podobne stanowisko zajmują zresztą niektórzy włoscy kibice.

No, ale Polska nie jest Brazylią. Przeciwko nam pójdą na bok wszelkie względy grzecznościowe. Kiedy chodzimy po mieście z polskimi emblematami na piersiach, Włosi pokazują nam na palcach „trzy". W nas budzi się przekora i wyciągamy cztery palce. Śmieją się. I my się śmiejemy. Trwa wojna nerwów.

— Jedźcie lepiej do domu — krzyczą.

A Wągrodzki na to:

— Zarezerwujcie sobie lepiej miejsce na pociąg do Alicante.

— Już zarezerwowaliśmy, tyle że nie do Alicante, a do Madrytu.

— W Madrycie, to możecie najwyżej dostać dyplom pocieszenia.

I tak dalej. Szlag mnie trafia, że w chwili, kiedy ten reportaż ukaże się w druku, już będzie po wszystkim. Umilkną fanfary, jakaś ważna osobistość zamknie uroczyście imprezę.

Ale na razie piłka wciąż jeszcze się toczy. Nie wiadomo tylko, w czyim kierunku. Ktoś zapłacze, ktoś zatańczy z radości. Bo taki jest sport.

Odgłosy Mundialu

Tak dziwnie wyglądali sędziowie na I Mistrzostwach Świata w 1930 roku, w Urugwaju. Sędziowanie już wówczas nie stało na najwyższym poziomie. Belgijski sędzia Rego odgwizdał koniec meczu Argentyna — Francja, kiedy Argentyńczycy prowadzili 1:0, ale w... 84 minucie gry. Złośliwi historycy futbolu twierdzą, że stało się to w momencie, kiedy Francuzi mieli szansę na wyrównanie.

Dziś stroje są inne. Ale kłopoty z sędziowaniem pozostały. Nie wszyscy na Espana'82 gwizdali, jak trzeba i nie trzeba. I spodni nie mieli tak modnych jak dawniej.

ZBIGNIEW BONIEK — — to wszystko jest śmiechu warte

Po pierwszych meczach reprezentacji Polski na mistrzostwach świata jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci był Zbigniew Boniek. Oberwało się wprawdzie całej drużynie, nie wyłączając trenera, ale piłkarz Widzewa był w szczególności na cenzurowanym. Co bardziej zapalczywi znawcy futbolu a było ich wielu, odżegnywali go od czci i wiary. Wiadomo, podpisał kontrakt z Juventusem, dostał mnóstwo forsy, przewróciło się chłopakowi w głowie. Po następnych meczach drużyny narodowej wyznawców tej teorii było znacznie mniej, jednak fakt pozostaje faktem. Ta nieprzyjemna atmosfera, jaka przez krótki wprawdzie czas, powstała wokół Zbigniewa Bońka, wynika z zupełnej nieznajomości tego piłkarza. Nie chodzi o kontakty osobiste, ale o obraz jaki można sobie stworzyć patrząc na grę Bońka choćby w meczach ligowych, czy czytając wywiady i komentarze na jego temat. Dlatego też przedstawiam rozmowę, jaką przeprowadziłem ze znakomitym piłkarzem jesienią ubiegłego roku. Podkreślam, było to przed mistrzostwami świata. Jednak myślę, że właśnie obecnie, gdy mamy już medal Espania 82, przedstawienie poglądów Zbigniewa Bońka wyda się bardziej interesujące.

— Czy po mistrzostwach świata zobaczymy pana na naszych boiskach?

— Na pewno. Nie pożegnam się przecież z reprezentacją. Może być taka sytuacja, że wyjadę grać za granicę. Gram już 7—8 lat w polskiej lidze i jeśli władze PZPN wyrażą na to zgodę, to z przyjemnością bym pojechał. W kontrakcie zastrzegę, że chcę na każdy mecz reprezentacji przyjechać 4—5 dni wcześniej.

— Prowadził pan już rozmowy z przedstawicielami zagranicznych klubów?

— Nie, ale jest kilku chętnych, którzy widzieliby mnie w swojej drużynie.

— W której lidze europejskiej chciałby pan grać?

— Dla mnie poszczególne ligi europejskie niewiele się różnią. Są dwie specyficzne ligi: RFN-owska — to najwyższy poziom na świecie, angielska — oparta na ciągłym bieganiu, ustawicznej walce. Inne ligi europejskie zbliżone są do siebie poziomem. Oczywiście chciałbym grać w Europie zachodniej. Nie chciałbym grać we Włoszech czy w Hiszpanii. Najbardziej odpowiada mi Francja i Belgia.

— Pan chce wyjechać po to, by zarobić więcej?

— Nie o to mi chodzi. Wiadomo, że jak pojadę i będę grał to mi będą za to płacić. Ludzie myślą właśnie takimi kategoriami: piłkarz jedzie po to, żeby zarobić. Można zapytać po co jedzie kilku znakomitych tancerzy, którzy produkują się we Francji czy RFN. Jadą po to, żeby się po prostu sprawdzić. Gdy ktoś jest dobrym fachowcem to chce się sprawdzić tam, gdzie dana dziedzina jest na wyższym poziomie. Żeby grać w piłkę nożną to nie trzeba myśleć tylko o pieniądzach. Trzeba to po prostu kochać. Tym się różnią wybitni specjaliści od przeciętnych ludzi. Tak jest we wszystkich dziedzinach. Żeby coś robić dobrze, trzeba być zwariowanym na tym punkcie. Pieniądze w tym wszystkim najmniej mnie interesują. Chciałbym grać dobrze. Oczywiście będą mi za to płacić, ale to nie my piłkarze to wymyśliliśmy.

— Ile pan zarabia obecnie?

— 12 tys. na miesiąc. Tyle wynosi stypendium.

— Oprócz tego również inne dochody?

— Nie. To jest moje jedyne źródło utrzymania. Wszystkie inne dochody to pieniądze za mecze wygrane czy zremisowane, ale tego nie można liczyć, przecież zawsze można przegrać. Np. za wygrany mecz u siebie dostaję 4 tys. zł.

— Czym jest dla pana piłka nożna?

— Poza rodziną wszystkim. Piłce nożnej zawdzięczam wszystko. Zwiedziłem cały świat. Jest mało miejsc na świecie, których nie widziałem. Nie byłem w Australii. Chętnie bym się tam wybrał. Swój rozwój intelektualny zawdzięczam także piłce nożnej. Duża liczba podróży i interesujące spotkania wpływają na rozwój człowieka. Wszystko do czego doszedłem zawdzięczam piłce. Traktuję ją jak swój zawód i dzięki temu wiele mam.

— A jak kariera dobiegnie końca?

— Nic nie trwa wiecznie. Obecnie kończę studia na AWF, będę trenerem II klasy i mgr wychowania fizycznego. Będę pracował z młodzieżą, ewentualnie wezmę się za trenerkę. Chciałbym, nie wiem czy mi się to uda, załapać się w radiu czy telewizji. Chodzi mi też po głowie, gdy patrzę na poziom sędziowania w lidze, sędziowanie. W każdym razie znajdę sobie po zakończeniu kariery miejsce.

— Czy zgodzi się pan ze mną, że polska liga reprezentuje poziom zbliżony do poziomu rozgrywek w Szwajcarii, Grecji?

— Absolutnie się z tym nie zgadzam. Polska liga mogłaby być nie gorsza od najlepszych lig, tylko u nas struktura i organizacja są w epoce kamienia łupanego. Jeśli mecze rozgrywa się o 11 rano to są one mniej widowiskowe. Gdy gra się przy świetle elektrycznym to daje ono złudzenie, że każdy ruch piłkarza jest szybszy, akcje bardziej płynne, a mecz ciekawszy. W każdej naszej drużynie ligowej jest 2—3 zawodników dobrych, reszta to przeciętność. Jeśliby do Widzewa kupić 2—3 piłkarzy, to byłaby to drużyna znakomita. Ale tego nie można zrobić. Zaraz mówi się, że to handel żywym towarem, a przecież np. we Francji, Hiszpanii, Włoszech są 3—4 drużyny, które się liczą i mogą mieć w swoich szeregach wszystkich najlepszych zawodników, bo je na to stać. Takie są prawidła. Wtedy są kluby nadające ton, reprezentujące kraj w pucharach. U nas to wszystko jest postawione do góry nogami. A nasza liga? Wiadomo, na wyjazdach gra się defensywnie, u siebie chce się zdobyć punkty. To jest częściowo wina trenerów. Trenerzy pracujący w polskiej lidze to przeciętni specjaliści. Jest kilku bardzo dobrych fachowców, reszta to średni poziom.

Jeśli my, piłkarze, chcielibyśmy grać adekwatnie do poziomu organizacji w polskiej lidze to powinniśmy prezentować poziom Górnej Wolty czy Kampuczy. To wszystko jest śmiechu warte, płakać się chce.

— A więc wyniki piłkarzy to wielki sukces?

— Od 10 lat reprezentacja jest w czołówce, raz zajęła trzecie miejsce, raz piąte na mistrzostwach, a u nas problemy są ze wszystkim. Występuje krętactwo i matactwo, nie wiadomo o co chodzi. W mętnej wodzie lepiej się ryby łowi, niektórzy działacze z tego korzystają. Jest totalny bałagan.

— Tak jest w wielu dziedzinach.

— Nie można piłki nożnej odrywać od rzeczywistości. Tak jest w całej gospodarce, w każdej dziedzinie. Gdy się polepszy sytuacja w kraju, polepszy się też sytuacja w piłce nożnej. Przecież działacze zajmujący się sportem pracują w zakładach pracy i jeśli tam nauczą się dobrej organizacji to przeniosą ją na grunt sportowy. W tym przede wszystkim widzę szansę.

— Zmieńmy temat. Kto jest według pana najlepszym rozgrywającym w Europie?

— W tej chwili chyba Breitner, ewentualnie Schuster.

— A Platini?

— Platini to zawodnik tylko do ofensywy. Miękki, ale to co robi, robi po profesorsku. Nie uważam jednak, żeby był najlepszy w Europie.

— A pana miejsce wśród tych gwiazd?

— Sam siebie nie lubię oceniać, niech to robią inni, ci którzy uważają się za fachowców.

— Dziękuję bardzo, życzę medalu na mistrzostwach świata. Czy to będzie możliwe?

— Przydałby się medal. Im będzie spokojniej wokół nas i lepsza atmosfera, tym wynik będzie wartościowszy. Oby się nie porobiły różne sztaby, organizacje itd., mające pomieścić tysiąc chętnych działaczy. Im będzie mniejszy rozgłos, tym będziemy mieli większe szanse powalczyć w Hiszpanii.

Rozmawiał: LECH KAŹMIERCZAK

MUNDIAL I JA

Onegdaj, u samego zarania telewizji, pewna znana mi dama o zaawansowanej sklerozie przed każdym prowadzonym przez nieodżałowanego Ryszarda Serafinowicza „Kółkiem i Krzyżykiem" — malowała się ze szczególną starannością. Nie mogła, biedaczka, zrozumieć, że ona pięknego Rysia widzi, natomiast on jej wcale nie.

Nie interesowałam się piłką nożną, nie interesuję, i jak przypuszczam, nigdy się interesować nie będę. W osłupienie wprawiał mnie więc pewien znany mi bliżej i jak na razie, tak przynajmniej sądzę, jeszcze nie zeskleroteczniały kibic-szaleniec, który z wysokości fotela wyrykiwał do pana Piechniczka i jego drużyny najrozmaitsze rady, a gdy ten nie posłuchał, nawet propozycje.

Mecze mundialowe wykorzystywałam na robienie atrakcyjnych zakupów w pobliskim sklepie mięsnym. Moją metodę stosowała również pewna redaktorowa naczelna jednego z łódzkich dzienników.

Jak już wyjawiłam, piłka nożna nie obchodzi mnie zupełnie, jednakże zdaję sobie sprawę, iż moja obojętność jest czymś w tym kraju niezwykle rzadkim. Wiem, że piłka nożna jest narodowym bzikiem, dlatego też było mi przykro, gdy się dowiedziałam o porażce z Włochami. Jesteśmy zakompleksieni, jesteśmy stłamszeni codziennością i olśniewający sukces na pewno by nam się wszystkim przydał.

Owego meczu nie oglądałam, ponieważ w tym właśnie czasie musiałam udzielać konsultacji studentom (jeden, zresztą przemiły rzeczywiście przyszedł!). Wydawało mi się, że będę jedyną błąkającą się po ulicach i środkach lokomocji istotą. Były to złudzenia, niestety. Tramwaj był przepełniony. Matkami-Polkami dźwigającymi w przeźroczystych siatkach olbrzymie ilości wódy i pijakami — młodzieniaszkami. Jednego z nich zresztą trzeba było na przystanku wyciągać niemal spod wagonu, bo podczas jazdy był wypadł. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

A przecież wódka jest dla ludzi i przecież właśnie służy do picia. Na mnie też czekała w domu pięćdziesiątka przydziałowego jarzębiaku, którą to z pewnym kibicem-szaleńcem — wychyliłam, aby osłodzić porażkę.

EKSPERTKA
DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

NA POCIESZENIE

A gdyby Hiszpania została wyeliminowana w pierwszej turze? Nie ma problemu — Saporta przewidział również Mundial kulturalny. Od Aznavoura po „Porgy and Bess", od Placido Domingo po Julio Iglesiasa, od Baletu Kuwejtu po Rolling Stonesów, a do tego jeszcze tenis, rugby i golf. Dla przeciwników piłki nożnej i dla rozczarowanych kibiców — piękna nagroda pocieszenia. Dla Hiszpanii — dodatkowa okazja do pokazania, że demokracja zdecydowanie umie przyjmować gości. A dla samego Saporty — jeszcze jeden sukces.

Po całym Madrycie krążą zresztą pogłoski, że Saporta już przygotowuje nowe imprezy. Mundial koszykówki w 1986 roku. A następnie, apoteoza — Igrzyska Olimpijskie w 1992 roku. Istotnie, Barcelona ma spore szanse na Olimpiadę, trochę dlatego, że będzie to akurat 500-lecie odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba, ale o wiele bardziej z tego powodu, że obecny przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, Juan Antonio Samaranch... jest Katalończykiem!

(„L'Express")

ODSZCZEKUJEMY NASZE POMYŁKI

PIERWSZA: W podpisie pod zdjęciem Michaela Platiniego — „Michael Platini soute", co miało oznaczać „Michael Platini z wody" znawcy języka francuskiego zakwestionowali pisownię słowa „soute" lub zdaniem powinno być „saute". Ale sprawdziliśmy w słowniku francusko-polskim: „saute" — naczy smażony" Platini w żadnym wypadku na zdjęciu nie był smażony a z wody".

Zażądaliśmy wyjaśnienia od kolegów redagujących kolumnę. Upierali się, że jak w „menu" pisze „saute", to podają „z wody".

Wniosek stąd prosty. Nie należy uczyć się francuskiego z kart potraw w podrzędnych knajpach.

DRUGA: Krytyka kolegów z „Głosu Robotniczego" w felietonie Bogdy Madej nie była słuszna. „Głos Robotniczy" okazał się wybitnym indywidualistą i w tabelkach podawał ilość meczy, ilość punktów dodatnich oraz stosunek bramek. Wynika z tego, że to nasza koleżanka nie potrafi zliczyć do iwóch.

REDAKTOR DYŻURNY

Kazimierz Górski

— Pewno będzie się Pan kierował zawodową solidarnością i odmówi skomentowania dwóch pierwszych polskich meczy w Hiszpanii.

— Mam do tego zbyt mało danych. Może były nieporozumienia na linii zawodnicy — trenerzy — działacze. Może zawiodły przygotowania. Nie wiem. Widziałem tylko, jak grali. I uważam, że zawodnicy chcieli grać. Oni są tylko realizatorami koncepcji trenera i poruszają się w takim szyku, jaki im wyznaczono.

— Czy teraz jesteśmy bliżsi tego stylu gry, który nazywano polskim i opisywano w podręcznikach?

— Zobaczymy jak to wypadnie z dobrymi zespołami. Ale chyba jesteśmy bliżsi. Z tym, że ja nie wiem, czy ten styl który mnie się wydawał właściwy, podoba się także Piechniczkowi.

— Oznaczałoby to, że nie jest Pan przekonany o tym, iż sprawa rozpoczęta przeszło osiem lat temu jest kontynuowana i doskonalona.

— A jak mogę być o tym przekonany? W RFN panuje zwyczaj, że trenerzy kadry zmieniają się na zasadzie sztafety. Asystent obejmuje spadek po mistrzu i przedłuża linie działania, a nie szuka oryginalności za wszelką cenę. To naturalne. Gdy przychodzi nowy dyrektor do dobrego przedsiębiorstwa to najpierw myśli o tym, aby nie robić czegoś gorzej, a potem szuka udoskonaleń. Ale na pewno nie burzy budynków fabrycznych i nie wyrzuca maszyn na złom.

— Uważa Pan, że w naszym futbolu nie ma takich nowych, rozsądnych dyrektorów?

— Chyba Pan oglądał transmisje z mistrzostw świata w Argentynie..

— Teraz mamy jednak turniej w Hiszpanii, szkoda, że komentuje go Pan oglądając wszystko z oddali.

— I ja żałuję. Ale mam zasadę, że nie wpycham się tam, gdzie mnie nie chcą. Jestem w przededniu emerytury. Stać mnie na stateczne spojrzenie na wszystkie namiętności życia.

— Prosiłbym o szczegóły.

— Powiedziano mi, że mogę jechać do Hiszpanii, ale pod warunkiem odsunięcia się od polskiej drużyny. Oni swoją drogą, a ja swoją. Wiceprezes Rylski wyraził przypuszczenie że będę źle wpływał na psychikę piłkarzy. Dwudziestu przeszło działaczy wpłynie dobrze a ja źle. Znaczy to więc że przypominam Frankensteina i straszę.

— Widać więc, że futbol to gra pełna pułapek i zasadzek.

— Na boisku powinna to być gra prosta...

Rozmawiał: MACIEJ BIEGA

(„Sportowiec" 29. VI. 82 — Rozmowa odbyła się po meczu Polska — Peru)

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

O machorkowej manufakturze opowieść

Od strony ulicy gmach przy Kopernika 62 prezentuje się wcale okazale; gruby, szary mur, kilka kondygnacji, potężna brama. Ale to tylko fasada, jakby atrapa firmy — tu mieszczą się biura. Właściwy budynek produkcyjny stoi kilkadziesiąt metrów dalej, za kwietnikiem z różami i rachitycznymi drzewkami. Ściany z czerwonej cegły tylko sprawiają wrażenie solidnych. Postawiono je około 100 lat temu w klasyczny łódzki sposób, jak wiele innych włókienniczych kolosów na glinianych nogach — bez podpiwniczenia, na fundamentach na 90 centymetrów głębokich.

— Zupełnie jak na „Ziemi Obiecanej", prawda? — śmieje się towarzyszący mi Stanisław Małoszczyk. — Tylko niech pan uważa, bo czasem z góry lecą cegły, kawałki gzymsów. To od wibracji, od pracy maszyn, których ciężar ledwie już wytrzymują stare, drewniane stropy.

W powietrzu unosi się charakterystyczny mdławo-kwaśny zapach tytoniu. Z tego bowiem niezbyt reprezentacyjnego budynku codziennie ekspediuje się średnio 21 milionów sztuk papierosów różnych gatunków. W lipcu trwa tu planowy remont sieci parowej i na dobrą sprawę zakład powinien stać, bo bez pary nie sposób uruchomić m. in. oddziału przyrządzania tzw. krajanki papierosowej. Ale przy stałym od kilku lat deficycie na rynku — szkoda każdego dnia. Ściąga się więc samochodami parę ton krajanki dziennie z Radomia i na kilku maszynach te 7 milionów sztuk się „utłucze". Ale i tak większość załogi otrzymała urlopy.

Niezrażony spadającymi ponoć cegłami i cienkimi stropami ruszam w głąb budynku za mym przewodnikiem. Pierwsze, co rzuca się w oczy w ciasnych, pokręconych korytarzach i poszczególnych halach to ogromna ilość jakichś odciągów, wzmocnień, słupów, metalowych filarów. Oglądam ściągnięte stalowymi klamrami drewniane belki stropu. Po obu stronach biegnących środkiem kolumn widać wyraźnie, że strop się wygiął; filary jeszcze trzymają, ale ściany boczne siadają coraz bardziej...

Pniemy się na wyższe kondygnacje. Pracuje tylko kilka maszyn, a dziewczyny w fartuchach uwijają się jak w ukropie przy dudniących głucho kolosach. Kurz, męczący hałas i to nieprzyjemne, wyraźnie wyczuwalne wibrowanie podłogi...

DZIŚ TO JUŻ HISTORIA

i nie dowiemy się zapewne czy siedziba Łódzkiej Wytwórni Papierosów miała zostać „przypadkiem" podpalona czy nie. Choć te blisko 100 lat temu właśnie dla takich celów (tj. wysokich odszkodowań) stawiano wręcz ażurowe konstrukcje budynków. Dość, że budynek przy ulicy Kopernika jakoś się ostał, a jeszcze grubo przed wojną produkowano tu rocznie około półtora miliarda sztuk papierosów i trochę tytoniu „Przedni" do gilz oraz cygar. Owczesna Państwowa Fabryka Wyrobów Tytoniowych oferowała pracę raczej specyficzną we włókienniczym mieście, ale pewną, stałą, już wówczas stanowiła dochodowy bardzo interes.

Fabryka była nowoczesna, bez przeszkód funkcjonowała w czasie wojny (niemiecka firma Ruthenberg) i w pierwszych latach powojennych. Przybywało nowych maszyn, ustawiano je coraz gęściej na poszczególnych piętrach, coraz więcej też było wzmacniających całą konstrukcję filarów...

Przełomowy w pewnym sensie dla krajowego przemysłu tytoniowego stał się rok 1955. Zakończono wówczas budowę zakładu w Krakowie-Czyżynach, będącego jeszcze przez wiele lat bodaj największym przedsiębiorstwem tego typu w Europie. Jest to zresztą prawdziwy kolos produkcyjny, z którego maszyn schodzi w ciągu roku około 38 miliardów sztuk papierosów (dla porównania — w Łodzi około 5 miliardów).

Przełomowy rok oznaczał niestety, kres budownictwa kubaturowego dla tegoż przemysłu na długie lata. Tylko jeszcze wówczas nikt jakoś tego nie przewidywał. „Tytoniarze" stanowili prawdziwą dojną krowę, produkcja przynosiła ogromne zyski, a gdy jakichś zadań nie wykonał przemysł spożywczy — nadrabiał z powodzeniem tytoniowy. Tenże wyćwiczył się zresztą doskonale w robieniu planów w myśl jakże ochoczo praktykowanej zasady: artykułu na rynku nie ma — a plan jest. Ale wartościowo zawsze było wszystko w porządku. To zresztą żadna tajemnica — w wielu dziedzinach naszego przemysłu w latach 60-tych i 70-tych tak postępowano.

Dochodziło do coraz większych paradoksów (a może raczej — prawidłowości?). Przemysł tytoniowy był dobry, zyskowny, zawsze można było na niego liczyć, zawsze dawał sobie radę, choć w krajowym współzawodnictwie o finanse i inwestycje siłę przebicia miał niemal żadną. Bo to ani węgiel, ani porty, ani miedź czy choćby branża motoryzacyjna „Oni sobie dadzą radę" — pod tym szyldem interes się kręcił, choć zaczynało być coraz gorzej. Jeszcze rozdzielano jakieś maszyny sprowadzane z Wielkiej Brytanii czy RFN, ale nikt z tzw. decydentów jakoś nie starał się myśleć perspektywicznie, co będzie za lat powiedzmy — dziesięć czy piętnaście. Dzięki wieloletnim doświadczeniom, doskonałej organizacji pracy, która była przez lata wzorem dla innych branż — „tytoniarze" rzeczywiście dawali sobie nieźle radę. Mieli swoje prężne zaplecze techniczne, prdukowali części zamienne, przynosili wciąż duże zyski. Ale to już była jazda rozpędem.

PALILIŚMY ZAWSZE DUŻO

nawet bardzo dużo, roczny wzrost spożycia przez wiele lat sięgał a często i przekraczał mityczne 2 procent. Jako palacze byliśmy rzeczywiście w światowej czołówce. W tym względzie propaganda sukcesu nie kłamała. W 1980 roku, przeliczając na głowę mieszkańca zajmowaliśmy w świecie zaszczytne trzecie miejsce, po palaczach z USA i Kanady. A licząc produkowane i kupowane nagminnie papieroski bez filtra od dawna dzierżymy w świecie palmę pierwszeństwa. W początkach lat 70-tych przekroczyliśmy granicę 80 miliardów sztuk papierosów wyprodukowanych w kraju, w 1976 — na rynek dotarło już blisko 89 miliardów. Handel żądał więcej. Dwa lata później, pracując już na maksymalnych obrotach, przemysł tytoniowy dostarczył prawie 91 miliardów sztuk papierosów, a w 1980 roku, rzecz bez precedensu — 94,5 miliarda!

Jakim cudem? — powie ktoś. Rzekomo bez inwestycji? Toż to niemożliwe. A jednak. Tylko, gdy brakowało nowych budynków, hal — zastawiono maszynami do granic możliwości już istniejące. Gdy i to okazało się niewystarczające — zaczęto przedłużać czas pracy, wprowadzać trzecią zmianę. W łódzkiej wytwórni gdzieś od 1974 roku cały czas produkowano już na trzy zmiany. Ale, jak się okazało, nie były to ostateczne rezerwy. Pozostały jeszcze godziny nadliczbowe. Teoretycznie wydawałoby się raczej niemożliwe do zrealizowania. A praktycznie? Wyśrubowanie tempa pracy, pomijając już sprawę jakości, powodowało przy odczuwalnym upośledzeniu płacowym i dużą fluktuację kadr i różnego typu absencje. Toteż nie zdarzyło się, by wszystkie stanowiska w czasie trzech zmian były obsadzone, zawsze wytwórnia narzekała na brak kilkudziesięciu pracowników. By więc sprostać zadaniom, a innego wyjścia przecież nie było, wielu pracowało po 14 i 16 godzin. I nie było to rzadkością, jeśli dodać, że w 1976 roku, będącym okresem szczytowym dla zakładu (ponad 6 miliardów produkcji rocznej!), ponad 10 procent wyrobów powstało w godzinach nadliczbowych. Reguła też stała się praca na dobrą sprawę przez okrągły tydzień: rozpoczynano działalność w niedzielę, by ją zakończyć w następną niedzielę.

Z maszyn nie można już było więcej wycisnąć. Pracujące nieprzerwanie od 1951 roku czeskie „Skody", każda ważąca ponad 2 tony, ciągle remontowane, produkowały więcej papierosów niż... założył producent. Zamiast 1250 papierosów na minutę, metodą przeróbek i usprawnień ostatecznie „Skody" dawały po 1750 papierosów. Wszyscy czekali tylko, kiedy wzlecą w powietrze. W połowie lat 70-tych zainstalowano nowsze, angielskie automaty firmy „Molins", o wydajności 4200 papierosów na minutę, ale i wadze prawie 6 ton... Stropy drżały, wibrowały pod nogami pracowników, wzrosło zapylenie (na klimatyzację nie było już miejsca w zatłoczonych salach), hałas przekroczył dopuszczalną granicę 90 decybeli. Ale papierosy, paczki, pudła, kartony, tysiące, miliony sztuk schodziły z taśm.

Jeszcze w 1974 roku kierownictwo wytwórni w pismach, monitach i raportach do Zjednoczenia Przemysłu Tytoniowego i wyżej sugerowało pilną konieczność wymiany maszyn, a przede wszystkim budowę nowego zakładu, nowego budynku, co pozwoli zwiększyć produkcję do 10—12 miliardów papierosów. Ale jakoś te przejrzyste sugestie przechodziły bez echa; wszyscy niby przyznawali rację, ale dopóki wszystko jeszcze się kręciło, widać — rozumowali — nie było aż takiego pośpiechu. Przecież plany były realizowane.

Chociaż kłopoty zaczęły się piętrzyć. Topniały zapasy w składnicach, zamówienia handlu były coraz większe i w 1981 roku sięgnęły już ponad 96 miliardów sztuk. I z miesiąca na miesiąc

PAPIEROSÓW ZACZĘŁO BRAKOWAĆ

coraz bardziej. Co było później — pamiętamy, nie tak to znów odległe czasy. Pustki w kioskach, boje o każdą dostawę, spekulacja, horrendalnie wysokie ceny za paczkę na targowiskach. Wkrótce skończyły się też zapałki. Przyszły wolne soboty, spadła wydajność (w branży rolno-spożywczej podwyżki weszły w życie dopiero we wrześniu 1981 r.), łączna produkcja w tym przełomowym roku z trudem przekroczyła 82 miliardy sztuk papierosów. Wtedy dopiero w wielu głowach zrodziła się refleksja: ech, przydałby się teraz nowy zakład przy ulicy Kopernika...

Na żale było jednak za późno — zaczęliśmy papierosy importować. Weszły w życie wstydliwe kartki. Tylko dla pokrycia najbardziej pilnych kartkowych przydziałów niezbędne okazało się zakupienie w tymże roku ponad 7 miliardów sztuk papierosów za ponad 134 miliony złotych dewizowych, w tym — za blisko 7 milionów dolarów USA. W roku bieżącym zamierzamy znów kupić minimum 5 miliardów papierosów, w tym ponad połowę za 9 milionów dolarów. Wliczając w cały skomplikowany rachunek papierosy jugosłowiańskie, które w ubiegłym roku zamówione, w tym — do nas docierają, w dwa lata kupimy na okrągło ponad 12 miliardów sztuk za 26 milionów rubli oraz blisko 23 miliony dolarów. I zmuszeni będziemy jeszcze importować. O tym jak długo — zadecyduje m. in. budowa, do której musi, bo innego wyjścia nie ma, wreszcie dojść: nowy zakład dla łódzkiej wytwórni. I od razu w tym miejscu wytoczmy najcięższy argument: koszt zakupu z importu najnowszych maszyn i urządzeń, stanowiących wyposażenie zakładu (o trzykrotnie większej zdolności produkcyjnej — 15 miliardów sztuk rocznie), wraz z zapasem części na dwa lata nie przekroczy 35 milionów dolarów...

Mamy kartki, przeżyliśmy (jako palacze) ostrą podwyżkę cen papierosów. Czy palimy mniej? W kartkowo-reglamentacyjnym rozgardiaszu trudno jednoznacznie to określić. Na pewno w jakimś sensie odseparowaliśmy od nałogu dzieci i młodzież. Gdy jeszcze nie tak dawno paczkę średniej klasy papierosów można było kupić za „dychę", dla uczniów szkół, nawet podstawowych, nie stanowiło to dużego wydatku. Dziś młodociani palacze mają jednak większe kłopoty ze zdobyciem choćby na próbę jednej paczki. Reglamentacja i zmiana cen odniosła jeszcze inny efekt — zwiększyło się gwałtownie zapotrzebowanie na najtańsze asortymenty. Zmalała ilość palaczy „Piastów", „Caro", „Zefirów", podstawa produkcji każdej z czterech wytwórni to „Klubowe" i „Popularne" (te ostatnie stanowią około 60 procent produkcji w ogóle). Obniżyła się niestety, jakość finalnego wyrobu. I choć surowiec, czyli tytoń w wielu wypadkach jest bez zmian, może z niewielkimi odchyleniami w proporcjach, to dawno już w poszczególnych zakładach zapomniano, kiedy stosowano tzw. kabel acetatowy, sprowadzany ze Szwajcarii i USA na papierosowe filtry. Miały je kiedyś „Carmeny", miały „Zefiry" i łódzkie „Orienty". Od wielu miesięcy stosuje się wyłącznie marszczony czyli „ryflowany" papier. Niby wszystko w porządku — praktykuje się tę metodę w wielu krajach, tylko, że jakość papieru musi być bardzo wysoka i takaż precyzja wykonania samego filtru. Te zaś lubią się często odklejać. Tu decydują kleje, których znaczne ilości musimy importować nadal. Cóż, rodzima guma arabska nie wystarczy, gdy maszyna klei ponad 4 tysiące papierosów na minutę... A czym kleić będą w RFN, gdzie właśnie próby przechodzą specjalistyczne maszyny produkujące około 7 tysięcy papierosów na minutę? Ech, niech się sami martwią.

Klejów zapewne eksportować nie będziemy, ale w przypadku niektórych gatunków tytoniu, o czym zapewne niewielu palaczy wie, czynimy to z dobrym skutkiem, te parę tysięcy ton wysyłając bodaj do RFN i Francji. Właśnie na oddziale przygotowania krajanki natknąłem się na potężne, sprasowane bele tytoniu z dumnymi napisami na etykietach „Puławski", „Dalmatyński", „Skroniowski", a obok — „Wirginia", „Kentucky". Te ostatnie, na bazie oryginalnych, amerykańskich, z powodzeniem uprawiane są u nas w kraju. A musi być ich sporo, bowiem przeciętnie, no, pomijając może „Popularne", w jednym papierosku znajduje się mieszanina 18—20 różnych gatunków tytoniu. Nie było i nie ma też kłopotów — jak mi objaśniono — z tytoniami greckimi, tureckimi, bułgarskimi czy jugosłowiańskimi. W takich dla przykładu „Orientach" ponad 60 procent stanowią tytonie importowane.

Choć po półgodzinnej lekcji wiedziałem już, że aromat daje „Hercegowina" i „Dalmatyński", moc — „Kentucky" i „Mocny Skroniowski" a tzw. wypełniaczem może być polska „Wirginia", ale także „Puławski", a „Burley" jest tytoniem typu gąbka — hałas, kurz i niemiłe wibrowanie podłóg na piętrach skłoniły mnie do opuszczenia gmachu na filarach. Jeszcze tylko młody, sympatyczny młodzian w białym fartuchu wyłuszczył mi w skrócie co to takiego odżyłowanie liści, czyli dlaczego od czasu do czasu można w każdym niemal papierosku znaleźć kawałek „patyka". Teraz już wiem, że to właśnie ów nerw liściany, że urządzeń specjalistycznych do wyciągania tych patyków z liści to my raczej nie mamy, a tego typu operację przeprowadza się wyłącznie w tytoniach eksportowych, aby Francuzowi ów nerw z „Gitanesa" w zęby nie wszedł.

Teraz już z reklamowym „Orientem" w garści zasiadam w gabinetach, by wysłuchać, jaka to też ma być

Foto: M. Zajdler

TA NOWA ŁÓDZKA WYTWÓRNIA

o której wszyscy moi rozmówcy mówią z błyskiem w oku i widoczną nadzieją, że się jednak uda, że musi się udać i wreszcie tej używki będzie w bród. Faktem jest, że w latach pozornej hossy kierownictwo łódzkiego zakładu nie zasypiało gruszek w popiele. Zerkali jednak bardziej perspektywicznie w lata osiemdziesiąte, będąc doskonałymi specjalistami wyczuwali, ba, byli pewni, że jedyną alternatywą dla dolarowego importu jest generalna przebudowa ich „manufaktury". Podjęli więc w latach minionych, niezależnie od monitów, czyli rzucania grochem o ścianę, pewne działania. Jak sami przyznają, kosztowało to coś tam około 240 tysięcy, ale dziś się opłaci, bo gdy wreszcie podjęta zostanie najważniejsza decyzja — będą już „do przodu". I to sporo, bowiem po dokonaniu szeregu uzgodnień z władzami miasta, popierającymi od dawna sam zamysł, ustalono, że najlepsza byłaby półhektarowa, „niczyja" działka na zapleczu wytwórni od strony południowej (z widokiem na al. Mickiewicza). Sprawy strefy ochronnej, warunków zasilania w wodę, energię elektryczną, cieplną itp. — są już uzgodnione. Co więcej, przyszły inwestor posiada już opinię lokalizacyjną oraz 3-wariantowe studium lokalizacyjne opracowane przez Krakowskie Biuro Projektowo-Badawcze Budownictwa Przemysłowego. Gdyby decyzja najważniejsza zapadła w najbliższych tygodniach, to rozpoczynając inwestycję w 1984 roku, nowa wytwórnia miałaby szansę ruszyć najdalej trzy lata później. Koszt — niebagatelny: około 5,5 miliarda złotych, w tym 35 milionów dolarów USA, przeznaczonych wyłącznie na specjalistyczne maszyny, prawdopodobnie zachodnioniemieckiej firmy „Hauni-Werke". A finansowanie? Wszyscy zainteresowani są zdania, że niezbędne jest jednak naruszenie budżetu centralnego, bowiem inne formy, jak choćby ulgi w podatku dochodowym czy obrotowym są wszak praktycznie przelewaniem do tego samego garnka.

Jakiż ma być ten — miejmy nadzieję — jeden z najnowocześniejszych zakładów branży tytoniowej w Europie? W telegraficznym skrócie: jednokondygnacyjny (choć część będzie sięgać trzech kondygnacji), podpiwniczony (!), o kubaturze 130 tys. metrów sześc. i powierzchni 11,5 tys. metrów kw. Co ważne — w czasie budowy (36 miesięcy) działalność produkcyjna prowadzona ma być w istniejących obiektach, które później przeznaczy się na magazyny. A te będą bardzo potrzebne, jeśli produkcja ma trzykrotnie wzrosnąć. Podobny zakład wspomniana specjalistyczna firma z RFN wybudowała i wyposażyła w Bułgarii, w Błagojegradzie. Pomijając jednak kubatury i ilości produkowanych tu papierosów, chyba najważniejsze, że diametralnie zmienią się warunki pracy. Zaplecze socjalne z prawdziwego zdarzenia, minimalne zapylenie, obniżony o 5—6 decybeli hałas (niewiele niby, ale 50 decybeli to już cisza dzwoniąca w uszach).

Praca ręczna zostanie wyeliminowana do minimum, tak w bezpośredniej produkcji, jak i na oddziale przygotowawczym czy pakowalni. A jakie będą te słynne niemieckie maszyny do produkcji samych papierosów i filtrów doń?

— Bez szaleństw, niech Niemcy eksperymentują z tą nowością na 7 tysięcy sztuk w minutę. My chcielibyśmy te wypróbowane „Molinsy", (a te dwa, które posiadamy — też zatrudnimy) oraz na przykład automaty do filtrów firmy Hauni typ KDF — wyłuszcza mi inż. Stanisław Małoszczyk — główny mechanik wytwórni. Wie pan, „Molins" jest bardzo tolerancyjny jeśli chodzi o nasze surowce. Z tym, że tych maszyn chcielibyśmy ustawić w nowym zakładzie około 30, czyli dwa razy tyle co dziś, no i nie będzie już tych powolnych „Skód".

— Nie oszukujmy się jednak i nie przymykajmy oczu na rzeczy ewidentne: nasz nowy zakład sam nie pokryje deficytu papierosowego, który w bieżącym roku sięga około 20 miliardów sztuk — rzeczowo reasumuje dyrektor naczelny ŁWP — inż. Roman Maj. I naszym zdaniem, co wielokrotnie podkreślaliśmy, niezbędna jest generalna modernizacja jeszcze dwóch wytwórni — na przykład w Poznaniu i w Augustowie (wytwórnia tytoniu przemysłowego). Gdyby się to udało osiągnąć w ciągu najbliższych 10 lat, to biorąc pod uwagę podobny wzrost produkcji u kolegów, zamiast w sumie 12—13 miliardów sztuk papierosów rzucalibyśmy na rynek ponad 45 miliardów. A to by nas całkowicie i definitywnie uniezależniło od nieszczęsnego importu tej używki.

— I niech pan wyraźnie napisze — dodaje dyrektor — na dzień dzisiejszy i całe półrocze następne nie mamy żadnych kłopotów ani z surowcem, ani z papierem czy klejami, również importowanymi. I sądzę, że uda nam się jeszcze w naszym przestarzałym zakładzie te zaplanowane 4 miliardy 800 milionów sztuk w tym roku wyprodukować. No, może „setkę" więcej. Ale myślami już jesteśmy w nowym obiekcie, który jest przecież jedynym wyjściem „z twarzą" z tytoniowego impasu. Zakładu jeszcze nie ma, ale już myślimy o praktycznych drobiazgach, które nam później ułatwią życie. Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że planujemy zamiast w kartony pakować duże paki papierosów w folię jednorazowego użytku, jak to czyni choćby „Pollena". Ale do tych tematów będzie jeszcze okazja powrócić. Trzymamy kciuki za tych, którzy mają podjąć w naszej sprawie ostateczną decyzję. A póki co postawimy jeszcze na produkcji parę kolejnych filarków...

■

1 Zdarzenia i zwierzenia

Szach po polsku

Przedtem był głośny „Cesarz" — o dyktatorze i jego upadku w Abisynii — teraz jest „Szachinszach" — o tym samym w Iranie. Ryszard Kapuściński ze szczególną pasją i upodobaniem tropi dewiacje i wynaturzenia władzy — a potem moment, kiedy to wszystko pęka...

Zgłaszano czasem do Kapuścińskiego pretensje, że umykając na inne kontynenty — umyka od polskiej problematyki. Były to pretensje raczej złośliwe, bowiem nawet ci, co je zgłaszali wiedzieli dobrze, że Kapuściński pisząc o Abisynii pisze także o Polsce. Oczywiście ubierając problem w egzotyczny kostium zyskiwał większą swobodę. Powiedzmy zresztą dosadniej: ten kostium go ubezpieczał.

Jakby jednak nie było, Kapuściński bronił się zawsze wysoką rangą swojego pisarstwa. To są naprawdę wybitne teksty. Więc tym bardziej żal — ogromny żal — że wędrując po świecie wszędzie tam, gdzie coś się działo — nie wziął Kapuściński delegacji do Polski lat 1980—1981. Nie wziął takiej delegacji i na przykład z Gdańska w lecie 1980 roku mamy tylko reporterski zapis Giełżyńskiego i Stefańskiego — a nie mamy książki Kapuścińskiego...

Chociaż końcowe partie „Szachinszacha" pisane bodaj w połowie 1981 roku są bardzo polskie — to przecież kostium jest perski, realia perskie... I tylko czasem poraża czytelnika taki obraz działania nowej władzy w Iranie:

„Usiadłem w siedzibie jednego z komitetów i obserwowałem, jak wygląda załatwienie jakiejś najprostszej sprawy. (...) Po chwili weszła kobieta, żeby prosić o zaświadczenie. Ten, który miał ją przyjąć, akurat brał udział w dyskusji. Kobieta czekała. Wreszcie ów człowiek przyszedł i zaczęła się rozmowa. Kobieta mówiła, on pytał, kobieta pytała, on mówił. Targ targiem doszli do porozumienia. Zaczęło się szukanie kawałka papieru. Człowiek zniknął — pewnie poszedł szukać papieru, choć równie dobrze mógł wyjść do baru naprzeciwko, aby się napić herbaty. Kobieta czekała w milczeniu. Człowiek wrócił (...) teraz zaczęła się część najbardziej dramatyczna — szukanie ołówka. (...) Pożyczyłem mu pióro. Siadł do pisania. Kiedy zaczął pisać, uświadomił sobie, że nie bardzo wie co ma zaświadczyć. (...) Wreszcie dokument był gotów. Teraz musiał go podpisać ktoś wyższy. Ale wyższego nie było. Wyższy dyskutował w innym komitecie, nie dało się z nim porozumieć, bo telefon nie odpowiadał. Czekać. Kobieta znów zamieniła się w kamień".

Zdumiewające. Nie byłem w Iranie, ale też widziałem tę scenę. Nie raz. Także latem 1981 roku. Do oblepionego plakatami pokoju weszła kobieta... Dalej wszystko — dosłownie wszystko — jak u Kapuścińskiego. Tylko problem ołówka zastąpił problem uruchomienia elektrycznej maszyny do pisania, szwedzkiej produkcji, której nikt nie potrafił obsługiwać.

Ryszard Kapuściński tak komentuje scenę z irańskiego przewrotu: „Potem ten człowiek nauczy się pisać zaświadczenia i będzie umieć wiele innych rzeczy. Ale po kilku latach nastąpi przewrót, człowiek, którego już znamy — odejdzie, na jego miejsce przyjdzie inny, zacznie szukać papieru i ołówka. Ta sama albo inna kobieta będzie czekać zamieniona w kamień. Wyższy będzie zajęty dyskusją. Wszyscy oni, tak jak ich poprzednicy, zaczną znowu poruszać się w zaklętym kręgu bezradności..."

Ryszard Kapuściński w ten prosty sposób wypowiedział dotkliwą prawdę o mechanizmach władzy i niewzruszonych — jak prawa fizyki — prawidłach polityki. Zresztą cały ostatni rozdział książki poświęcony jest tym rozważaniom. Mówi o istniejących strukturach i powstających ruchach, o tłumie redukującym osobowość jednostki, o buncie, który działa jak narkotyk, o nieuchronnej walce w szeregach nowego ruchu, gdzie twarda linia bierze górę nad linią światłą i otwartą, o burzeniu jednych pomników i stawianiu na ich miejsce własnych... O tym wszystkim, co znamy tak dobrze, choć nie widzieliśmy przewrotów w Boliwii, Mozambiku, Sudanie, Beninie, Abisynii czy Iranie...

Wszędzie tam był Ryszard Kapuściński. Z tamtych egzotycznych stron czerpał realia i refleksje do swoich mądrych, gorzkich książek. Oczywiście szkoda, że się nie wybrał do Polski, ale przecież ta Polska dopadła jednak polskiego reportera — dopadła go wreszcie na opustoszałych ulicach Teheranu, z którego znikały już ślady wczorajszych przeżyć.

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Spojrzenie znad szachownicy

Gdy wrócę zostanę wampirem

Niemal dosłownie wykopany na urlop, faulowany przez zawodników własnej drużyny (gdzie jest sędzia?! i czy w ogóle jest sędzia w „Odgłosach" bądź nad „Odgłosami"?!) pozbawiony miana prawdziwego eksperta, piszę ten tekst ciężko rozgoryczony, z jedną nogą już w samochodzie. Na złość wam wszystkim odmrożę sobie uszy, a jeszcze lepiej — umrę, lecz nie tak zupełnie, bo wrócę, a wróciwszy zostanę wampirem.

1.

Jako wampir współczesny, w dobie reglamentacji, pauperyzacji i biurokracji, zacznę od tego, że rozszerzę sobie menu. Czerninę, owszem, lubię, jednak na bazie kaczki, nie zaś na bazie jednego z drugim urzędnika, któremu zresztą w żyłach płynie przeważnie tusz do stempelków i atrament.

Roztropnym mężom z GIGE, którzy wymyślili całkiem nowe zasady reglamentacji benzyny (polegające zwłaszcza na zapisywaniu oszałamiającej ilości papierków, będą tu bowiem podania, odmowy na podania, podania zatwierdzone, zezwolenia na podstawie zatwierdzonych podań wystawione, odwołania od odmów, odmowy wobec odwołań, no i tak dalej — cała rozkosz); otóż owym roztropnym mężom krwi wypijać nie będę, jeno benzynę z ich własnych osobistych samochodów, nie z potrzeby, ale ot tak, dla hecy.

Jest to o tyle zasadne, że w długiej liście osób uprzywilejowanych w reglamentacji — od luminarzy do prywaciarzy, któż śmiałby dzisiaj prywaciarzy nie dopieszczać — zabrakło oczywiście dziennikarzy. I słusznie: jeżeli jeden z drugim to tam, to tu, wtykając nos gdzie nie potrzeba. Chodząc na piechotę też niby może wtykać, ale zawsze jest nadzieja, że się zasapie i przestanie. I będzie z nami, to jest z nami, spokój.

Ostatnia teraz nadzieja w Urzędzie Miasta Łodzi, czy — powiem po nazwisku — w prezydencie Józefie Niewiadomskim, który jeżeli zechce może zastosować tak zwaną interpretację rozszerzającą. Z prezydentem prasa żyła zawsze dobrze — i nie dlatego, iżby się ktoś kogoś bał, ale z wzajemnego szacunku — miejmy przeto nadzieję, że i teraz dobrze się skończy. O tym jednak dowiem się pośmiertnie z „Expressu" najpewniej, bo wątpię czy „Odgłosy" docierają w niebiosy, skoro i na ziemi mało gdzie mogą dotrzeć.

2.

I tu następuje parę zdań serio w tym pełnym pogodnych wygłupów felietonie, a dlatego wygłupów, że jeżeli nie będziemy się śmiać, pozostaje tylko siąść i płakać. Owe zdania serio pozwolę sobie wyróżnić kursywą, czcionką nieco pochyloną, iżby się nikt przypadkiem nie pomylił.

Otóż: *szeroko pojętej władzy, administracji państwowej powiedzmy, wcale nie trzeba kochać, wystarczy, jeżeli się ją szanuje. Podobnie z dziennikarzami — obejdziemy się bez kwiatów i wiwatów, niezbędne jest nam wszelako poczucie, że jesteśmy społecznie potrzebni. Potrzebni choćby jako pośrednicy w wymianie myśli i opinii, jako — użyję modnego terminu — swoisty system wczesnego ostrzegania przed rozmaitymi zagrożeniami i wypaczeniami.*

Gdyby za czasów Gierka i Łukaszewicza pisano otwarcie choćby o tym tylko, co członkowie partii sygnalizowali na zebraniach przed VIII Zjazdem, nie wpadlibyśmy tak głęboko w otchłań kryzysu i nie stałoby się to, co się stało. Niestety wciąż i wciąż nam odradzano — to dziwne, ale istotnie częściej odradzano, a w ostateczności dopiero zakazywano — twierdząc, iż te właśnie sygnały pójdą „wewnętrznym kanałem". No i szły — na dno najgłębszej szuflady.

Otóż ten stan rzeczy powtórzyć się nie może, koledzy z „wewnętrznej emigracji" pewno nie uwierzą, ale dziś — mimo wszystkich rygorów stanu wojennego — można napisać niepomiernie więcej, niż przed sierpniem; więcej i odważniej, byle mądrze. Klimat mamy dobry, mamy pełne zrozumienie u najwyższych władz partyjnych i państwowych, cóż, kiedy do najwyższych władz z byle sprawą latać się nie godzi, zaś między tymi władzami, a nami stoi jeszcze Najjaśniejsza Biurokracja.

3.

I dlatego postanowiłem zostać wampirem. Będę PT Biurokratom wysysał benzynę z ich ukochanych samochodzików, będę wypijał tusz prosto z poduszeczek do stempelków, będę wychleptywał śmietankę, którą sobie zamelinowali po lodówkach, a nawet wódzię prosto z kredensu. Ostatnio prawie nie pijałem, miewałem bowiem potem paskudnego kaca, ale przemogę się, w sobie zbiorę i wszystko wychlam.

Za życia byłem łagodny, ale po śmierci mnie popamiętacie. I z tym mocnym postanowieniem opuszczam Was na wieki.

P.S.: Uważając ten felieton za szczególnie pilny, swoją ostatnią wolą przesuwam zapowiadany już tekścik „O głębokiej słuszności bijania kobiet" na tydzień następny. Zalecam też wydanie go w Dziełach Wybranych (na Zebrane chyba sobie nie zasłużyłem) jako utwór pośmiertny.

JERZY P. ■

OD REDAKCJI

Ekspert szachowy i piłkarski, Jerzy P. tym razem dał się ponieść nerwom, choć to człowiek wyjątkowo łagodny i miłujący bliźnich.

Jak się okazało uniósł się niepotrzebnie — prezydent m. Łodzi przydzielił dziennikarzom dodatkowe racje benzyny!

Zawiadomiliśmy Jerzego P. telegraficznie. Obiecał, że nie zostanie wampirem!

3 Nagłe zastępstwo

Sposób na nygusów?

W poprzednim tygodniu niektórzy stali czytelnicy naszego tygodnika rzucili się na tekst pt. „UFO nad Italią" zamieszczony na stronie 15, tradycyjnie poświęconej felietonom. Nie był to jednak felieton Bogdy Madej, oceniającej szanse drużyny włoskiej na Mundialu (numer ukazał się w przeddzień meczu Polska Włochy!) tylko tekst zastępczy, bowiem felietonów nam w redakcji zabrakło — stałych felietonistów odciągnął od twórczej pracy Mundial albo urlop. Wyjątkiem pozostał Jerzy P., który swoje „spojrzenia znad szachownicy" przysyła pocztą z jakichś tam kniei, oczeretów czy innych chaszczów.

W tej sytuacji wezwał mnie przed swój majestat sam Redaktor Naczelny i stwierdził że wprawdzie jego zdaniem jestem ostatnim człowiekiem, któremu można powierzyć pisanie tekstów inteligentnych i dowcipnych, ale brzytwy się chwyta i powierza mi felietonowe zastępstwo. Jedną zaletę mam — według Red-Nacza — niewątpliwą: Absolutnie nie znam się na piłce i to gwarantuje, że o futbolu nie napiszę ani słowa i nie rozszerzę kręgu redakcyjnych ekspertów, pseudoekspertów, ekspertów samozwańczych i nie wezmę udziału w ich jałowych sporach.

Aby pozostać w kręgu tematycznym możliwie odległym od mundialowego szaleństwa poświęcę swój krótki tekst sprawie poważnej, mianowicie dyskusji nad sejmową ustawą o pasożytnictwie społecznym. Sprawa wróciła jak bumerang sprzed lat kilku, kiedy to dyskusję taką zainicjowano. Rzecz rozbija się o twarde stanowisko przeciwników ustawy, którzy zarzucają z góry wszelkim możliwym projektom odstępstwo od konstytucji i niezgodność ewentualnej ustawy z międzynarodowymi konwencjami podpisanymi przez Polskę. Orędownicy ustawy wskazują na społeczne oburzenie: — W kraju udręczonym kryzysem jest kilkadziesiąt tysięcy ludzi w kwiecie wieku, zdrowych i poniekąd wesołych, którzy nie pracują i nie uczą się. Piją, kradną, spekulują i Bóg wie co wyprawiają. My, społeczeństwo, na nich pracujemy!

Spójrzmy na sprawę bez zbędnych emocji. Za kradzież, spekulację, chuligaństwo należy karać zgodnie z odpowiednim przepisem kodeksu karnego. Alkoholików trzeba leczyć. Natomiast zagonienie pod przymusem do roboty wszystkich obiboków jest organizacyjnie trudne i przyniesie wątpliwe korzyści. Mamy w kraju kolejne kilkadziesiąt tysięcy takich, co to wprawdzie „są na etacie" ale także nie robią nic albo prawie nic. W głośnych ostatnio aferach spekulacyjnych występowali w głównych rolach ludzie zatrudnieni, a jakże, przeważnie w handlu. Złodziei też można znaleźć wśród zatrudnionych.

Ostatnie miesiące dowodnie i realnie przekonują o braku społecznego i gospodarczego sensu przymusowego zatrudnienia: Przecież przepisy stanu wojennego pozwalają na przymus pracy i jakoś władza nie kwapi się wcale, żeby wziąć obiboków na etaty, dać im kartki, pobory, rekompensaty i mieć kłopot.

Staję zatem po stronie przeciwników ustawy nie z powodów humanitarnych, nie z powodu konwencji i Konstytucji. Myślę, że w krańcowym przypadku można nawet zmienić Konstytucję. Natomiast twierdzę, że przymus pracy zwyczajnie nam się nie opłaca. Przecież reforma gospodarcza może z rynku pracy wyeliminować kiepskich pracowników. Po co? Po to, żeby na ich miejsce przyjąć jeszcze gorszych z „łapanki"?

Niedawno jeszcze z zatroskaniem mówiło się o groźbie bezrobocia. Czyżby ta groźba zniknęła? Jeśli wisi nadal nad nami, to wprowadzenie teraz przymusu pracy może spowodować, że wykonanie prawa będzie niemożliwe.

Wróćmy do początku tego felietonu. Jeśli redaktor naczelny nie wyegzekwuje od rozleniwionych felietonistów cotygodniowej porcji, to być może redakcja nasza stanie wobec konieczności wejścia w spółkę z kapitałem polonijnym albo w konszachty z ajentem. Takie plotki mnie doszły, okaże się wkrótce, czy prawdziwe...

W zastępstwie: ANDRZEJ KAROL ■

4

Boniek a sprawa polska

Mundialowa koniunktura jeszcze trwa więc i ja powinienem z niej skorzystać póki czas. Daję tytuł z Bońkiem, rozpychając się — „na granicy faulu" — w walce o czytelnika, rozbestwionego przecież przez hiszpańskie sensacje Andrzeja Makowieckiego (zanim wróci, będzie po rozgrywkach!) Wprawdzie dopiero za kilka godzin białoczerwoni w temperaturze chlebowego pieca będą sięgać po finał w meczu z Włochami (Tu, idąc w ślady nestora naszych trenerów mógłbym prognozować: „Moim zdaniem... wygra ta drużyna... która strzeli więcej.. jak ja to nazywam.. bramek"), ale dziś, 8 lipca, kiedy piszę ten tekst, chcę mówić nie o piłkarzach, a o dziennikarzach.

Mistrzostwa w piłce nożnej miały być dla nich żniwem, na które ostrzyli kosy już od miesięcy; wielką corridą i superboiskiem dla publicystycznych harców i dziennikarskich wzlotów. Trzeba przyznać, iż początkowo pompowano ten balon entuzjazmu powoli i jakby wstydliwie. Tuż przed początkiem mistrzostw nasilono dęcie i balon rósł w tempie zgoła niebezpiecznym. Jedynie „Tygodnik Powszechny", rozprawiając o zwykłych dla siebie problemach, wytknął w krótkiej notatce rozbuchane zamierzenia telewizji, która — prawda — Mundialem chce nas odciągnąć od rozpamiętywania istotnych problemów. Inne gazety, nie oglądając się na nic, prześcigały się w ilości kolorowych rozkładówek, dodatków specjalnych i okładek z Bońkiem. Tuż po losowaniu grup, wróżąc z fusów przecież, bo nie z rzeczywistego, i co ważniejsze, aktualnego rozeznania, rozdysponowano medale, wskazano faworytów i outsiderów. I balon poleciał a wraz z nim gromadka speców od futbolu. Dzięki Makowieckiemu — sam to przecież napisał — jakoś dotarli do monitorów i dalekopisów, do telefonów i mikrofonów. „Nasi" rozegrali pierwszy mecz z Włochami, Remis. Balon zaczął syczeć. Zaklejono dziurę natychmiast. Odczytano z notatników listę przeszłych sukcesów teamu Bearzota, wspomniano o „słynnym" catenaccio. Jest dobrze, remis to nie porażka. Gdyby jednak balon w dalszym ciągu był nieszczelny, niektórzy przygotowywali sobie linię obrony: „czy ten Boniek nie grał zbyt pojednawczo: No przecież Juventus... rozumiemy się?".

Kolejny mecz. Z „jakimś" Kamerunem! I remis: Z bambusami!! Balon pękł. Dziennikarzom zaczęły drżeć ręce i głosy. Niemal przeoczyli przegraną Niemców z Algierią, remis Hiszpanów z Hondurasem i parę innych „sensacji". Ten nasz remis potraktowano jak klęskę: wzięły w łeb przedmundialowe typy i rachuby. Wbrew faktom na boisku odsądzono od czci i wiary najpierw tego, który zdobił wszystkie okładki. Choć najpierw kreowano go — nie bez oporów, ale orły muszą mieć gwiazdę — na lidera drużyny, teraz odesłano do głębokiej rezerwy. A ponieważ Boniek nie należy do tych, którzy klepanie po ramieniu odbierają jako szaloną uprzejmość, którzy jąkając się patrzą litościwie w oczy panu redaktorowi: „pan to napisze lepiej, co chcę powiedzieć", właśnie on w pierwszym rzędzie nadawał się na winowajcę. A są i inne rachunki do wyrównania. Dzisiaj milczy się o próbach wpisywania się w „dzieło odnowy" paru dziennikarzy, którzy z nienotowaną nigdy „odwagą", doprowadzili do tzw. „afery z Okęcia", którzy „ustawiali" reprezentację na Mundial (jeden z pupilów dotąd, jak sądzę, poszukuje chleba w RFN), kreowali faworytów i kandydatów na mistrzów.

A piłkarz, proszę państwa, to groszorób o inteligencji poniżej średniej (pamiętam jak wszystkie gazety sportowe obśmiewały się z Terleckiego, bo ten odważył się powiedzieć jakiemuś dziennikarzowi, że czyta właśnie „Ulissesa"), własność nas wszystkich, bez prawa na ludzkie odruchy i emocje, jednym słowem chłopiec do wygrywania meczów za wszelką cenę (dwukrotnie w relacjach z Hiszpanii usłyszałem, że „cel uświęca środki", a nad pustym stadionem ŁKS podczas meczu ze „Zbrojovką" rozlegał się głos, znany z telewizyjnego „Studia Espania 82": „Idź na szesnastkę, idź na faul!!")

Rzeczywiście presja sukcesu jest wielka. Nie znaczy to jednak, aby tracić poczucie realiów. Łatwo jest kierować emocjami kibiców, ci jednak obiektywniej oceniali szanse i możliwości polskiej drużyny, nawet teraz po zakwalifikowaniu się do półfinałów.

Po meczach z Peru i Belgami, po efektownych zwycięstwach, a także po remisie z drużyną Związku Radzieckiego dziennikarze ochłonęli. Balon jest już niepotrzebny. Liczą się fakty. Zapomnijmy o plotkach. Makowiecki napisze książkę. A my nagle zostaniemy przed telewizorami z prozą dnia, z myślami o wczasach, na które nas nie stać i wciąż tym samym programem publicystycznym.

Miesiąc futbolowego igrzyska przeniósł akcent ze sprawy polskiej na Bońka, choć w dzisiejszym świecie nie dzieje się nic co by nie miało swoich kontekstów politycznych. I choć dla wielu może się to wydać mało poważne, trzeba powiedzieć, że udane w rezultacie uczestnictwo polskiej drużyny w tegorocznych mistrzostwach świata wprowadziło w obraz Polski roku 1982, obraz jaki jest odbierany na wszystkich kontynentach, tony bardziej impresjonistyczne, pastelowe i umiarkowane. I te pozytywy miałem na myśli tytułując swój tekst „Boniek a sprawa polska".

GRZEGORZ GAZDA ■

Kryptonim P—II

EUGENIUSZ IWANICKI

O ich winie rozstrzygnie sąd. Sąd dokona także podziału kar: nikt nie zostanie pominięty, każdy otrzyma według „zasług". A „zasługi" to niemałe, szczególnie w obecnych, tak trudnych gospodarczo, czasach. W sytuacji kryzysowej jako prawidłowość wzrasta znaczenie „czarnego rynku". Brak towarów lub ich chwilowy niedobór jest szansą do nadużyć. U nas ratowano się wprowadzeniem kartek na podstawowe artykuły spożywcze. Była to konieczność, ale stworzyła ona wyjątkową sytuację dla spekulacji. Kraj utonął w lawinie wycinanych kuponów, wśród których znajdowało się, i nadal się znajduje, sporo falsyfikatów. Dla niewprawnego oka wszystkie kartki są sobie równe i nikomu nie przyjdzie do głowy, aby poddawać w wątpliwość ich autentyczność.

Od paru miesięcy w Łodzi pojawiały się kupony na alkohol z kart zaopatrzenia P-II, co do których organa ścigania nabrały uzasadnionego podejrzenia, że są fałszywe. Niestety, nie udawało się trafić na ślad tego, kto te kartki rozprowadza, ani kto je produkuje. Aż w końcu ujęto Cygana kursującego pomiędzy Warszawą a Łodzią. W mieszkaniu **Zenona B.**, zajmującego lokal przy ul. PKWN, zakwestionowano 458 sztuk kart i dwie pieczątki, którymi te karty były stemplowane przed ich wprowadzeniem w obieg. Na miejscu zatrzymano, oprócz gospodarza, także **Jana M.**, **Bogusława Z.**, braci **Zbigniewa** i **Lucjana S.** Zatrzymani przyznali się, że karty otrzymywali z Warszawy, a dostarczał je Cygan, **Bogusław Z.** Trwało to od połowy kwietnia do czerwca br. i w tym czasie przez mieszkanie przy ul. PKWN „przepłynęło" 8 tys. blankietów, za które Zenon B. płacił każdorazowo po 450 zł za sztukę.

Cygan przyznał się, że kontakt otrzymał od niejakiego Hieronima C. i Sobiesława M. Brał od nich karty zaopatrzenia, płacił od 300 do 350 zł za sztukę i woził do Łodzi.

Oczywiście, ujęcie pozostałych sprawców nie przedstawiało trudności. Okazali się nimi w większości młodzi ludzie, mieszkańcy Warszawy.

Na pomysł, który miał być genialny, a okazał się zgubny, wpadł **Jan D.**, lat 27, pracownik Zespołu Szkół Poligraficznych w Warszawie. Rozumował dość logicznie: skoro w sklepie nikt kartkom się nie przygląda, a po wycięciu wrzucane są do słoików, to przecież można zmęczonej sprzedawczyni podstawić jako tako podrobiony kawałek papieru, by otrzymać butelkę alkoholu. Nie, inne artykuły nie wchodziły w rachubę. Na kaszy, cukrze interesów się nie zrobi. Tylko alkohol! No tak, ale sam nie da rady: skoro się chce rozwinąć interes na większą skalę, fałszowane kartki muszą być identyczne z aktualnie obowiązującymi, tym bardziej, że co miesiąc zmianie ulega ich kolor. Zwrócił się więc do swojego znajomego, **Witolda N.** (rocznik 1949), zatrudnionego w Warszawskiej Drukarni Akcydensowej, prosząc o pomoc. Było to w lutym br. i Jan D. wręczył Witoldowi N. swoją kartę P-II, prosząc o sfotografowanie giloszu (drobna faktura pokrywająca obramowanie kartki, na której tłoczone są kupony), a także tekstu oraz wykonanie 18 diapozytywów, za co wręczył mu 10.000 zł.

I tak już było co miesiąc, choć zdarzało się, że Witold N. miał kłopoty z giloszem: ze względu na kolor musiał kartkę powiększać dwukrotnie oraz robić trzy negatywy. Ostatnią kartkę do sfotografowania otrzymał od Jana D. 22 czerwca br. Zdążył wykonać diapozytywy, ale nie zdążył już otrzymać za pracę pieniędzy.

Wracając do **Jana D.** należy przyznać mu, że działał ostrożnie i odbitki wykonywał w Zespole Szkół Poligraficznych osobiście, po godzinach pracy, na maszynie offsetowej Romayor — 313. Majowych kartek odbił około 4.500 sztuk, czerwcowych — 3.000. Gotowe kartki przekazywał Hieronimowi C., hurtownikowi, który płacił mu po 50 zł za sztukę. W sumie otrzymał za podrabiane kartki P-II — a wykonał ich około 30 tysięcy — od Hieronima C. 220 tys. złotych.

Zatrzymany **Hieronim C.** (rocznik 1959), wykształcenie podstawowe plus 3 klasy Liceum Księgarskiego, początkowo pracował jako rozwoziciel artykułów przemysłowych do kiosków „Ruchu", później awansował i został w tymże „Ruchu" magazynierem. Niestety, w życiu mu nie szło, był pechowcem. I tym razem pierwszy spis kontrolny towarów wykazał 77 tys. zł manka. Ani prokurator, ani sąd nie chcieli uwierzyć w życiowy pech Hieronima C. Wyrok brzmiał: 1 rok i 6 miesięcy w zawieszeniu, a także zwrot pieniędzy do przedsiębiorstwa. Tak więc znalazł się bez pracy. I gdyby nie Jan D., sam nie wie, jak by się potoczyło jego dalsze życie. Jan D. nie pozwolił mu zejść na przysłowiowe psy, wyciągnął doń pomocną rękę. Po prostu dał mu kilka odcinków na alkohol, wyciętych z kartki i powiedział, aby to opylił. Ale komu? Ot tak, wyjść na ulicę i zatrzymać pierwszego lepszego przechodnia? Wtedy przypomniał sobie o niejakim **Sobiesławie M.**, ajencie sklepowym, od którego pożyczył forsę na spłacenie manka. W sklepie, na zapleczu, Sobiesław M. przyjął kupony i zadowolony prosił o więcej. Początkowo więc były same kupony, potem kartki, w końcu całe arkusze. Jedyna trudność polegała na tym, że trzeba było te kupony z tych kartek wycinać. To zabierało ogromnie dużo czasu.

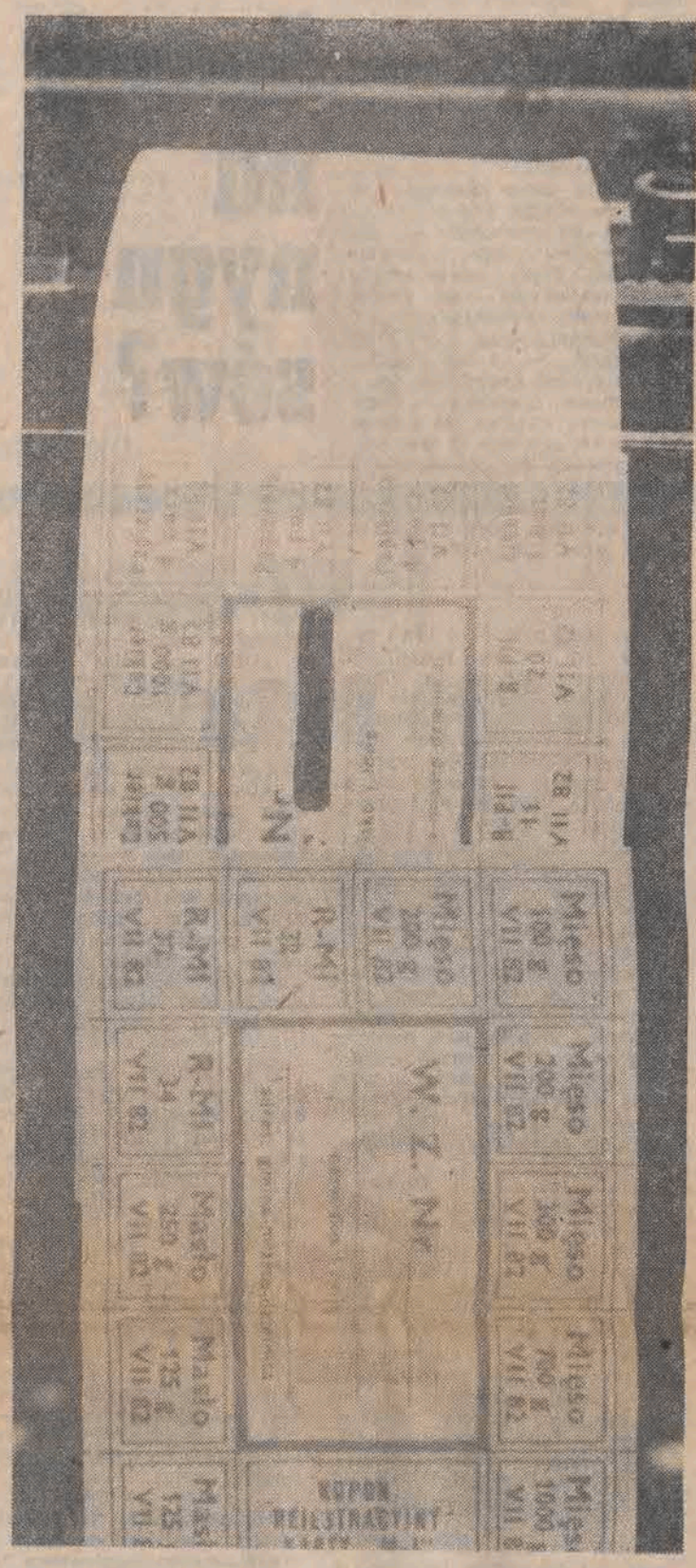

Foto: Mirosław Zajdler

Hieronim C. sprzedawał Sobiesławowi M. odcinki po 120 zł od sztuki, zarabiając na każdym 40 zł, gdyż 80 musiał oddawać Janowi D. Od razu zorientował się, że to się opłaca, że zarabia tu więcej, niż na jakiejkolwiek posadzie w „Ruchu". W pierwszym miesiącu jego dochód wyniósł 20 tysięcy złotych, w następnych już po 60 tysięcy. Oczywiście, najwięcej zarabiał na tym Jan D.: najpierw 80 tysięcy, później 120 tysięcy złotych. Słowem — interes się rozwijał, produkcja rosła i należało pomyśleć o rozszerzeniu rynku zbytu. Najbliżej była Łódź, ale równie dobrze szły kartki zaopatrzeniowe w Gdyni i na Śląsku. Wódka ciągle pozostaje w cenie, a jej wartość czarnorynkowa kilkakrotnie przewyższa wartość detaliczną. Zresztą Jan D. myślał dość logicznie: jeśli w dużym, prawie milionowym mieście, jakim jest Łódź, rzuci się do handlu jakieś tam marne 500 lub nawet 1000 fałszywych kuponów, nikt tego nie zauważy, tym bardziej gołym okiem.

Ważnym ogniwem w tym długim łańcuchu przestępczym był **Sobiesław M.**, ajent jednego ze sklepów WSS „Społem". Mimo, że sklep miał niezłe obroty, Sobiesław M. tonął w długach. Owszem, znał Hieronima C. jeszcze gdy tamten był magazynierem w „Ruchu" i dostarczał Sobiesławowi M. do jego sklepu co lepsze gatunki papierosów. Z czasem zaprzyjaźnili się, chodzili razem na wódkę, bywali u siebie w domach. To zrodziło zaufanie. I kiedy Hieronim C. popadł w tarapaty finansowe, właśnie Sobiesław M. pożyczył mu owe 70 tysięcy złotych na zapłacenie manka. Teraz nadarzyła się okazja rewanżu. Hieronim C. wiedział, że Sobiesław M. nie odmówi, że zrobi wszystko, aby wybrnąć z własnych kłopotów pieniężnych i jeszcze na tym zarobić.

W kwietniu br. Hieronim C. zaproponował Sobiesławowi M. sprzedaż kartek zaopatrzeniowych na alkohol. Jednakże — powiedział — on nie ma ich przy sobie, przechowuje je u Cyganów. Niestety, w czasie pierwszej ich wizyty u Cyganów nic nie wskórali, choć Hieronim C. domagał się od nich należnej mu kwoty 35 tysięcy zł za uprzednio już dostarczone kartki P-II. Ale Cyganie widać nie ufali nowo przybyłemu Sobiesławowi M. i musieli go dopiero sprawdzić.

Natomiast Hieronim C. nie bardzo dowierzał pośrednikom cygańskim, chociaż dotąd właśnie u nich przechowywał gotowe do rozprowadzenia kartki. Czy nie będzie lepiej, jeśli zajmie się ich kolportażem tak wytrawny znawca przedmiotu, jakim jest Sobiesław M.? Przecież Cyganie mogą któregoś dnia wszystkiego się wyprzeć, wszystkiemu zaprzeczyć, nie przyznać się, że przyjęli od niego ileś tam paczek kartek. I co wtedy? Przecież to są pieniądze, wielkie pieniądze. Tym bardziej, że wszystko idzie jak należy, wzrasta popyt, wprost nie można nastarczyć. Nawet zrodził się pomysł, żeby rozwinąć „produkcję", udoskonalić, rozszerzyć, rzucić na rynek nie jakieś tam 5 tysięcy kartek na raz, ale 50, a może nawet 100 tysięcy kartek miesięcznie! Sto tysięcy butelek wódki po cenie czarnorynkowej, to już majątek, prawie fortuna!

Sobiesław M. jedzie na Wybrzeże, spore ilości sprzedaje na warszawskim bazarze Różyckiego, wysyła swoich ludzi na Śląsk i do Łodzi. Za jeden kupon lub całą kartkę brał od 350 do 400 zł. Czysty zysk, bez brudzenia rąk, bez obowiązkowych ośmiu godzin pracy, bez wczesnego wstawania.

Niestety, różowa przyszłość została przysłonięta przez niebieskie mundury milicjantów. Zgarnęli całą melinę z ul. PKWN, szybko odnaleźli Hieronima C., Jana D., Witolda N., Sobiesława M. W sumie już siedzi dziewięć osób, zabezpieczono tzw. dowody rzeczowe. Niestety, wiele tysięcy kuponów trafiło do sklepów. Tego się już nie odwróci.

Prokuratura widzewska, uzasadniając areszt tymczasowy, pisze, że „stopień społecznego niebezpieczeństwa jest wyjątkowo wysoki z uwagi na reperkusje, jakie tego typu przestępstwo wywołuje w trudnej sytuacji rynkowej kraju".

Proces niebawem.

Ze względu na dobro śledztwa imiona oskarżonych zostały zmienione.

Włamanie

Około trzeciej nad ranem pewien lekko cyknięty obywatel narodowości niepolskiej zapodawał zdyszanym głosem, że dzień boży spędził spokojnie, wieczór nieco szumniej, lecz nic nie zapowiadało nieszczęścia. Wprawdzie jeszcze o dziesiątej siedział w kawiarni z piękną kobietą, ale niezbyt chętną na romans, gdyż akurat miała przy sobie dwójkę trzeźwego drobiazgu, w wieku przedszkolnym. Obywatel został przeto przy stoliku samotny jak palec, i z tego wszystkiego napił się trochę. Aż tu zjawia się jego szwagier, co przybył niespodziewanie z dalekich stron. Łyknęli szwagrowie z radości po kilka kropelek, bo jeszcze były bez kartek, i wracają o pierwszej trzydzieści, żeby wędrowny szwagier trochę się przespał. Brama zamknięta, weranda też, wszystko gra, żadnych podejrzeń. Zapalają światło, a w pokoju okno otwarte, metalowe pręty odgięte, tynk na podłodze, a drzwi od szafy wyrwane. Nie ma kurtek, kożuchów, ani pięknej kasetki ze złotą biżuterią. Razem nie ma tego wszystkiego za półtora miliona. I wychodzi na to, że złodziej wlazł przez okno, i żeby mu było wygodniej, podsunął do okna kanapę. Obywatel pokrzywdzony zamknął okno, żeby mu więcej nie nakradli, zatrzasnął bramę i pojechał tramwajem do ojca, a od niego do władzy, żeby zapodać.

Odpowiedni funkcjonariusz udał się na miejsce przestępstwa, aby podjąć odpowiednie czynności. Stwierdził na wstępie, że kanapa musiała stać pod oknem dość długo w bezruchu, ponieważ między oparciem i ścianą wisiała gruba pajęczyna. Ponadto kanapa miała nogi obsypane piaskiem, który przy przesuwaniu mebla powinien się obruszyć. Jedno skrzydło okna było przymknięte od wewnątrz, bez śladów włamania. Pod oknem leżały kawałki zakurzonego szkła i ubytki tynku po wyrwanych prętach. Natomiast okna pokoju, gdzie przechowywano cenną szkatułę, były całe, bez krat, poodmykane. W zamku wyrwanych drzwi od szafy tkwił spokojnie klucz.

Pokrzywdzony stwierdził, że złodziej musiał się dostać przez płot od strony ulicy Szarej lub od strony magazynu surowców wtórnych. Trudno jednak dokonać tej sztuki, albowiem ogrodzenie zakończone jest drutem kolczastym. Wprawdzie w jednym miejscu drut był lekko przygięty, ale niemal leżące na nim gałęzie drzew były całe, nie połamane. Furtka natomiast była zasnuta pajęczyną. I nigdzie śladów stóp. A powinny być, gdyż na trawie iskrzyła się rosa.

Przepytano sąsiadów. Portierka ze spółdzielni o drugiej trzydzieści słyszała klakson samochodu, który stał przed posesją okradzionego. Bliższa sąsiadka widziała właściciela posesji z mężczyzną i słyszała, jak mówili nie po naszemu. Weszli do domu. Potem właściciel krzyczał na podwórku, że go okradli. A potem stało tam białe auto, trąbiło, ale nikt nie otwierał bramy.

Inna z sąsiadek, o drugiej w nocy słyszała pukanie w szybę i rozmowę w języku obcym. Zamknięto okno, ktoś ruszył drobnym krokiem do garażu, otwarto bramę i wyjechał samochód. Po pół godzinie, przed posesją zatrzymało się jakieś auto, trąbiło, ale że nikt nie wyszedł, więc odjechało. Z kolei portier z magazynu stwierdził, że był na obchodzie o 22.00, 24.00 i 3.00 i niczego podejrzanego nie zauważył.

Wędrowny szwagier nie mógł potwierdzić wyjaśnień szwagra obrabowanego, ponieważ wyparował. Wobec zaistniałych rozbieżności należało się zastanowić, czy włamanie nie jest pozorowane. Ale jakie motywy kierowały pokrzwdzonym, żeby coś pozorować? A może on puścił fałszywą wersję przebiegu wydarzeń, żeby ukryć przed kimś swoje wieczorowo-nocne wyczyny? Ciekawe...

Aliści w jakiś czas po owej feralnej nocy, w jednym z łódzkich mieszkań znaleziono część przedmiotów skradzionych z domu naszego obywatela. Mieszkanie należało do małżeńskiej recydywy z półrocznym dzieckiem. Z tym, że kobieta żyła w separacji z mężem, ale za to w intymnym zbliżeniu z jego bratem. Przyparta do muru wyjaśniła, że owego wieczoru, o którym cały czas mowa, udała się z koleżanką do „Casanovy". Przysiedli się do nich dwaj mężczyźni obcej narodowości, a potem jeszcze kobieta, też jakby zagraniczna, choć mówiąca po polsku, zwana Tamarą, ale nie z kraju nam przyjaznego. No i była wódeczka, tańce i flirty, ale owa Tamara szybko się urwała.

Po zamknięciu lokalu ta żona separowana, jej koleżanka oraz panowie pojechali przygodnym złapanym autem do domu jednego z panów. Tym panem był nasz poszkodowany. Bo on był całkiem porzucony, tzn. tak nadokuczał żonie, że ta puściła go w trąbę i wyjechała do swojej matki. Żyli bez separacji, bez rozwodu, majątek był wspólny, więc można by mniemać, że pokrzywdzony chciał ten majątek zagarnąć, zwalając winę na włamywaczy.

Ale tak wcale nie było. Obywatel nasz czuł mojra, bo żonę miał prawowitą i samorządną, a jemu surowy obyczaj zakazywał lumpić się z takimi różnymi.

Po kolei jednak, panowie. Otóż, gdy weszli do domu, pokrzywdzony z miejsca odkrył, że go okradziono. Na to konto odbito butelkę „Adwokata". Ale kiedy recydywna matka chciała wracać do swego półrocznego dziecka, stwierdziła, że z kosmetyczki zginęły jej dwa patole. Właściciel lokalu strasznie się zdenerwował. Powiedział, że owszem, jemu kradną miliony, ale w jego mieszkaniu nikt nie okrada gości i strzelił kobiecie w twarz.

Na tym jednak nie koniec. Otóż w mężu separowanym obudziła się nagle zazdrość szalona. Ryczał z pianą na ustach, że mu żona bez rozwodu szlaja się po „Casanovach", a dziecko płacze. Skruszona żona na to, że była na przyjęciu nocnym u bogatego człowieka, prawie obcokrajowca, i dostała w dziób za to, że została okradziona. A dobrze ci tak, wył mąż, swój by ci nie dołożył, po czym oznajmił z żądzą mordu w przekrwionych oczach, że pojedzie i temu bogatemu łeb utnie.

Ale jak się przespał, złagodniał, zaprosił żonę do knajpy, rzucał tysiącami na wódkę i na orkiestrę. Potem na jego kudłatej męskiej piersi zawisł złoty łańcuch z medalionem niezwykłych rozmiarów. Żona mówi, nie szalej, daj trochę pieniędzy na dziecko, a on podsuwa jej nabity portfel, chichocze, szydzi, na dziecko nie daje, odgraża się natomiast, że jedzie na dobre saksy.

Po jakimś czasie kolega jeden doniósł opuszczonej kobiecie z dzieckiem, że mąż jej wyjechał, ale do Warszawy, gdzie teraz hula po najlepszych lokalach i handluje przedmiotami ze złota. I byłby tak szalał i hulał, ale wpadł na pewnej transakcji, usiłując wtrynić klientom złote sygnety, z tombaku.

I wtedy dopiero się okazało, że gdy owej pamiętnej nocy towarzystwo tańczyło w „Casanovie", piękna Tamara urwała się dyskretnie, dała cynk mężowi separowanemu i oboje dokonali sprytnego włamania do domu człowieka, który podrywał kobietę mu nie pisaną.

Wszystko więc wskazuje na to, że gdy własny mąż żyje z własną żoną, to żyją w dostatku. No, przynajmniej dwa lata temu...

JAN WIDLAK